


AN IMPOSSIBLE DISCOVERY LURES INDY ON A
JOURNEY TOWARD CERTAIN EXTINCTION!

INDIANA JONES™ and the **DINOSAUR EGGS**

BANTAM BOOKS®




Max McCoy

Max McCoy '95

MAX McCOY

INDIANA JONES

I TAJEMNICA DINOZAURA

(INDIANA JONES AND DINOSAUR EGGS)

Przełożył Piotr Teodorczyk



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

Wydawnictwo: Amber 1999

Spis treści

Karta tytułowa

Prolog. Zamek przeklętych

1. Kości smoka

2. Szanghaj

3. Przełęcz Wanshan

4. Droga przez pustkowia

5. Miasto żywego boga

6. Dzikie psy

7. Płomienie urwiska

8. Szczęśliwa dolina

9. Dziecko burzy

10. Nóż Dżyngis-chana

Epilog. Grób U-357

Prolog.

Zamek przeklętych

*Twierdza Malevil,
Marsylia, Francja, październik 1933*

Ogromna, umięśniona pięść uderzyła Indianę Jonesa niczym młot, rozcinając mu górną wargę o przednie zęby. Przed oczami zatańczyły kolory, jak w kalejdoskopie Indy nie przypominał sobie, by kiedykolwiek uderzono go mocniej.

Głowa Indy'ego opadła na pierś francuskiego osiłka, który trzymał jego ręce przyciśnięte wzdłuż boków. Indy bał się, że straci przytomność; świat pociemniał mu w oczach, a potem miedziany smak krwi wypełnił usta. Złość przywróciła mu jednak siły.

Zdobył się na krwawy, wykrzywiony uśmiech.

– Kto cię uczył bić? - spytał. - Babcia?

Jego oprawca - bliźniak osiłka, przytrzymującego ręce - nie mówił po angielsku, ale zrozumiał obraźliwy ton, jakim był wygłoszony komentarz. Uderzył Indy'ego jeszcze raz, tyle że mocniej i tym razem w brzuch.

– Szczeniackie złośliwości, doktorze Jones? Oczekiwałem czegoś bardziej poważnego od człowieka o pańskiej reputacji. A czekałem tak długo, żeby pana spotkać!

Dźwięczny głos Rene Belloqa odbijał się od ścian przejmująco zimnej jaskini. Francuski archeolog siedział ze skrzyżowanymi nogami, na żółtej beczce w markowym białym kapeluszu nasuniętym na oczy. Za nim, na rozklekotanym biurku, pod nieosłoniętą żarówką zwisającą z sufitu na

podniszczonym przewodzie, stała butelka, napełniona do połowy miejscowym białym winem, oraz talerz z resztkami sera. Wokół biurka piętrzyły się skrzynie do pakowania towarów różnej wielkości i rodzaju. Na bokach wypisane miary nazwy portów z całego świata.

Belloq trzymał na kolanach portfel Indy'ego, studiując go tak, jakby był to zabytek wydarty z otchłani czasu. Bicz Indy'ego, jego rewolwer i filcowy kapelusz leżały u stóp Belloqa.

– Liczyłem na sympatyczniejsze spotkanie - powiedział Belloq. - Proszę wybaczyć to szorstkie przyjęcie ze strony braci Daguerre, ale nie wiedziałem, kim pan jest, a w mojej pracy nie mogę pozwolić sobie na ryzyko. Śledziłem rozwój pańskiej kariery w Herald-Tribune, zwłaszcza pańskie wyczyny w Środkowej i Południowej Ameryce. Marzyłem nawet, że pewnego dnia będziemy może pracować razem, ale los, niestety, zrządził inaczej.

– To dobrze - warknął Indy.

– Obawiam się, że nie, doktorze Jones - powiedział Belloq. - Niech mi pan powie, co pan tutaj robi. Pewnie pańska rudowłosa dziewczyna myślała, że jest pan sprytny, gdy obydwójcie śledziliście mnie w mojej wędrówce od sklepu do sklepu wzdłuż Canebiere, aż wreszcie dzisiaj wieczorem dotarliście tutaj, do twierdzy Malevil. Dlaczego obserwuje mnie pan tak uważnie, doktorze Jones?

– Interes - wycharczał Indy. Belloq zaśmiał się.

– No, z całą pewnością nie przyjemność - powiedział i zanucił kilka taktów Marsylianki, podnosząc jednocześnie rewolwer Indy'ego i wytrząsając naboje na dłoń. Włożył łuski do górnej kieszeni białej marynarki wraz z portfelem Indy'ego, a następnie zabezpieczył rewolwer.

– To mój teren, doktorze Jones. Cała Prowansja to moja posiadłość. Dziesiątki oczu śledziły pańską amatorską próbę rekonesansu - ach, jakież

to cudowne francuskie słowo! - a dziesiątki ust donosiły mi o pańskich ruchach. Co miał pan nadzieję mi ukraść?

Belloq powiedział coś po francusku i oprawcy się cofnęli. Indy osunął się na kolana, ale zdołał utrzymać równowagę i nie upadł na skalne bloki.

Belloq podał mu webleya.

Indy ostrożnie wziął rewolwer i schował do kabury. Belloq podniósł bicz i zaczął go dokładnie oglądać, tak jak wcześniej robił to z portfelem Indy'ego.

– Ciekawe... Nosi pan taką dziwną broń - powiedział Belloq. - Ale w jakimś stopniu ona do pana pasuje, biorąc pod uwagę amerykańskie przywiązanie do rzeczy prymitywnych i brutalnych.

– To nie jest broń - powiedział Indy. - To narzędzie. Przydaje się.

– Tak też myślę, doktorze Jones. Tak samo jak czasami przydają mi się bracia Daguerre. Ten pański interes - przypomniał Belloq. - Niech mi pan powie o nim coś więcej.

– To długa historia.

– Nie ma czasu na długie historie - stwierdził Belloq. - Natknął się pan na moją kryjówkę w niezmiernie ważnym, decydującym momencie. Niech pan mówi szybko, bo wkrótce zaczną przybywać moi goście.

Indy usiadł, podpierając się rękami. Opuchniętymi oczami przyjrzał się beczce, na której siedział Belloq. Była oznakowana trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami oraz napisem po niemiecku, wskazującym, że jest to gaz, jakiego używano podczas wojny światowej.

Kilka metrów od miejsca, gdzie siedział Belloq, kończyły się skalne bloki. Pojedyncza żarówka wisząca nad biurkiem nie pozwalała dostrzec zbyt wiele w gęstych ciemnościach panujących wokół, ale Indy słyszał odgłosy fal pluszczących o kamienie.

Przyszedłem tu, żeby zawrzeć układ - powiedział i potarł policzek.

– Z wiarygodnych źródeł wiem, że pewien obiekt - starannie wyrzeźbiona kryształowa czaszka, o której wieku i pochodzeniu nic nie wiadomo - była tu na sprzedaż na czarnym rynku. A czarny rynek antyków to ty, Belloq. Wszyscy to wiedzą.

– Na to wygląda - zgodził się Belloq.

– Jestem tutaj z powodu tej czaszki. Muzeum bez pytania zapłaci cenę, której zażadasz.

– Trzeba było jej nie wypuszczać z ręki, kiedy ją pan miał, przyjacielu - powiedział Belloq. - Czarująca fascista - mój włoski kontakt - poinformowała mnie, że kiedyś miał pan już tą czaszkę, przez jakiś czas, choć nie trwało to długo.

– Podaj cenę.

– Nie jest pan chyba w stanie się targować, doktorze Jones. Poza tym wątpię, czy pana muzeum byłoby skłonne zapłacić za nią równowartość dwóch milionów dolarów amerykańskich.

– Nikt nie ma takich pieniędzy.

– Obawiam się, że niektórzy mają. Mam poważnego kupca.

– Żadne muzeum na świecie nie zapłaciłoby nawet połowy tej sumy.

– Niech pan uruchomi wyobraźnię, przyjacielu - powiedział Belloq. - Urok tej czaszki znacznie przewyższa wartość jakiegoś tam obiektu muzealnego.

– To blef.

– Nie miałbym żadnych korzyści z blefowania - oświadczył Belloq ze smutkiem w głosie.

– Żadna suma pieniędzy nie okupi wystawiania do wiatru ludzi, z którymi mam do czynienia. Niestety, jest to wada czarnego rynku - gdybym prowadził legalny interes, mógłbym ukraść wszystko co chcę i nie potrzebowałbym współników takich jak Claude i Jean Daguerre.

Słyszając swoje imiona, bracia wyszczerzyli zęby.

– Słuchaj - powiedział Indy - może moglibyśmy dojść do porozumienia....

– Spóźnił się pan. - Belloq spojrział na zegarek. - Czaszka już nie jest na sprzedaż. Do wymiany dojdzie za parę minut. Ale niech pan nie rozpacza, doktorze Jones. Czas potrafi pokrzyżować nawet najlepiej ułożone plany, a i tak o rzeczach, które posiadamy, decydujemy tylko przez jakiś czas. Rzeczy się gubi, zakopuje, zapomina - potem wpadają w inne ręce.

– To znaczy?

– Weźmy na przykład tę jaskinię i twierdzę, która znajduje się ponad nią. W średniowieczu należała do mojej rodziny. To nasze gniazdo rodowe. Ale zabrano je nam, gdy opowiedzieliśmy się po niewłaściwej stronie - bo widzi pan, jesteśmy templariuszami i niektórzy twierdzą, że żyje w nas duch Jezusa Chrystusa. Niestety, inni nie zgodzili się z tym poglądem. Twierdza Malevil była długo okupowana przez dzikich lokatorów, popadła w ruinę podczas rewolucji, a teraz znowu stanowi centrum rodzinnego interesu, nawet jeśli ten interes jest podziemny nie tylko dosłownie. Być może w ten sam sposób, doktorze Jones, czaszka wróci do pana... lub do pana potomków.

– Nie mogę tak długo czekać.

– Dlaczego tak rozpaczliwie jej pan potrzebuje? - zapytał Belloq. - Interesuje się pan tym kawałkiem rzeźbionego kwarcu nie tylko zawodowo, nieprawdaż? Zapewne nie jest pan na tyle przesądny, żeby wierzyć w tę klątwę... albo może skusiła pana mroczna obietnica czaszki?

Belloq znowu spojrział na zegarek.

– Podaj cenę - powiedział Indy.

– Jestem bardzo zachłanny. W innych okolicznościach zmusiłbym pana - jak to się mówi? - do przelicytowania. Ale wycofanie się z umowy, którą

już zawarłem, przypominałoby samobójstwo, a ja jestem nazbyt egocentryczny, żeby popełnić tego rodzaju głupstwo.

– Kto - zapytał Indy - mógłby być na tyle groźny, żeby cię przestraszyć?

Woda za kamieniami zaczęła falować.

Najpierw pojawił się podświetlony dziób niemieckiej łodzi podwodnej, zza którego wystawała lufa milimetrowego działka pokładowego. W migotaniu przesuwających się świateł Indy zauważył charakterystyczne wybrzuszenie torpedy, biegnące wzdłuż dziobu.

– Odkąd Hitler został kanclerzem - powiedział Belloq - faszyci rozpoczęli rozpaczliwe starania, aby zlokalizować bezcenne skarby o ponoć nadprzyrodzonych mocach. Kryształowa czaszka znajduje się wysoko na ich liście.

Częściowo zanurzona łódź podwodna starała się utrzymać stateczność i jaskinię wypełniało uporczywe brzęczenie silników elektrycznych i burczenie trymowanych zbiorników balastowych.

Wieżyczka obserwacyjna, ze sterującym peryskopem najeżona antenami radiowymi, wystawała dwa metry ponad powierzchnią, a na obudowie miała niewyraźny zarys podwójnych znaków alfanumerycznych - U-357. Nie można ich było zidentyfikować, nie stojąc tuż obok łodzi.

Dwóch marynarzy wyłoniło się z luku na szczycie wieżyczki, wrzeszcząc coś w dół, w kierunku zalanych wodą zbiorników balastowych. Przez plecy przewieszono mieli schmeissery - pistolety maszynowe. Po przerzuceniu mocnych lin przez wiekowe pierścienie przytwierdzone do kamieni marynarze stanęli po obu stronach Belloqa.

Bracia Daguerre wyciągnęli własną broń.

– Schowajcie to, idioci - warknął Belloq po francusku.

Wyglądający na zmęczonego kapitan U-357, eksficer o nazwisku Wagner, patrzył z platformy obserwacyjnej jak, cumowano łódź.

Zadowolony z efektu krzyknął coś w dół do otwartego luku.

Franz Kroeger przecisnął się przez luk i zszedł na pokład. Stanowił dokładne przeciwieństwo Wagnera: młody, wysoki blondyn, w świeżo wyprasowanym czarnym mundurze, podkreślającym doskonale proporcje jego ciała. Mundur, pomijając dwie małe błyskawice na kołnierzu, nie miał żadnych odznak. Kroeger był pułkownikiem w niedawno utworzonej osobistej straży Hitlera - Leibstandarte SS. Gdyby coś nie wyszło, nie chciałby pozostały dowody, które wskazywałyby na bezpośredni związek z byłym malarzem, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej został kanclerzem Niemiec.

Gdy Kroeger schodził z wieżyczki, jego buty głośno dźwięczały o żelazne szczeble. Pokład U-357 znajdował się kilkadziesiąt centymetrów pod wodą, ale Kroegerowi udało się przeskoczyć tę odległość.

Gdy już stanął na kamieniach, zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Zapalił papierosa amerykańską zapalniczką i dym spowił jego głowę niczym aureolą.

– Monsieur Belloq - powiedział; w jego ordynarnym niemieckim akcencie nazwisko zabrzmiało jak Bellosh. - Proszę wybaczyć, ale mój angielski jest lepszy niż francuski, a jestem pewien, że pana niemiecki raniłby mój słuch. Może pan mi mówić Franz, do pana usług. - Zasalutował po nazistowsku, stukając głośno obcasami.

Belloq niezdecydowanie machnął ręką.

– Ma pan czaszkę?

– Jest tutaj - odparł Belloq i klepnął w pojemnik, na którym siedział. - Zgodnie z pańskimi instrukcjami nie został jeszcze szczelnie zamknięty. Ma pan złoto?

– Najpierw to, co najważniejsze - stwierdził Kroeger. - Muszę obejrzeć towar.

Belloq zdjął wieko pojemnika, sięgnął do środka i wyciągnął coś, co wydało się Indy'emu skórzaną torbą na kulą do gry w kręgle. Zaczął podawać pokrowiec Kroegerowi, po czym go cofnął.

– Pułkownik - powiedział Belloq - proszę nałożyć rękawiczki.

Kroeger parsknął z niechęcią, ale wyciągnął z kieszeni munduru parę skórzanych rękawiczek i je włożył. Następnie zabrał pokrowiec od Belloq, otworzył go i prawą ręką wyjął Kryształową Czaszkę.

– Nie spodziewałem się, że będzie tak piękna - powiedział. - Jest wspaniała. Proszę spojrzeć, jak rozszczepia światło!

Kroeger trzymał czaszkę w górze.

Wszyscy, wraz z Indym, wstrzymali oddech. Nawet w słabym świetle żarówek niesamowita tęcza barw wystrzeliła z głębi czaszki, migocząc ponad ich głowami. Niebieskawa poświata, wywołana przez elektryczność statyczną, zatańczyła na rękawie Kroegera aż do ramienia.

Kroeger obracał czaszką na wyciągniętej dłoni odzianej w rękawiczką. Puste, bezmyślne oczodoły wydawały się przeszywać wzrokiem wszystkich, którzy na to patrzyli.

– Jaka moc kryje się w niej według legend? - spytał Kroeger. - Co czyni ją tak osobliwą, że ludzie gotowi są ryzykować życie i swoje dobre imię, aby ją posiadać?

– Zadawałem sobie to samo pytanie - oznajmił Belloq.

Dłonie Indy'ego stały się wilgotne. Pamiętał pierwszy i jedyny raz, gdy dotykał czaszki gołymi rękami. Odniósł wtedy wrażenie, że czaszka tętni w rytmie jego serca. Był teraz wystarczająco blisko Kroegera, by jej dosięgnąć, chwycić ją i wyrwać...

– Kanclerz będzie bardzo zadowolony - powiedział Kroeger i wsadził czaszkę z powrotem do skózanego pokrowca. - Nawet jeśli jej moc istnieje tylko w legendach, jest to nieporównywalne z niczym innym dzieło sztuki,

które stanie się inspiracją dla tych z nas, którzy przysięgli wierność aż do śmierci i poza nią.

Jaskinia jakby jeszcze bardziej pociemniała.

Po oddaniu pokrowca Belloqowi, który delikatnie schował go do pojemnika, pułkownik zdjął rękawiczki i pstryknął palcami. Dwaj marynarze przytargali skrzynię z pokładu U-357 i postawili ją u stóp Belloqa.

– Nie zajrzy pan? - zapytał Kroeger.

– Ufam wam - powiedział Belloq - ale z drugiej strony muszę to zrobić. Co by się stało, gdyby były tu sztaby ołowiu zamiast złota? Moglibyście unicestwić tę jaskinię, podobnie jak Malevil tam na górze.

– Moglibyśmy - stwierdził Kroeger - ale tego nie zrobimy.

– Merci - burknął Belloq bez humoru.

– Niemniej jednak nalegamy, aby zrezygnował pan już z różnych podejrzanych posunięć - powiedział Kroeger.

– Zdobył pan fortuną. Niech to pana zadowoli i niech pana nie kusi praca oferowana przez naszych konkurentów.

– Ależ, bon ami - zaprotestował Belloq - o tym nie było mowy. Jestem archeologiem. To nie jest kwestia pieniędzy, lecz pasji.

– Ach, pasja... - skostatował Kroeger w zadumie. - Słabość ras nie aryjskich. Francuzi, jak rozumiem, są szczególnie podatni na bezsensowną sentymentalność. Jakże trudne musi być życie z takim upośledzeniem.

– Wy chyba żartujecie - nie wytrzymał Indy. - Kim wy właściwie jesteście?

Kroeger spojrział na Indy'ego, jakby go właśnie zauważył. Zrobił krok do przodu i zaczął się przyglądać Indy'emu przeszywającymi niebieskimi oczami. Jednocześnie ukradkiem obserwował dym z papierosa, trzymanego w kąciку ust.

Złapał Indy'ego za podbródek i skierował jego twarz w stronę światła, przypatrując się niedawnej robocie braci Daguerre. Kciuk Kroegera zatrzymał się przy bliźnie na lewym policzku Indy'ego, którą wiele lat temu pozostawił po sobie bicz.

– Co to za parszywa kreatura?

– Nazywa się Jones.

Indy chwycił Kroegera za nadgarstek.

Marynarze po obu stronach Belloq'a wycelowali pistolety maszynowe. Bracia Daguerre wyciągnęli swoją broń w tym samym czasie, a Belloq przypadł do ziemi pomiędzy nimi.

Belloq zaczął się śmiać, chociaż dość niepewnie.

– To zero - powiedział lekceważąco. - Głupiec... Amerykański turysta, który trafił do jaskini zupełnie przypadkowo. Jak pan widzi, moi ludzie już się nim zajęli.

Szkoda, że nie zwrócili większej uwagi na jego język - oznajmił Kroeger i ruchem ręki kazał swoim ludziom opuścić broń. - Jones... takie banalne nazwisko...

– Cóż, twardo stąпам po ziemi - stwierdził Indy.

Kroeger otworzył kaburę Indy'ego i wyciągnął webleya. - Czy amerykańscy turyści zawsze jeżdżą za granicę uzbrojeni, Herr Jones?

– Doktorze Jones - sprostował Indy. - Jestem profesorem uniwersytetu Princeton. A tak przy okazji, ta zabawka nie jest naładowana - w obcym mieście czuję się nieswojo i pistolet noszę tylko na wypadek, gdybym musiał kogoś postraszyć.

– Czyżby? - zapytał Kroeger. Przysunął Webleya do skroni Indy'ego i pociągnął za spust. Przy uderzeniu kurek wydał metaliczny odgłos.

– Ach, widzę, że mówi pan prawdę zaśmiał się Kroeger.

– Nic warto tracić dla niego czasu powiedział szybko Belloq. - Jest raczej nieszkodliwy.

– Raczej - wtrącił Indy. Niech pan posłucha, myślałem, że wszystkie te stare łodzie podwodne zostały zniszczone zgodnie z Traktatem Wersalskim, ale wygląda na to, że tę przegapiono.

Powoli odebrał rewolwer Kroegerowi i schował go z powrotem do kabury.

Pewnie byliście zbyt zajęci prześladowaniem Żydów, zamykaniem gazet i zakazywaniem sądenia przez ławę przysięgłych. Co, majorze?

– Pułkownik - poprawił go Kroeger i zagryzł wargi. - Sprytnie. Jestem pod wrażeniem. Ale niech mi pan powie, dlaczego sprawia panu przyjemność flirtowanie ze śmiercią?

– Bo to ciekawsze niż palenie książek w sobotnią noc.

– Wy, Amerykanie, tak mnie bawicie - powiedział Kroeger. - Wszystko jest dla was żartem, a to, czego nie rozumiecie - potępiacie. Chwileczkę, może teraz ja opowiem panu dowcip o Amerykaninie, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, a jego nazbyt sentymentalny francuski przyjaciel nie był w stanie go uratować. Przeszabawne. Och przepraszam, wygląda na to, że pan już to słyszał.

– Belloq nie jest niczym przyjacielem - oświadczył Indy.

– Czy to prawda, Rene? - zapytał Kroeger. - Nie ma pan żadnych stosunków z tym człowiekiem, nie łączy was żadna znajomość?

– Żadna - wzruszył ramionami Belloq.

– Nie będzie pan więc miał nic przeciwko temu, żeby go zabić - powiedział Kroeger.

Zabrał jednemu z marynarzy pistolet i wręczył Belloqowi.

– Może pan go zatrzymać na pamiątkę pańskiej służby dla Trzeciej Rzeszy. I niech się pan nie zdziwi, jeśli od czasu do czasu przypomnimy

panu o zobowiązaniach wobec ojczyzny.

Kroeger pstryknął palcami i marynarze podnieśli z obu stron żółty pojemnik, niosąc go ostrożnie do U-357, Pułkownik podążył za nimi, schodząc z kamieni na zanurzony pokład łodzi podwodnej. Nagle stanął.

– Przykro mi, że nie poznaliśmy się wszyscy dokładniej. Mam jednak niewiele czasu, jako że wkrótce będzie odpływ, a nie życzylibym sobie, żeby ta łódź osiadła na mieliźnie na obszarze francuskich wód terytorialnych. *Auf Wiedersehen*, doktorze Jones.

Po chwili Kroeger zniknął w wieżyczce obserwacyjnej i zaniknął za sobą luk. Łódź podwodna była już w ruchu. Zanurzając się, wycofywała się z jaskini w kierunku podziemnego przesmyku na otwarte morze.

Mógłbym znienawidzić tych facetów, pomyślał Indy.

Belloq podrzucił karabin Claude'owi, najbliższemu z braci Daguerre.

– Chyba mnie nie zabijecie? - zapytał Indy i pokazał Belloqowi puste ręce. - Naziści odpłynęli. Nie ma tu nikogo oprócz nas. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Co z tą współpracą w przyszłości, o której była mowa?

– To niemożliwe - powiedział Belloq. - Jeśli ja pana nie zabiję, oni zabiją mnie. W pewnej mierze, doktorze Jones, jest to niska cena za spokój mojej duszy.

Claude Daguerre wycelował lufę karabinu w Indy'ego i pociągnął za spust, ale nic się nie stało. Jean zrobił krok do przodu, próbując wyrwać karabin bratu. Belloq zaczął ich wyzywać po francusku, żeby znaleźli bezpiecznik, ale Indy już się czołgał w stronę wody. Chwycił swój kapelusz i bicz spod stóp Belloqa w tym samym czasie, gdy usłyszał szczęk bezpiecznika.

Karabin, przedmiot zacieklego boju pomiędzy braćmi Daguerre, ożył i jaskinię wypełnił huk wystrzałów i świst rykoszetów. Belloq krzychał po francusku do braci, żeby lepiej celowali - każdy szanujący się gangster z Chicago wiedziałby, jak się obchodzić z automatycznym karabinem, dlaczego więc oni tego nie potrafią?

Indy nasunął kapelusz mocno na głowę, nabrał powietrza w płuca i zanurzył się w czarnej wodzie. Pociski przelatywały ze świstem wokół niego, a bąbelki powietrza znaczyły ich tory niczym wodne pociski smugowe. Poczul, jak jedna z kul przeszywa mu udo, ale oparł się odruchowi przykrycia rany ręką i popłynął z całych sił za cofającą się powoli łodzią podwodną. W przyćmionym blasku przesuwających się światła widział kontur działka pokładowego. Kiedy do niego dotarł, mocno związał bicz wokół wylotu lufy.

Gdy łódź pokonywała przesmyk, czuł rytmiczne brzęczenie śrub, a przykre dla ucha zgrzyty metalu o skałę sprawiały, że serce biło mu trochę szybciej. Gdy łódź podwodna zanurzyła się głębiej, ciśnienie w jego uszach zwiększyło się do poziomu bólu. Zaryzykował uwolnienie jednej z rąk. Zaciskając palcami nos i delikatnie dmuchając, siłą wprowadził powietrze do małych trąbek eustachiusza znajdujących się za gardłem. Kiedy ciśnienie się wyrównało, rozległ się cichy dźwięk i ból zniknął.

Miał jednak wrażenie, że czuje ogień w klatce piersiowej.

Dwutlenek węgla zbierający się w płucach błagał o uwolnienie. Indy wiedział z doświadczenia, że w jego przypadku odczucie takie następowało po upływie półtorej minuty pobytu pod wodą. Otworzył usta i wypuścił nieco zużytego powietrza, co trochę złagodziło żar w płucach. W ten sposób zdobył nieco czasu. Zawodowi pływaczkowie mogli nie oddychać przez cztery minuty i dłużej, ale Indy wiedział, że tak długo nie wytrzyma.

Miał, w najlepszym wypadku, jeszcze dziewięćdziesiąt sekund. Jeśli w tym czasie Łódź nie wypłynie z przesmyku do portu, to on utonie.

Zamknął oczy i starał się zmusić do myślenia o czymś innym - nie o umęczonych płucach i pulsującym mózgu, lecz o zielonych polach i zalanych słońcem pastwiskach. Potem przywołał obraz jasnoniebieskich oczu Alecii Dunstin. Zaczął obserwować fale jej włosów, kości policzkowe, pełne usta... Przypomniało mu się ich pierwsze spotkanie w British Museum w Londynie, kiedy stał przed jej biurkiem z kapeluszem w dłoni, a ona zaglądała w głąb jego duszy tymi wspaniałymi niebieskimi oczami. Pomyślał, że gdyby utonął, żałowałby tylko jednego.

Obroty śrub się zwiększyły i wzrósł opór wody powodowany przez jego ciało. Łódź podwodna opuściła przesmyk. Indy odwiązał się od działka. Łódź łagodnym łukiem skręciła ku morzu i Indy poczuł, jak pokład się pochylił.

Zrzucił buty i skierował się ku powierzchni. Łódź była zanurzona tylko na dziesięć metrów, wypłynął więc w ciągu kilku chwil. Zaczerpnął trochę świeżego, nocnego powietrza, określił swoje położenie, po czym popłynął w stronę brzegu, cały czas przeklinając w myślach Rene Belloqa.

Alecia Dunstin okropnie złościła się na Indy'ego przez całą godzinę, kiedy czekała na skale przed wejściem do ruin twierdzy Malevil. Złorzeczyła mu za to, że nie pozwolił jej towarzyszyć sobie aż do jaskini. Kiedy ją to zmęczyło, poszła na dół, do kawiarni w pobliżu brzegu, wypiała kawę, popatrzyła na oddalony księżyc w pełni i jeszcze trochę poczekała.

W końcu zaczęła się martwić.

Bardziej ją uspokoił niż zadziwił widok Indy'ego płynącego w kierunku brzegu. Opuściła stolik i poszła ostrożnie w stronę podnóża twierdzy. Zaczęła brnąć przez wodę. Spotkali się wkrótce i Alecia owinęła jego rękę wokół swojej szyi, pomagając mu wchodzić po skalistym klifie.

Indy kaszlnął i prysnął śliną, siadając na najbliższym otoczaku. Pozwolił głowie zwisać pomiędzy kolanami, dopóki kaszel nie ustał. Potem wytarł usta ręką i spojrzał na nią.

– Uciekli - powiedział przygnębiony.

Alecia usiadła obok i położyła rękę na jego nodze. Kiedy Indy wykrzywił twarz, odsunęła rękę. Ujrzawszy, że jest we krwi, była wstrząśnięta.

– Jesteś ranny.

– Postrzelony.

– Mój Boże - powiedziała Alecia. - Chodźmy do lekarza.

– Nie. - Indy niepewnie dotknął rany opuszkami palców. - Siłę uderzenia pocisku złagodziła woda. Czuję kulę tuż pod skórą. Myślę, że dam radę ją wyjąć nożem.

– Ja jednak myślę, że powinniśmy sprowadzić lekarza - stwierdziła. - Albo przynajmniej aptekarza. Wiesz, mogłoby się wdać jakieś zakażenie.

– Będę żył - oświadczył Indy.

– W jaki sposób znalazłeś się tutaj w zatoce? - zapytała Alecia.

– Doczepiłem się do niemieckiej łodzi podwodnej. Belloq sprzedał czaszkę nazistom. Popatrz, tam w świetle księżyca widać jeszcze ślad tej łodzi. Płyńcie płytko i jeśli dobrze się przyjrzeć, widać peryskop i anteny radiowe wystające ponad wodę.

– Chyba się zatrzymała.

– Mhm. - Indy wyjął scyzoryk i rozciął nogawkę spodni, aby dokładniej zbadać ranę. - Życzę im, żeby zatonęli. Wiesz, że Belloqa starał się mnie zabić?

– Oczywiście - powiedziała Alecia. - Indy, tak sobie myślę... Może to wszystko, co mówią o klątwie, to nonsens. Udajmy, że ta czaszka nigdy nie istniała i przestańmy za nią ganiać jak wariaci. Pozwólmy jej odpłynąć.

– Już tego próbowaliśmy.

– Nie dłub przy tym - skarciła go. - Ten nóż nie jest wyjąłowany.

Złapała Indy'ego za podbródek i podniosła jego twarz na wysokość swojej.

– Kiedyś wkopiesz się w coś, z czegoś się już nie wygrzebiez. Kula, która znajdzie się zbyt głęboko, bicie, które będzie zbyt mocne, albo jedna z setek innych okropnych rzeczy.

– Alecio, prawie ją miałem - powiedział Indy. - Tym razem byłem tak blisko, że mogłem położyć na niej rękę. Ale ta łódź podwodna nie może jej wieźć aż do Berlina i gdzieś po drodze nadarzy się jeszcze jakaś sposobność - kolejna szansa w naszym wspólnym życiu.

– To nas oboje doprowadza do szaleństwa - powiedziała Alecia. - I sami jesteśmy sobie winni. Może podejźmy do sprawy empirycznie. Hipoteza jest taka, że klątwa zmusza cię do zabicia tego, co kochasz, więc zróbmy ostatni test. Pokaż mi, co czujesz.

– Nie mogę.

– Spróbuj - nalegała. - Jesteśmy sami.

– Ale wcześniej zawsze... - zaprotestował Indy.

– Zbieg okoliczności.

Pochyliła się do przodu, muskając wargami jego usta.

– Coś nie tak? - zapytała. - Nie wierzysz w naukowe podejście?

– Boże, pomóż nam - powiedział Indy.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Pocałunek ten wyzwolił ogrom pasji, skrywanej przedtem przez długie letnie miesiące, które wydawały się wiecznością; było to zakazane pragnienie, które groziło popadnięciem w szaleństwo.

– A teraz to powiedz - zażądała, wyrywając się, zadyszana Alecia.

– Wiesz, co czuję.

– Cholera, powiedz to. Indy'emu zaparło dech.

– Alecio - zaczął Indy - Kto...

– O rany - powiedziała Alecia.

Patrzyła przez jego ramię w kierunku portu. Indy odwrócił głowę. Z oddali, w świetle księżyca szybko zbliżały się do nich dwie świecące smugi.

– Torpedy - stwierdził Indy.

Wściekle wirujące śruby, napędzające dwie torpedy meły bioluminescencyjny plankton, pokrywając smugami drogę przez port w kierunku podnóża starej twierdzy.

– To tyle, jeśli chodzi o naukowe podejście - podsumował Indy, szarpiąc Alecię tak, że upadła.

Przedarli się w górę po skalistym zboczu, a kiedy Indy zobaczył, że torpedy płyną niemal prosto na nich, dał nura za największą skałę, jaką znalazł, pociągając za sobą Alecię. Kiedy oczekiwane wybuchy nie nastąpiły, Indy ośmielił się wyjrzeć zza skały. Ślady torped ginęły pod starą twierdzą.

– Obie nie mogą być niewypałami - powiedział Indy.

Jakby w odpowiedzi dało się słyszeć bach-bach! i podwójnej eksplozja wstrząsnęła twierdzą. Indy poczuł, jak siła wybuchów odbija się głęboko w jego ciele, i trzymał Alecię mocno, dopóki dudnienie nie minęło. Kiedy opadł już deszcz wody morskiej i marnych kamyków, Alecia, najwyraźniej oszołomiona, usiadła.

– Nie mogli celować w nas - odezwała się. - Prawda?

– Nie - odrzekł Indy.

– To tylko memento dla Belloqa. Ale gdybyśmy zostali tam w dole i ciągnęli nasz... eksperyment, wstrząs zabiłby nas oboje.

Eksplozja przyciągnęła chmurę turystów z kawiarni i sklepów w okolicy portu na wały otaczające twierdzę Malevil. Wychylali się daleko do przodu i pokazywali na Indy'ego i Alecie, rozmawiając z podnieceniem. Jedna z kobiet zaczęła wertować rozmówki.

– Nie rozmawiaj z nim - powiedział jej mąż z chicagowskim akcentem. Wygląda jak włóczęga.

– Zapyłani go, czy nie jest ranny - uparła się kobieta. - *Oooh ahvay-voo maul?*

– Nic nam nie jest - odpowiedział Indy.

– Co się stało?

– Wybuchł zbiornik z benzyną na naszym kutrze - wyjaśnił Indy. - Chyba nie powinienem przy nim palić papierosa. Ale nie jesteśmy ranni, w każdym razie nie poważnie. Dzięki za troskę.

– Widzisz? - stwierdziła kobieta. - Jak na włóczęgę, całkiem nieźle mówi po angielsku.

– Wszyscy oni mówią po angielsku - odrzekł mężczyzna. - Dowodzi to tylko tego, że cię rozumieją, nawet jeśli stoją i gapią się na ciebie, jakbyś była z jakiegoś księżycy. Chodź, Edith. Potrafię rozpoznać pijanych włóczęgów. To pewnie nawet nie była ich łódź. Rzuć im jakieś drobne i chodźmy.

Kobieta otworzyła portmonetkę i rzuciła przez murek garść monet. Pieniążki zabrzęczały o skały pomiędzy Indym a Alecia.

Potem amerykańscy turyści nie oglądając się odeszli, a tłum się rozproszył.

– Dlaczego w takich przypadkach ludzie zawsze rzucają mi monety? - zadumał się Indy.

– No cóż - powiedziała Alecia, otrzepując się i starając się odzyskać spokój. Podniosła pięćdziesięciocentówkę i zaczęła się w nią wpatrywać.

Na jej policzku zabłysła w świetle księżycy pojedyncza łza.

– Spójrz na to inaczej - zaproponował Indy, ocierając łzę swoim kciukiem. - Jesteśmy trochę bogatsi. Wiemy, że podejście naukowe działa. A gdybyśmy zostali zabici, to przynajmniej zginęlibyśmy szczęśliwi. - To jest właśnie problem - wyszeptała. Nie chcę umierać. Przykro mi, ale nie mogę tego więcej robić.

1.

Kości smoka

Princeton, New Jersey, Halloween, 1933

Siedząc samotnie w swoim malutkim pokoju na trzecim piętrze Wydziału Sztuki i Archeologii, Indiana Jones otworzył butelkę szkockiej i z niechęcią spojrzął na biurko, gdzie piętrzył się stos prac napisanych przez studentów i poczta, na którą jeszcze nie odpowiedział.

Na zewnątrz radosne upiory i gobliny ganiały po dziedzińcu w poszukiwaniu nowych ofiar. Ale Indiana Jones przezornie zamknął drzwi, a nawet odłączył telefon. Miał już po dziurki w nosie przesądów i nie chciał, by mu przypominano, że jego wiara w naukę nie idzie w parze z własnym, gorzkim doświadczeniem.

Już od tygodnia nie miał ochoty pracować, a w miarę powiększania się stosu papierów coraz mniej był skłonny choćby zacząć. Codzienne wleczenie się na zajęcia przypominało chodzenie w kieracie, Indy odwołał więc wiele wykładów. W zamian bardzo dużo czytał i chodził na różne prelekcje. Jego studenci mogliby mieć powody do obaw, ale zastępował go przecież Marcus Brody z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej.

Codzienny tok zajęć Indy'ego zależał od nadejścia poczty. Dopiero wtedy, gdy sekretarka Penelope Angstrom wręczała mu każdego ranka nowy plik, promyk nadziei budził się w jego sercu. Prosił pannę Angstrom, żeby wychodząc zamknęła drzwi, a następnie wolno sortował koperty, nie

otwierając ich. Gdy już skończył, przeglądał je ponownie. Niczego to jednak nie zmieniało: żadnej z nich nie nadano z Londynu.

Jego najnowszym nałogiem stała się szkocka. Dzisiaj znowu przyniósł butelkę do biura i zamknął się pod pretekstem próby reanimacji swojej słabnącej etyki pracy. Gdy wyobraził sobie, jak jego ojciec, profesor Henry Jones, zareagowałby na tak niewybaczalne zerwanie więzi emocjonalnej pomiędzy nauczycielem i uczniami, wykrzywił twarz w uśmiechu.

Nalał sobie trochę szkockiej, zamieszał, a następnie podniósł szklankę, udając, że wznosi toast.

– Za twoje zdrowie, Alecio - powiedział. - Albo przynajmniej za twą pamięć.

Kiedy zamknął oczy i zbliżył szklankę do ust, jego uszu dobiegło pukanie. Było ono jednak tak delikatne, że Indy nie był pewien, czy ktoś w ogóle jest za drzwiami. Zatrzymał rękę ze szklanką w połowie dystansu, przy brodzie, a kiedy znowu usłyszał pukanie, krzyknął, że wydział jest zamknięty.

– Przepraszam - odezwał się kobiecy głos - ale szukam doktora Jonesa.

Indy poczuł ulgę. Uniwersytet Princeton nie był koedukacyjny, więc nie mogła być to studentka, która chciała się dowiedzieć, jak ocenia tą czy inną pracę.

– Chwileczkę. - Przygładził włosy i poprawił krawat. Był już niemal przy drzwiach, kiedy przypomniał sobie o szkockiej. Skoczył w stronę biurka, zamknął butelkę i nerwowo zaczął szukać miejsca, w którym mógłby ją schować. W szufladach biurka ani w szafkach nie było wystarczająco dużo wolnego miejsca. Postawił więc butelkę na podłodze za krzesłem, a następnie złapał szklankę i zaczął wylewać jej zawartość do doniczki z kwiatkiem. Przestał w obawie, że roślinka się zmarnuje.

Zdenerwowany, wlał sobie alkohol do gardła i z hukiem odstawił szklankę na blat.

– Jones - powiedział bełkotliwie, otwierając drzwi. Potem kaszlnął i otarł usta wierzchem dłoni.

Przed nim stała kobieta w wieku 25-30 lat w habitcie zakonnicy. Stała nieruchomo, trzymając kurczowo w dłoniach papierowe zawiniątko. Na serdecznym palcu jej lewej ręki lśniła złota obrączka. Z początku Indy pomyślał, że habit to przebranie na Halloween, że to dowcip, zmajstrowany przez jednego z jego kolegów, aby go podnieść na duchu.

– Przykro mi, nie mam słodyczy.

– Co proszę?

Kiedy Indy zobaczył wytarty różaniec, który wisiał u jej boku, zrozumiał, że popełnił gafę.

– Przepraszam - powiedział. - Czym mogę siostrze służyć?

– Proszę wybaczyć, że panu przeszkadzam - wyjąkała. - Poszłam do pańskiego domu, ale światła były zgaszone, więc pomyślałam, że może został pan dłużej w pracy. Mam nadzieję, że się nie naprzykrzam.

– Ależ skąd - odparł Indy czując się tak, jakby znowu był w szkole. - To znaczy, o ile siostra nie ma zamiaru przepytac mnie z łaciny. Proszę, niech siostra wejdzie.

Zdjął stos książek z drewnianego krzesła i poprosił ją, żeby usiadła. Kiedy wrócił na swoje miejsce za biurkiem, niechcący kopnął butelkę szkockiej, która przetoczyła się pod biurkiem na środek pokoju.

– Jestem siostra Joan - powiedziała w chwili, gdy butelka zatrzymała się u jej stóp. Podniosła ją i spojrzała na etykietę. - Wciąż świętujemy koniec prohibicji? Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie mogłam znieść smaku tego paskudztwa - zawsze przypominało to próbę połknięcia dymu.

– Nie jest tak, jak siostra myśli - zapewnił Indy, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

– Oczywiście, że nie - odrzekła, starając się znaleźć na biurku miejsce, gdzie mogłaby postawić butelkę. - Od czasu do czasu nawet Chrystus lubił wypić odrobinę wina.

Indy wziął od niej butelkę i postawił ją na parapecie.

– Niech mi pan wybaczy, że pana niepokoje - powiedziała Joan. - Jest pan znanym i szanowanym człowiekiem, dlatego przyszedłem prosić pana o pomoc.

– Słucham.

Joan przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Po pierwsze powinien pan wiedzieć, że jestem śledzona. Dwaj mężczyźni w płaszczach szli za mną aż do wejścia do tego budynku i podejrzewam, że nadal czekają na zewnątrz. Jeśli zgodzi się pan mi pomóc, może pan w znacznym stopniu narazić się na niebezpieczeństwo.

– Jest Halloween, siostrze - przypomniał Indy. - Wszędzie kręcą się ludzie w przeróżnych dziwacznych przebraniach.

– Tak, ale tych dwóch śledzi mnie już od ponad tygodnia. Przeszukali dom mojego ojca w Connecticut i ciężko pobili naszego ogrodnika, kiedy wszedł im w drogę. Ma teraz połamane żebra i zwichniętą rękę.

– Czemu mieliby zrobić coś takiego?

– Nie wiem - odparta Joan. - Widzi pan, doktorze Jones, ja i mój ojciec wierzymy, że ludzie są z natury dobrzy. Takie zachowania są dla mnie niepojęte. Ale może wiąże się to z tym, co mam w tym worku, i z tym, że moim ojcem jest Angus Starbuck.

– Paleontolog.

Indy czuł, że powoli rozjaśnia mu się w głowie.

– Zna pan mojego ojca?

– Oczywiście. Spotkałem go czekając na pociąg w Szanghaju. Całą godzinę bardzo miło gawędziliśmy o rzeźbach dinozaurów w Central Parku. Co u niego?

– Zaginął - powiedziała Joan. - Gdzieś na pustyni Gobi. Stamtąd pochodzi ta kość i to ona właśnie przyciągnęła go do tak odległego i niebezpiecznego miejsca.

Otworzyła worek i wyciągnęła dziwnie ukształtowany róg, podając go Indy'emu.

Indy wyjął okulary z kieszeni marynarki. Róg miał ponad trzydzieści centymetrów długości i był mniej więcej tak samo szeroki u podstawy.

– Niesamowite - stwierdził, przypatrując się rogowi w świetle lampy stojącej na biurku. Zaczął szperać w szufladzie, żeby znaleźć szkło powiększające.

– Niech mi siostra opowie więcej o swoim ojcu. Kiedy zniknął?

– Sześć miesięcy temu - odparła Joan. - Ostatni list, który od niego dostałam, został nadany w Urdze w Mongolii.

– Mongolia Zewnętrzna jest od dziesięcioleci przedmiotem walk pomiędzy Rosjanami i Chińczykami - powiedział Indy. - Odkąd komuniści przejęli władzę w dwudziestym pierwszym, wszystkich cudzoziemców zaczęto podejrzewać o szpiegostwo albo sabotaż lub o coś jeszcze gorszego. Trudno dotrzeć do tego miejsca. Sześciomiesięczną przerwę pomiędzy listami można chyba uznać za coś normalnego w tej części świata.

– Możliwe jednak, że jakiś wódz torturuje go, chcąc się dowiedzieć, gdzie się znajduje więcej takich kości - powiedziała Joan. - Chińczycy nazywają skamieniałe resztki dinozaurów kośćmi smoków i wierzą, że mają one magiczną moc. Sproszkowane, rzekomo leczą wszystko, począwszy od

kataru, a skończywszy na impotencji. Informacje o położeniu miejsca, gdzie się znajdują, byłyby warte fortunę na czarnym rynku, doktorze Jones.

– Niewykluczone - stwierdził Indy. - Ale wydaje się to mało prawdopodobne. Myli się siostra co do natury tej kości.

– Co pan ma na myśli?

– Nie jest skamieniała. Kości nie ulegają zepsuciu przez wiele milionów lat dzięki minerałom, które przedostają się do porów i stopniowo kopiują oryginał w najdokładniejszych szczegółach. Ale ten okaz nie wykazuje żadnych oznak skamienienia; jest na to o wiele za lekki i zdecydowanie zbyt miękki.

– Więc to oszustwo?

– To kość żywego zwierzęcia - powiedział Indy.

– Jakiego zwierzęcia?

– Jestem archeologiem, nie zoologiem. Żeby mieć pewność, trzeba by spytać eksperta. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że należała do nosorożca.

– Więc dlaczego tak by to podekscytowało mojego ojca?

– Nie wiem. Ale możemy zapytać mojego przyjaciela z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Jutro jest sobota, więc nie mam zajęć. Czy zechce siostra pojechać ze mną porannym pociągami do Nowego Jorku?

– A więc pomoże mi pan?

– Jeśli chodzi o kość - tak. Tymczasem miejmy nadzieję, że list od ojca siostry przyjdzie jutro rano. Zobaczysz siostra, że szybko uda nam się rozwiązać tę zagadkę.

Joan skinęła głową.

– Ma siostra gdzie się zatrzymać na noc?

– Jestem pewna, że znajdą odpowiedni nocleg w Chrześcijańskim Towarzystwie Młodych Kobiet - oznajmiła pogodnie, choć jej oczy uciekły

w bok. - Jest chyba kilka przecznic dalej. Myślę, że energiczny spacer dobrze mi zrobi.

- Wygląda siostra na zmęczoną - powiedział Indy. - Czy nie zechciałaby siostra zatrzymać się na noc u mojej przyjaciółki? Penelope Angstrom jest sekretarką naszego wydziału i jestem pewien, że byłaby zadowolona z towarzystwa. Proszę pozwolić mi zadzwonić w siostry imieniu i, jeśli panna Angstrom się zgodzi, zabiorą tam siostrę.

Joan zarumieniła się.

- Tak, oczywiście - odparła. - Niech pan wybaczy, ale przez chwilę myślałam, że poprosi pan, żebym została na noc z panem.

- Przeszło mi to przez myśl.

- Doktorze Jones! Jest pan bardziej pijany niż myślałam.

- Oczywiście chodziło mi tylko o to, że była siostra śledzona, no i ta sprawa z ogrodnikiem siostry ojca - wyjaśnił Indy. - Proszę mi wierzyć: prędzej nadepnę na grzechotnika, niż będę się przystawiał do zakonnicy.

- Nie owija pan w bawełnę - powiedziała Joan. - Cóż, obawiam się, że jest pan po prostu szczery. Większość mężczyzn, jak się zdaje, podziela pańską pogardę.

- Wydaje się siostra zawiedziona.

- Szczerze mówiąc, jest to jeden z aspektów powołania, z którym się do końca nie pogodziłam - urwała, przerażona tym, co właśnie powiedziała. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, doktorze Jones. Chodziło mi o to, że większość mężczyzn traktuje nas, zakonnice, jakbyśmy były stworzone z gipsu, a nie z krwi i ciała. Nigdy nie... To znaczy, nie wolno panu źle o mnie myśleć.

- Jeśli nie będzie mnie siostra nazywać pijakiem, nie nazwą siostry...

- Rozumiem - odparła szybko Joan.

Indy chciał ją zapytać, do jakiego właściwie należała zakonu, ale postanowił poczekać na lepszą okazję. Zamiast tego podniósł słuchawkę i kilkakrotnie nacisnął widełki, starając się przywołać centralę.

– Myślę, że musi pan ponownie włożyć wtyczkę do gniazdka, żeby telefon zadziałał.

Indy uśmiechnął się szeroko, wkładając z powrotem kable w mosiężne zaciski i osłaniając nakrętki.

– Czy mogą zadać panu pytanie, doktorze Jones?

– Nawet dwa.

– Nie wygląda pan na człowieka, który zamykałby się w pokoju z butelką mocnego alkoholu. Z jakimi demonami pan walczy?

– Demony - powiedział Indy - to właściwe słowo. Ale tego nie wyjaśnił.

– Wie siostra co? - zapytał, otwierając okno. - Tak naprawdę to świństwo nigdy mi nie smakowało. Otworzył butelkę, wystawił na zewnątrz i wylał zawartość na trawnik trzy piętra niżej.

Pod sufitem galerii na drugim piętrze Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej wisiał model płetwala błękitnego, zrobiony w skali 1:1 z kątowników stalowych, drewna lipy i *papier mache*. Dwudziestotrzymetrowy model wyglądał tak, jakby zamarł podczas skoku z galerii na drugim piętrze („Ssaki świata”) i, nurkując między balustradami, miał się za chwilę znaleźć na piętrze pierwszym („Ssaki Ameryki Północnej”).

Joan zatrzymała się i, tak jak dziesiątki tysięcy zwiedzających przed nią, popatrzyła w górę na masywne cielsko wieloryba.

– Największe zwierzę, jakie kiedykolwiek żyło - zauważyła zdziwionym głosem. - Jeszcze większe od dinozaurów. A żywi się niemal wyłącznie

planktonem, który jest przecież mikroskopijny. To dla nas, ssaków, prawdziwy sukces.

– Owszem, lubię ssaki i tego tutaj też - powiedział Indy, ciągnąc ją za łokieć. - Ale jeśli spędzimy jeszcze trochę czasu na tym piętrze, w końcu to nas skatalogują.

– Przynajmniej jesteśmy w odpowiednim dziale - stwierdziła Joan. Mocno ścisnęła papierową torbę, w której znajdował się róg.

– Chodźmy - ponaglił Indy. - Brody czeka. Później będzie mnóstwo czasu, żeby odwiedzić naszych krewnych.

Kilka minut później siedzieli już w gabinecie Marcusa Brody'ego na czwartym piętrze muzeum. Podczas gdy Joan opowiadała swoją historię, Brody bez końca obracał róg w dłoniach i wielokrotnie przebiegał palcami po jego zakończeniu. We wspaniale urządzonej gabinecie było cicho jak w grobie i Indy przyłapał się na tym, że przysnął w wygodnym, skórzanym fotelu.

– Indy, obudź się - upomniał go Brody, gdy historia dobiegła końca. - Zachowujesz się nieuprzejmie.

– Przepraszam.

– Niech go pan nie zmusza do przeprosin - powiedziała Joan. - Obawiam się, że już i tak ma przesadne wyobrażenie o rycerskości. Spędził noc na ulicy, w swoim samochodzie, chroniąc mnie przed całą armią goblinów.

To rzeczywiście bardzo szlachetne - stwierdził Brody, kładąc róg na biurku. - Wystarczający powód, żeby mu ten jeden raz wybaczyć. Indy, masz może ochotę na kawę? To by cię postawiło na nogi.

Indy potaknął.

– A siostra ma na coś ochotę? Może herbaty? Joan potrząsnęła głową.

Brody przez interkom poprosił swojego nowego asystenta, żeby przyniósł dwie kawy.

– Co pan o tym myśli? - zapytała Joan.

– O rogu? Sam nie wiem - powiedział Brody. - Jestem skłonny przychylić się do zdania Indy'ego, ale lepiej zasięgnijmy opinii eksperta.

Kilka minut później asystent Brody'ego wniósł tacę z kawą. Był to pogrążony w myślach młody człowiek w wieku dwudziestu paru lat, o krótko ostrzyżonych włosach. Cerę miał niezdrową z nadmiaru nauki i braku słońca.

– Indy - zwrócił się Brody do Jonesa - powinieneś poznać tego młodzieńca. To doktorant uniwersytetu Columbia; pracuje tutaj na niepełnym etacie, aby móc zapłacić za pokój i wyżywienie. No, i jest to mój bratanek. Nazywa się James Brody, chociaż rodzina mówi na niego Sunny Jim.

– Wujku - zaprotestował nieśmiało młodzieniec.

– Przepraszam, Jamesie. Hm, taaak... Chciałbym ci przedstawić Indianę Jonesa i jego przyjaciółkę, siostrę Joan. Indiana jest profesorem archeologii na Uniwersytecie Princeton, a siostra... Przepraszam, mówiła siostra, że jest z jakiego zakonu?

– Nie mówiłam.

– Tak, rzeczywiście - przytaknął Brody. Młodzieniec kiwnął głową w roztargnieniu i mruknął coś pod nosem.

– Jim! - skarcił go Brody. - Nie możesz być trochę, bardziej uprzejmy?

– Wujku, myślałem o tym, co powiedział mi wczoraj Joe. Powiedział...

– Kto to jest Joe? - zapytał Indy.

– Młody Joe Campbell, absolwent Uniwersytetu Columbia i dyrektor szkoły Canterbury w Connecticut - odparł Brody. - Ma dość duży wpływ na Jima. Ten Campbell całe weekendy spędza w muzeum. Stoi z rękami założonymi z tyłu i godzinami gapi się na eksponaty, zwłaszcza na te, które

mają związek z Indianami. Szczerze mówiąc, skóra mi cierpnie na jego widok. Myślę, że sam by się podkradł i został eksponatem, gdyby...

– Co takiego miał wczoraj ten Joe do powiedzenia? - zapytał Indy, starając się przerwać przemowę Brody'ego.

– Nie jestem pewien, czy potrafię zrelacjonować to dokładnie - odrzekł James, ożywiając się nagle. - Ale Joe dużo ostatnio myślał o tym, w jaki sposób przedśmienne społeczeństwa przekazują wartości poprzez mity i jak te mity są uderzająco podobne do siebie. Zupełnie tak, jak gdyby istniał jeden tylko bohater i jeden ciąg przygód, i opowiada się właściwie o cały czas to samo zmieniając tylko imiona i szczegóły. Weźmy na przykład życie Chrystusa. Nieważne, czy to prawda, czy nie..

– Co za bzdury! - wykrzyknął Brody.

– Wujku? tylko posłuchaj - powiedział James. - Ważny jest pewien powtarzający się rodzaj mitu, a nie możliwość jego potwierdzenia. Religia przeistacza mit w teologię i tu właśnie zaczynają się kłopoty. Zauważ, jak gwałtownie zareagowałeś na sugestię, że zmartwychwstanie nie było rzeczywistym, dającym się potwierdzić wydarzeniem. Możemy za to podziękować wpływowi cywilizacji Zachodu.

– Więc w co właściwie mamy wierzyć? - zapytał Brody.

– W to, co jest tutaj - powiedział James przykładając dłoń do serca Brody'ego. - Joe mówi, że spisana historia to koszmar, z którego usiłujemy się przebudzić.

– To myśl z *Ulissesa* - stwierdził Indy.

– I pewnie wszyscy powinniśmy rzucić książki i odwrócić się od cudów techniki, stworzonych przez współczesną naukę żebyśmy mogli znowu żyć w szałasach i wzywać szamanów, kiedy zachorujemy - ironizował Brody.

– No i proszę, znowu to samo, wujku - denerwował się James. - Wszystko jest dla ciebie albo czarne albo białe. Widzę, że straciłeś

przyrodzoną zdolność łączenia wiedzy i ducha.

– Oho! - powiedział Brody.

– Właściwie - włączyła się do rozmowy Jean - przyrówna nie spiswanej historii do koszmaru wydaje mi się bardzo sugestywne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ostatnie rozdziały gaz musztardowy, bombardowania, kolejki po chleb gangi. Być, może powrót do bardziej prymitywnego sposobu życia to nie taki zły pomysł. Byłaby w tym, hm, pewna niewinność.

– I sporo brudu - kpił Brody.

– Nie zwracaj uwagi na to, co mówi twój wujek - rzekł Indy. - Są to rzeczy, które będziesz musiał poznać sam. Poza tym jestem pewien, że kiedy Marcus był w twoim wieku też go pasjonowały nowe pomysły.

– Jeszcze się nie szykuje do domu starców. Brody. - Słuchaj, Jim, zrobiłbyś może dobry uczynek?' Zaniósłbyś tę kość do laboratorium na pierwszym piętrze. Poproś doktora Larsona, żeby ją obejrzał i szybko przedstawił nam swoją opinię. Zaczekamy. I przynajmniej przez kilka dni trzymaj się z daleka od tego Campbella.

– Tak jest - powiedział młodzieniec i ostrożnie podniósł kość Kiedy James wyszedł, Indy położył dłoń na ramieniu Marcusa Brody'ego. - Jesteś dla Jima zbyt surowy - oznajmił - Daj mu trochę odetchnąć. Świat wciąż jest dla niego nowy, więc pozwól mu się nim cieszyć, dopóki może. Poza tym pomysły jego przyjaciela mają jakiś sens, nawet jeśli świat Marcusa Brody'ego nie jest na nie gotów.

– Gdyby ten świat miał być na nie gotów; to niech nas Pan Bóg brom - stwierdził Brody. - Nie możemy sobie pozwolić na poddanie się takim impulsom i zrezygnować, chcąc nie chcąc z tysięcy lat nauki i tradycji. Co by się wtedy z nami stało?

– Moglibyśmy po prostu być szczęśliwi - zasugerowała Joan.

– Albo nieszczęśliwi tak bardzo, że nawet tego sobie nie potrafimy wyobrazić - powiedział Brody. - Przepraszam wygląda chyba na to, że nadal prowadzę kłótnię ze swoim bratankiem. Masz rację, Indy. Jestem dla niego zbyt surowy. Wiesz bystry umysł i siła woli Jima przypominają mi innego młodego gościa, któremu przyszedłem z pomocą wiele lat temu, kiedy kończył studia. Nie okazał się taki zły.

Indy szeroko się uśmiechnął.

– Widocznie się o to postarałeś.

– Cóż, przyjemnie pomyśleć, że pomogło właśnie moje prawienie morałów - powiedział Brody. - Na marginesie wprowadzie zachowuję się pewnie teraz jak; wścibski wujek ale jak się układają sprawy pomiędzy tobą a twoją przyjaciółką z biblioteki brytyjskiej?

– Masz na myśli Alecię? - zapytał Indy. - to skończone, Marcusie. Przynajmniej dopóki me odnajdę Kryształowej Czaszki i nie zwrócą jej tam, gdzie jej miejsce.

– Bardzo mi przykro - speszył się Brody.

– Zerwała ze względu na stan zdrowia - wyjaśnił ze smutkiem w głosie Indy. - Wiesz, nie wierzę w klątwy, ale ta - że będę zabijał to, co kocham, dopóki nie zwrócę czaszki - wydaje się sprawdzać. Nie mogę, Marcusie, winić za to Alecii, ale to niczego nie ułatwia....

Zadzwoił telefon na biurku Brody'ego.

– O, wygląda na to, że mamy już opinię od naszego drogiego doktora - powiedział Brody i podniósł słuchawkę. W miarę słuchania jego twarz stawała się coraz poważniejsza. Poszperał w kieszeniach i wyciągnął pióro i kawałek papieru. Zanotował coś pospiesznie, zapytał: Czy jest pan absolutnie pewien?, a następnie odłożył słuchawkę i usiadł za biurkiem.

– To Larson - oświadczył.

– I co mówi?

– Kość pochodzi ze zwierzęcia, które żyło jeszcze całkiem niedawno. Zajrzał do notatek. - Larson szacuje, że ledwie kilka miesięcy temu.

– Tak właśnie myśleliśmy, nieprawdaż? - zapytał Indy.

– Otóż nie - odparł Brody. - Chodzi o to - i jest to ekspertyza Larsona - że róg należy do tryceratopsa. Jest to zwierzę okresu kredowego, który skończył się sześćdziesiąt trzy miliony lat temu. Dinozaur.

Indy rozlał kawę.

– Czy on jest tego pewien? - zapytała Joan.

– Jest jeszcze dużo do zrobienia, trzeba wykonać sporą liczbę doświadczeń - oznajmił Brody. - Możliwe, że to jakiś wybryk natury, rodzaj figla, który splątał nam wszechświat. W każdym razie Larson nie posiada się z radości. Chce, żebyśmy do niego ze szli i żeby siostra Joan opowiedziała mu o pochodzeniu rogu.

Indy przyłożył chusteczkę do plamy z kawy na swoich spodniach.

– Jeśli róg jest autentyczny - powiedział - mogłoby to być najważniejsze odkrycie naukowe wszechczasów.

– I jest ono w naszych rękach - promieniał Brody.

– To znaczy, jeśli siostra Joan będzie tak miła i go nam wypożyczy. Obiecuję, że zajmiemy się nim bardzo troskliwie i uznamy zasługi tych, którym się to należy.

– Oczywiście - zgodził się. - Muszę jednak przyznać, iż dość trudno w to wszystko uwierzyć. A panowie powinni pamiętać, że najbardziej zależy mi na znalezieniu mego ojca.

– Ojca siostry? A, tak, oczywiście - powiedział Brody.

– Marcusie - upomniał go łagodnie Indy.

– O co chodzi, Indy?

Indy wstał z krzesła i podszedł do okna. Wsadził ręce do kieszeni i popatrzył przez szybę daleko na wschód, ponad Central Parkiem.

– Być może ta kość jest zaledwie wstępem do największego odkrycia naukowego wszechczasów - powiedział. - Być może gdzieś tam żyje tryceratops, któremu brakuje jednego rogu. A nawet jeśli jest martwy, mogą żyć inne... Kto wie, Marcusie, może w Mongolii Zewnętrznej całe stado dinozaurów tylko czeka, aż je odkryjemy.

Brody'emu zapało dech w piersiach.

– Jest pan w stanie wnioskować o tym wszystkim na podstawie tego artefaktu? - zapytała Joan.

– Nie, to nie artefakt - sprostował Indy. - Artefakty są dziełem człowieka. To jest ekofakt, wytwór jak najbardziej naturalny. A jeśli róg jest rzeczywiście autentyczny, mógłby się okazać paleontologicznym kamieniem z Rosetty. Pomógłby nam znaleźć odpowiedzi na pytania, które pobudzały naszą wyobraźnię, odkąd Sir Richard Owen sto lat temu ukuł wyraz dinozaur. Musielibyśmy tylko wymyślić nowe słowo, które oznaczałoby naukę o żywych dinozaurach.

– Wnioskuje więc, że odnalezienie mojego ojca nagle nabrało dodatkowego znaczenia - powiedziała Joan.

– I tempa - dodał Brody. Odwrócił się i pociągnął w dół zwijaną, kolorową mapę Azji. - Dzięki temu poszukiwania doktora Livingstone'a wydadzą się niemal spacerem po parku...

– Więc muzeum wyśle ekspedycję? - zapytała Joan.

– Muzeum nie jest w stanie sfinansować ekspedycji zakrojonej na taką skalę - zaproponował Indy. - W rzeczywistości wydawanie pieniędzy muzeum na ekspedycje czy prace w terenie jest od dwóch lat całkowicie zakazane. Dlatego właśnie w sprawach zaopatrzenia Marcus zdał się na mnie. Sam jeden staram się, by zbiory Muzeum były co jakiś czas aktualizowane.

– To prawda - powiedział Brody. - Kryzys ekonomiczny w kraju uderzył w nas tak samo jak i w inne instytucje, Szkoda, że tyle pieniędzy muzeum

zostało zamrożonych w kolei... Ale tym razem, Indy - to co innego. Sądzę, że potrafię przekonać szefa, iż taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. - Jestem też pewien, że możemy liczyć na prywatnych inwestorów.

- Co to za szef? - zapytała Joan.

- Henry Fairfield Osborn - wyjaśnił Indy. - Dyrektor muzeum od 1908 roku. Gdyby już miał się zgodzić na wysłanie ekspedycji gdzieś poza kraj, to właśnie do Mongolii. Od wielu lat trzyma się swojej ulubionej teorii, że człowiek rozwijał się w Azji Środkowej i że najwcześniejsze kości ludzkie zostaną znalezione właśnie tam.

- Brakujące ogniwo?

- Coś w tym rodzaju - powiedział Indy.

- Ale nasz prawdziwy cel musi pozostać ściśle strzeżoną tajemnicą - ciągnął Brody. - Nie chcemy, żeby dotarło tam przed nami pół świata.

- Ale to Mongolia, Marcusie. Pomyśl o trudnościach.

- Tak, wiem - przyznał Brody i palcem wskazującym przejechał od Szanghaju ku sercu Azji. - Ekspedycja musiałaby stawić czoło niemal najcięższym warunkom na naszej planecie. Temperatury, które przypiekają człowieka w ciągu dnia, a w nocy powodują, że się zamarza. Wściekłe burze i okrutni wodzowie. Mapy, z reguły niemal zupełnie bezużyteczne. O tym, co się dzieje w głębi tego kraju wiemy tak mało, że równie dobrze moglibyśmy wyruszyć na ciemną stronę księżyca. A nawet tego się nie da porównywać, biorąc pod uwagę nastawienie kontrolowanego przez Rosjan rządu Mongolii. No, ale z drugiej strony nie mówiłem, że będzie łatwo.

- Nigdy tak nie mówisz - zauważył Indy.

- Cóż, nie spodziewałbyś się chyba, że ostatni żyjący dinozaur strąca pola kukurydzy gdzieś w Kansas. - Brody podniósł słuchawkę i nacisnął widelki. - Idźcie we dwójkę i pogadajcie z Larsonem. Ja zacznę przygotowywać twoją ekspedycję.

– Moją ekspedycję? - zapytał Indy. - Jest środek semestru. Nie mogę wyjechać. Pomyśl o logistyce, która się z tym wiąże - potrzebujemy ciężarówek, wielbłądów i wyposażenia. A i to tylko przy założeniu, że Chińczycy, Rosjanie i Mongołowie wpuszczą nas w ogóle do kraju.

– Indy - jęknął Brody. - Mamy tę jedną wielką szansę. Twój studenci mogą poczekać. A może gdzieś w Mongolii żyje dinozaur, który poczekać nie może.

Doktor Jonathan Larson pociągnął łyk żytniówki i uważnie przyjrzał się rogowi. Potem przetarł okulary połą koszuli, na kilka chwil zamknął oczy i nagle otworzył je znowu.

– Wciąż mi się wydaje, że zniknie - wyznał Indy'emu. - Nadal nie jestem przekonany, czy nie śpię w łóżku, śniąc najbardziej zadziwiający sen.

– To nie sen - powiedział Indy.

– Czy jest pan pewien, że róg jest autentyczny? - zapytała Joan.

– Każdy mógłby to stwierdzić - odparł Larson. - Nie mamy typowego okazu, z którym moglibyśmy go porównać, ale pod każdym względem wygląda jak skamieniałe rogi, które są w naszym posiadaniu. Z całą pewnością pochodzi z tryceratopsa, a nie z nosorożca.

– Czy może pan powiedzieć coś o wieku czy też o stanie zdrowia tego zwierzęcia? - zapytał Indy.

– Trochę tak - stwierdził Larson. - Na przykład czubek rogu jest starty - od zdobywania pożywienia i być może na skutek stoczonych walk - w podobny sposób, jak inne skamieniałości, wyglądałoby więc na to, że należał do silnego zwierzęcia. Wydaje się też pochodzić z osobnika dorosłego, chociaż jest nieco mniejszy od wielu naszych okazów. Przypuszczam, że to róg samicy. Ale kto wie?

Pociągnął kolejny łyk alkoholu.

– Należy go odpowiednio skatalogować - oświadczył Larson. - Najpierw trzeba go przesłać do laboratorium fotograficznego. Później będziemy musieli znaleźć miejsce, w którym można by ten róg przechowywać.

– Nie wsadzi pan go chyba do zbiornika z formaldehydem? - spytała Joan.

– Nie - odrzekł Larson. - Sądzę, że najlepiej będzie przechować róg w jednej z chłodziarek w kuchni i mieć nadzieję, że żaden z kucharzy nie wrzuci go do gulaszu.

Larson zdjął z wiszącej z tyłu półki drewniane pudełko na okazy i postawił je na stole, po czym trzęsącymi się rękami ułożył róg w środku i zatrzasnął pokrywkę.

– Zechciałby pan dostarczyć je do laboratorium fotograficznego? - zapytał Indy'ego. - Obawiam się, że sobie nie mogę ufać. Laboratorium jest na...

– Wiem, gdzie jest - oznajmił Indy i podniósł pudełko.

– Czy miałby pan coś przeciwko, temu, żebym to ja je zaniósła? - wtrąciła się Joan.

– Jest to ostatnia namacalna rzecz związana z moim ojcem, a obawiam się, że nie będę mogła dotknąć jej ponownie przez bardzo długi czas.

Indy skinął głową ze zrozumieniem i podał pudełko.

– Niech siostra uważa - powiedział, zamykając drzwi do laboratorium Larsona. - Może się przydać, żeby zachować gatunek inny niż nasz.

Gdy wyszli z windy na drugim piętrze i wędrowali wzdłuż galerii w kierunku laboratorium fotograficznego, które przylegało do pomieszczeń dla zwiedzających, Indy zauważył dwóch Azjatów, opierających się o balustradę. Po ożywionej dyskusji widać było, że niezmiernie zainteresował ich model wieloryba. Obydwaj mieli ogolone głowy oraz szafranowe szaty, wskazujące, że są buddystami.

Joan szła po stronie zewnętrznej, bliżej mężczyzn. Gdy ich mijala, jeden z nich skinął głową. Był to rodzaj lekkiego ukłonu, tak powszechnego na Wschodzie, jak na Zachodzie złapanie za brzeg kapelusza. Joan uśmiechnęła się.

Mężczyzna wyciągnął rękę i szybko, jak wąż, wyrwał pudełko z rogiem z jej rąk.

– Indy! - krzyknęła Joan.

Uciekający w kierunku schodów mnich z pudełkiem wyglądał jak rozmazana pomarańczowa plama.

Indy pognął za nim, ale drugi mnich zasadził się dokładnie na jego drodze. Przybrał pozycję bojową, a jego nagie palce u nóg wczepiły się w podłogę jak pazury.

Mnich uklonił się lekko, gotując się do walki.

Indy przydepnął palce wysuniętej do przodu stopy przeciwnika obcasem swego wypastowanego buta. Gdy mnich instynktownie podniósł nogę z pulsującymi z bólu palcami, Indy kopnął drugą nogę, na której tamten się opierał.

Następnie przeskoczył przez niego i zaczął zbiegać po schodach.

Uciekający mnich był daleko przed nim i przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Ale najwidoczniej zignorował umieszczony na półpiętrze znak ostrzegający przed mokrą podłogą. Dozorca, który ze znudzeniem wycierał podłogę po kilku drugoklasistach z Brooklynu, nie wierzył własnym oczom, gdy mnich przejechał obok niego po śliskiej posadzce, i boleśnie uderzył o ścianę.

Pudełko z rogiem wypadło mnichowi z rąk.

Indy też się prześlizgnął obok znaku. Przebierał nogami i starał się znaleźć dla butów punkt oparcia, ale mimo to walnął w ścianę obok

mnicha. Rzucił się po pudełko, ale mnich kopnął je tak, że ten nie mógł go dosięgnąć.

– Łap pudełko! - krzyknął Indy.

– Ja? - zapytał dozorca.

Mnich trzymał teraz Indy'ego w uścisku i starał się skrócić mu głowę przez prawe ramię.

– Weź go ze mnie - wykrztusił Indy. Dozorca prasnął mnicha końcem szczotki służącej do szorowania.

– Drugim końcem! - krzyknął Indy.

– Co? A!

Dozorca odwrócił szczotkę i zaczął nim walić w głowę mnicha niczym kijem bejsbolowym. Mnich puścił Indy'ego, złapał koniec kija prawą ręką i wyszarpnął go dozorczy. Następnie złamał kij uderzeniem krawędzi stopy.

Dozorca uciekł.

Gramoląc się po mokrej podłodze Indy chwycił pudełko z rogiem i wbiegł z nim po schodach. Mnich rzucił się za nim, wymachując kijem od szczotki.

Dogonił go przy końcu schodów i uderzył Indy'ego kijem prosto między łopatki. Indy zawadził o barierkę. Pudełko wypadło mu z rąk i wylądowało poza ich zasięgiem, na ogonie wieloryba.

– No? - Indy wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - I co teraz zrobisz?

– Hai! - wrzasnął mnich i rzucił się na Indy'ego.

Indy odchylił się w bok.

Mnich przeskoczył przez balustradę i poszybował w powietrzu, szaleńczo przy tym wymachując nogami i rękami, co przypominało nieco skok o tyczce. Zanurzył się w grzbiecie wieloryba i drucziana sieć wygięła

się, a kawałki gipsu spadły z sufitu z przeciążonych łańcuchów kotwicznych.

Mnich wyciągnął pudełko i krzyknął coś do swojego partnera, który siedział po turecku w pobliżu Joan, pocierając stopę. Pobiegnął, utykając na jedną nogę.

– Sprowadź pomoc. Odetnij im drogę - zawołał Indy, wspinając się na balustradę. - I powiedz Brody'emu, że kupię mu nowy model.

Indy skoczył na grzbiet wieloryba i przedziurawił jego powłoką prawą stopą. Liny zatrzeszczały w proteście i z sufitu poleciały kolejne kawałki gipsu.

– Myślałeś, że tego nie zrobię, co? - zapytał Indy swojego przeciwnika.

Dwie liny pękły i wieloryb przechylił się niebezpiecznie na prawą stronę. Nauczyciel, który oprowadzał drugoklasistów po pierwszym piętrze, nie widział dwóch mężczyzn. Krzyknął i odciągnął dzieci, ponieważ płetwal sprawiał wrażenie, że za chwilę ich zaatakuje.

Mnich wybił pięścią dziurę w konstrukcji z *papier mache* i drucianej siatki, i wszedł z pudełkiem do wnętrza potwora. Indy poszedł w jego ślady. Gdy wpadał do środka, kawałek drutu rozciął mu policzek.

– Psiakrew - powiedział Indy i ostrożnie dotknął policzka.

Coś przemknęło przez jego stopę; strząsnął mysz kopnięciem. Gryzonie, nie zważając na druty odciągowe, zrobiły sobie wygodny dom w brzuchu płetwala z *papier mache*.

Mnich zmierzał wzdłuż stalowych kątowników ku paszczęce zwierza. Odczepiła się kolejna lina i ogon płetwala upadł z hukiem na pierwszym piętrze, rozbijając szklaną gablotę.

Reszta wieloryba osiadła ociężale na podłodze i rodzina myszy rozbiegła się we wszystkich kierunkach.

– Ale fajowo! - wykrzyknął jeden z drugoklasistów. Mnich przeturlał się z powrotem wzdłuż cielska wieloryba w kierunku ogona i Indy złapał go za kołnierz.

– Kim jesteś? - zapytał.

Mnich kurczowo ścisnął pudełko z rogiem i wpatrywał się w Indy'ego spokojnymi, brązowymi oczami. Uśmiechnął się zagadkowo, potem przeprosił w języku mandarynów. Indy znał ten język.

– Za co? - zapytał.

Mnich mocno przycisnął palce do splotu słonecznego Indy'ego.

Indy upadł na kolana, nie mogąc wymówić ani słowa. Prawą ręką chwycił brzeg szaty mnicha, oddzierając kawałek pomarańczowej tkaniny.

– To minie - powiedział mnich.

Następnie nogą wybił dziurę w brzuchu płetwala i zniknął wraz z pudełkiem.

Po kilku minutach Indy był już w stanie się wyczołgać. Leżał na podłodze, starając się złapać oddech. Marcus Brody stanął nad nim z założonymi rękami, oceniając rozmiary zniszczeń na pierwszym piętrze.

– Uciekli - stwierdził Brody. - Z rogiem.

– Przepraszam - powiedział Indy.

Brody ukląkł obok Indy'ego i obejrzał jego policzek.

– Nie ma co tracić czasu na przeprosiny - oznajmił. - Musisz wyjechać do Szanghaju dzisiaj po południu. Dasz radę się spakować w trzy godziny? Zadzwoń do doktora Moreya na Uniwersytecie Princeton. Postaram się wytłumaczyć, dlaczego jesteś nieobecny i zaofiaruję się wziąć na siebie twoje zajęcia, dopóki nie wrócisz. Jednak najpierw lekarz musi ci obejrzeć twarz. Wygląda na to, że trzeba założyć szwy.

– No pięknie - powiedział Indy.

Mysz przebiegła po jego mocno obtartych butach. Pozostałe jeszcze z pletwala błękitnego nadwerężone druty i metal wydały ostatni jęk i runęły.

2.

Szanghaj

– Nienawidzę tego miejsca - powiedział cierpko Indy.

– Hotelu czy miasta?

– Szanghaju - odparł Indy. - Zawsze, gdy tutaj jestem, robi mi się niedobrze, i to nie z powodu kłopotów z żołądkiem. W niektórych miejscach nie kwitnie nic oprócz zła.

Jedli śniadanie w sali restauracyjnej hotelu Cathay, w którym trzy lata wcześniej Noel Coward - chorując na gripę - w niecały tydzień napisał sztukę *Private Lives*.

– Daj spokój, Jones - powiedział Granger, zapalając fajkę i odsuwając pusty talerz po śniadaniu. - Czego się tu nie da lubić? Sześć milionów ludzi dostaje tu nieźle w dupę. Brak odpowiedniej kanalizacji, szerzą się choroby. Pełno jest gangów, domów publicznych, palarni opium. Ten region jest o krok od wybuchu wojny domowej, a armia japońska regularnie ćwiczy bombardowanie. Myślałem, Jones, że to przemawia do twojego amerykańskiego poczucia przygody.

– Szczerze mówiąc, moglibyście mieć trochę więcej szacunku dla tego miasta - oświadczyła Joan. - Szanghaj nazywa się również Paryżem Wschodu i to zasłużenie. Obawiam się, że tutejsze zło to produkt cywilizacji zachodniej, a nie Chin.

Granger odchrząknął.

– Jest w tym sporo racji - przyznał dyplomatycznie. Indy odepchnął śniadanie i skupił się na kawie. Trzy dni spędzone w ciasnym

pomieszczeniu amerykańskiego transportowca, którego nagłe skoki podczas lotu nad Pacyfikiem w kierunku Chin przypominały grę w klasy, mocno go wyczerpały.

– Lepiej zjedz te jajka, Jones - doradził Granger. - Przez kilka tygodni nie dostaniemy nic przyzwoitszego. Tam, gdzie jedziemy, przyjacielu, nie ma przewodników ani czterogwiazdkowych hoteli.

Walter Granger polował na duże zwierzęta i nałogowo poszukiwał przygód. Był weteranem kilku ekspedycji do Mongolii Zewnętrznej, zanim granice zostały zamknięte przed cudzoziemcami, i kluczową postacią w czasie ekspedycji Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej do Mongolii. Ekspedycja ta w 1920 roku znalazła pierwsze znane nauce jaja dinozaura.

Chociaż Grangerowi siwiały już skronie, trzymał się prosto. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a na jego opalonym ciele trudno by dostrzec choć gram tłuszczu. Jedynym fizycznym defektem było okaleczone prawe ucho. Jak każdego ranka, tak i dzisiaj ubrał się w koszulę khaki z przegródkami na naboje nad kieszeniami. Na głowie miał kapelusz, z którym się nigdy nie rozstawał - również w kolorze khaki. Kapelusz ozdabiał pasek ze skóry leoparda, sprawcy jego kalectwa. Granger nosił ten kapelusz nawet w domu, twierdząc, że dzięki temu lepiej słyszy.

Ale pomimo oczywistych kwalifikacji Grangera - a także pomimo jego manii - zasadniczym powodem, dla którego poproszono go, by poprowadził ekspedycję, było to, że Indy mu ufał. Wiele lat temu Granger uratował go od zostania głównym daniem plemienia polinezyjskich kanibali. Przekonał ich mianowicie, że cudzoziemcy o niebieskich oczach są znacznie smaczniejsi niż pospolita odmiana o oczach brązowych i skierował ludożerców na trop Conrada, znanego holenderskiego handlarza niewolnikami.

Plemię podziękowało potem Grangerowi za radę.

Granger wypukał popiół z fajki do popielniczki i wrzucił cybuch do jednej z przegródek na naboje nad górną kieszenią. Potem uprzątnął środek stołu i rozwinął mapę, stawiając solniczkę, pieprzniczkę oraz filiżankę kawy Indy'ego, aby przytrzymać zwijające się brzegi.

– Dziś rano, gdy czekałem na wasze przyjście, wytyczyłem trasę - powiedział Granger. - Możesz nie wyrazić zgody, Jonem ale myślę, że to będzie miało największy sens. Z Szanghaju pojedziemy koleją do Kalganu, gdzie tory kończą się u podnóży gór Shen Shei. Stamtąd niebezpieczny odcinek drogi, wijący się wzdłuż urwisk, poprowadzi nas do wrót w Wielkim Murze w przełęczy Wanshan. To z grubsza tysiąc sześćset kilometrów stąd.

– Tak, chyba taką właśnie trasą podążał mój ojciec - potwierdziła Joan. - Napisał to w jednym z ostatnich listów, które dostałam.

– To jedyna droga tam i z powrotem - powiedział Granger. - Karawany wykorzystywały tę przełęcz na tysiąc lat, zanim ujrzał ją Marco Polo... Po zdobyciu płaskowyżu czeka nas pięćsetkilometrowy odcinek, zwany drogą przez pustkowia, prowadzący do stolicy w Urdze. Tam zadaniem Indy'ego będzie uzyskanie niezbędnych pozwoleń od kontrolowanego przez Rosjan rządu. W przypadku niepowodzenia oznacza to koniec ekspedycji.

– Wykorzystam swój urok osobisty - zażartował Indy.

– Jeśli wszystko do tego momentu pójdzie dobrze - mówił Granger - kupimy wielbłądy dla naszej karawany od jednego z wielu handlarzy, których można spotkać wzdłuż Drogi Urgijskiej. Następnie wyruszymy na zachód, zagłębiając się wiele setek kilometrów w głąb Gobi. Pustynia ta to przysłowiowy stóg siana, a ojciec siostry jest ową igłą.

– Gdyby dopisało nam szczęście - powiedział Indy - natkniemy się po drodze na ślady, które zaprowadzą nas we właściwym kierunku.

– A jeśli nie? - zapytała Joan.

– Znajdziemy się wówczas w beznadziejnej sytuacji - stwierdził Granger.

– Będę się więc modliła o łut szczęścia - obiecała.

Młody Chińczyk wszedł do restauracji, odszukał wzrokiem Grangera, podszedł do stolika i wręczył Amerykaninowi plik kartek z wykazem ładunku.

– Chciałbym wam przedstawić kogoś wyjątkowo uzdolnionego - powiedział Granger. - To jest Wu Han, człowiek, który poświęcił się nauce. Zna się po trochu na wszystkim i przez kilka ostatnich dni pomagał organizować ekspedycję. Szczerze mówiąc, powiedziałem Brody'emu, że chyba nie dam rady tego zrobić. I nie dałbym, gdyby nie obecny tutaj Wu Han.

Wu Han uklonił się Joan, po czym uścisnął dłoń Indy'emu.

– Z przyjemnością pomogłem moim amerykańskim przyjaciółom - oświadczył Wu Han z idealnym angielskim akcentem. - Mam tylko nadzieję, że nadal będę przydatny. Czy to państwa pierwszy pobyt w Szanghaju? Może mógłbym zorganizować jakąś rozrywkę?

– Dla doktora Jonesa to nie nowina, ale ja mogłabym się trochę zrelaksować. Bardzo nie chciałabym stracić okazji poznania nowego miasta.

– Jest tu wiele miejsc wartych zobaczenia - powiedział Wu Han. - Czy mogę przyjść po siostrę dziś wieczorem? Może doktor Jones również zechciałby pójść? Od pana Grangera wiem, że jest pan dość zapalonym fanem amerykańskiego jazzu.

– Jazz? - zastanowił się Indy. - Hm, może.

– Dobrze więc - powiedział Wu Han. - Gdyby to państwu odpowiadało, proszę mnie oczekiwać około szóstej. Panie Granger, czy wszystko jest

gotowe? Czy mogę odejść?

– Tak, oczywiście - zgodził się Granger, przeglądając wykaz ładunku, który przyniósł Wu Han. - Dziękuję. Wu Han uklonił się.

– Trzymajcie mnie - powiedział.

– Się - poprawił Granger. - Mówimy „trzymajcie się”.

– Jasne, będę o tym pamiętał.

– Aha - zauważył Granger. - Większość wyposażenia została załadowana na wagony - platformy, z wyjątkiem osobnej partii towaru, o którą poprosiłem naszych przyjaciół w angielskim arsenale. Mamy wyjechać o piątej rano i Brody wyraził się w swoich instrukcjach jasno: czas jest bardzo istotny. Niezależnie od tego, jak dobry okaże się jazz, sugeruję, Indy, żebyś się w nocy trochę przespał.

– Przespać się - westchnął Indy.

– Jones - zaszeptał Granger konspiracyjnie, nachylając się w stronę Indy'ego. - Brody jasno napisał w depeszy, że głównym celem ekspedycji jest odnalezienie profesora Starbucka. Ale część wyposażenia, o które prosił, nie wydaje się ani trochę przydatna. Do czego nam potrzebne kilka litrów środka uspokajającego dla zwierząt? Byłem na tyle rozważny, że do niego nie oddepeszowałem i nie zapytałem, po co to wszystko, ale ciebie chyba mogę. Jones, o co do diabła chodzi?

– Teraz mogę ci powiedzieć tylko tyle - odparł Indy - że Brody ma rację, pisząc, że nasza misja polega na odnalezieniu profesora Starbucka. Nie jesteś głupi, Granger. Ale nie pytaj mnie o nic więcej, dopóki bezpiecznie nie znajdziemy się w Mongolii.

– Zabawny dobór stów - powiedział Granger.

– Co takiego? - spytała Joan.

– Bezpieczny i Mongolia.

Indy przejechał palcem wyduż drogi z Szanghaju do Mongolii. Następnie rozczapierzył dłoń, łącząc Pekin i góry Shen Siei kciukiem i małym palcem.

– Wolałbym wyruszyć na tę wyprawę z Pekinu - oświadczył Indy - To jest miasto, które lubię. Czyste, piękne; przyjaźni ludzie. I jest bliżej naszego celu.

– Powiem ci na pocieszenie, że to by nas zbyt zbliżyło do Japońców - powiedział Granger. - Odkąd przejęli Mandzurię - Mandzukuo jak ją nazywają - nic na północy nie jest bezpieczne.

– Wolałabym, żeby ich pan nazywał Japończykami - poprosiła Joan.

– Niby dlaczego? - zapytał Granger. - Oni nazywają nas jeszcze gorzej. Słowo, którym nas określają, oznacza „ma duże stopy i śmierdzi jak hamburger”. Jeszcze gorszego zdania są o Chińczykach i Koreańczykach.

– Jeśli chcemy, by inni byli dla nas mili, powinniśmy tego samego wymagać od siebie - stwierdziła Joan.

– Poza tym jestem pewna, że nie wszyscy Japończycy tak myślą.

– Na pewno jest to jakiś argument, siostró - powiedział Granger. - Ale cieszę się, że nie będę się musiał z siostrą wadzić przez całą drogę na Gobi i z powrotem.

– Jak to? - zapytała Joan, drętwiejąc.

– Zostaje siostra tutaj - odparł Indy.

– Ależ dlaczego, przecież to bez sensu - zaprotestowała Joan. - Żaden z was nie zna mojego ojca. Nie macie nawet w miarę aktualnej fotografii. Co będzie, jeśli przegapicie jakiś ważny trop?

– Przykro mi - powiedział Indy - ale Gobi to nie miejsce dla kobiet. Są tam rzeczy, których sobie siostra nawet nie potrafi wyobrazić.

– Skąd pan wie, co sobie potrafię wyobrazić?

– Cóż - burknął Indy. - Ja tylko...

– Proszę posłuchać - przerwał Granger. - Czy wie siostra, co by się stało, gdyby któryś z miejscowych wodzów dostał siostrę w swoje ręce? Zostałaby siostra sprzedana jako biała niewolnica, zanim zdążyłaby siostra zmówić zdrowaśkę, a my nie moglibyśmy nic zrobić. - Nie przestraszy mnie pan. Nie mam zamiaru być układną zakonnica - rozłościła się Joan. - Kościół katolicki starał się to zrobić przez wiele lat i mu się nie udało, więc niby czemu wam dwóm miałoby się udać?

Granger kaszlnął i odwrócił wzrok.

– Ten zakon, do którego siostra należy, musi być nieprzeciętny - powiedział Indy.

– Niech pan przestanie żartować - wydukała Joan, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Ach, wiem, co teraz sobie myślicie - że jestem słaba i że płaczę z byle powodu. Więc pozwólcie, że coś wam powiem. Nie płaczę nad sobą. Płaczę nad wami dwoma, bo jesteście neandertalczykami.

Indy pochylił się nad mapą i uderzył palcem w środek Mongolii.

– Urga - powiedział. - Jedzie siostra aż do Urgi. Kropka.

Jeśli nawet goście klubu nocnego Lotos wiedzieli, że Azja balansuje na krawędzi wojny, nie pokazywali tego po sobie. Dobrze ubrane towarzystwo z mnóstwa krajów, jak pomyślał Indy, to świat w pigułce: pili, jedli i tańczyli jak gdyby zabawa nigdy nie miała się skończyć.

Habit Joan nie przyciągał wzroku mężczyzn w egzotycznym kabarecie. Salę wypełniały mundury, wszędzie rozbrzmiewały różne języki. Jedyne Chińczykami w całym tym towarzystwie byli kelnerzy, orkiestra jazzowa, która zawzięcie, lecz bezowocnie starała się odtworzyć brzmienie dixielandu, oraz właściciel klubu, Lao Che - gangster o okrągłej twarzy.

Pomimo pulchności Lao, jego surowy wzrok miał zdecydowanie wilczy błysk.

indy znał go ze słyszenia, ale nigdy przedtem go nie spotkał.

– To najbardziej popularny klub nocny w Szanghaju - pochwalił się Wu Han. - Przychodzą tu najlepsi.

– Jeśli ci tutaj są najlepsi - zauważył Indy - bardzo bym nie chciał zobaczyć najgorszych. Przyglądał się ludziom, przechodzącym obok narożnego stolika Lao Che. Dostrzegł z niezadowoleniem, że na stole pojawiły się pieniądze. W ścianę za stolikiem wbudowana była zamykana gablotka z rzędami urn; większość wykonano z kamienia, choć kilka ozdobnie wyrzeźbiono w kości słoniowej i nefrycie.

– Przepraszam - powiedział strapiony Wu Han. - Nie odpowiada panu gorący jazz? Możemy pójść gdzieś indziej.

– Muzyka jest w porządku - odparł Indy. - Jest bardzo dobra. Nie chciałem cię urazić. Po prostu czuję się nieswojo widząc, co się dzieje przy tamtym stoliku.

Wu Han nagle spoważniał.

– Lao Che to potężny człowiek, doktorze Jones - powiedział. - Lepiej nie zauważać takich rzeczy. Trzyma Szanghaj o tak! - Wu Han zacisnął prawą dłoń w pięść. - Przepraszam, jeśli pana uraziłem, przyprawdzając pana tutaj.

– Nie ma potrzeby przeproszać - rzekł łagodnie Indy.

– Pójdziemy - zaproponował Wu Han.

– Nie, oczywiście, że nie - oświadczył Indy. - Poza tym bardzo niegrzecznie jest wychodzić, gdy zespół właśnie wykonuje numer. Zostaniemy jeszcze na kilka utworów.

– Jak pan sobie życzy.

– Czy podobało się siostrze wieczorne zwiedzanie? - zapytał Indy.

– O, tak - odparła Joan. - Wu Han to wyjątkowy przewodnik.

– Zgadzam się - powiedział Indy. - Właściwie Wu Han jest wyjątkowy pod każdym względem. Wie instynktownie, co trzeba zrobić, a potem to robi. Nie wiem, ile panu płaci Granger, ale to za mało.

Wu Han uklonił się lekko.

– Honor współpracy ze wspaniałym amerykańskim archeologiem to wystarczająca zapłata - stwierdził. - W dodatku siostra Joan była tak miła, że poprawiała mój słaby angielski.

– Twój angielski jest doskonały - zaśmiała się Joan. - Trzeba ci tylko trochę pomóc, jeśli chodzi o idiomy.

– Wybacz bezpośredniość - powiedział Indy - ale jesteś opłacany?

– Zostałem wynajęty w uzgodnieniu z moim pracodawcą - odparł Wu Han.

– Twoim pracodawcą? - zapytał Indy. - Granger mówił, że jesteś człowiekiem nauki. Uczysz na uniwersytecie?

– Nie - wyjaśnił Wu Han. - Studiowałem nauki polityczne, ale przed obroną byłem zmuszony zrezygnować ze względu na moją czcigodną rodzinę.

– Cóż, ciężko jest czasem zdobyć pieniądze, nawet człowiekowi, który poświęcił się nauce i zna się na wszystkim po trochu - przyznał Indy. - A więc pracujesz dla miejscowego przedsiębiorcy.

– Tak - twarz Wu Hana rozjaśniła się.

– Wiesz - zaproponował Indy - potrzebujemy kogoś takiego jak ty, aby ekspedycja przebiegała bez wstrząsów, kogoś, kto by załagodził nieuchronne niesnaski, które napotkamy wśród miejscowych. Dostaniesz zapłatę, więc nie będziesz się musiał martwić o swoją rodzinę, a kiedy wrócimy, wymyślę coś, żebyś mógł skończyć studia... może w Ameryce.

Wu Han wyglądał tak, jakby Indy walnął go w brzuch.

- O co chodzi? - spytała Joan.
- Nie zasługuję na taką wspaniałomyślność - oznajmił Wu Han. - Mimo iż jestem bardzo wdzięczny za pańską wiarę we mnie, obawiam się, że nie będę mógł opuścić Szanghaju.
- Coś przed nami ukrywasz - powiedział Indy.
- Obowiązek wymaga, żebym spłacił dług wobec mojej rodziny i mojego pracodawcy - wyjaśnił Wu Han. - Jednakże moje modlitwy będą wam towarzyszyć w podróży.
- Ten pracodawca - zapytał Indy - To Lao Che, prawda? Wu Han milczał.
- W coś ty się wpakował?
- Proszę, doktorze Jones. Niech pan pamięta o mojej rodzinie.
- Gdzie jest teraz twoja rodzina? - zapytała Joan. - Może moglibyśmy im pomóc i uwolnić się od tego gangstera.
- Rodzina nie żyć - powiedział Wu Han. Jego angielski pogorszył się z powodu kipiących w nim emocji. - Rodzice i siostrzyczka umrzeć w epidemii grypy.
- Przykro mi - oświadczyła Joan.
- Nie ma potrzeby - powiedział Wu Han. - Taka jest kolej rzeczy. Bardzo się kochaliśmy, gdy byliśmy razem.
- Ale skoro oni nie żyją - zapytała Joan - w jaki sposób Lao Che trzyma cię w szachu? To nie ma Sensu.
- On ma ich dusze - wyznał cicho Wu Han. Joan wyglądała na zakłopotaną.
- Ich prochy - domyślił się Indy. - Ten skurczybyk ma ich prochy.
- Tak - powiedział Wu Han. - Szantażuje w ten sposób wielu ludzi. Wymaga od nas, abyśmy robili wstrętne rzeczy, byśmy pomagali uczynić innych niewolnikami opium i prostytucji; ale mimo wszystko się wstydzę.

- Jak długo musisz dla niego pracować, żeby zwrócił ich prochy?
- Dziesięć lat. Za każdego z osobna.
- Będziesz po pięćdziesiątce, zanim się uwolnisz - skomentowała Joan.
- Nie mam wyboru.
- Przecież to tylko ich prochy - rzekła Joan. - Nie dusze.
- To Chiny, siostró - powiedział Indy. - Jeśli zmarli nie zostaną pochowani w rodzinnej kwaterze, ich dusze będą błąkać się po ziemi, błagając, aby ich żyjący krewni położyli kres ich udręce.
- To absurdalne - wyrwało się Joan.
- Czyżby? - zapytał Indy. - Jestem pewien, że niektóre z wierzeń siostry wydają się równie absurdalne Wu Hanowi. Tylko że on jest na tyle taktowny, iż tego nie mówi.

Joan zarumieniła się.

- Przepraszam.
- Nie - powiedział Wu Han. - To ja powinienem przeprosić, że zepsułem państwu beztroski wieczór, opowiadając o swoich mało ważnych kłopotach. Proszę o rym wszystkim zapomnieć. Pokażę państwu inny klub, gdzie gorący jazz grają całą noc.

Wu Han wstał.

- Jeszcze nie - zatrzymał go Indy.
- Chciałby pan zostać?
- Powiedz mi - zapytał Indy - czy chciałbyś ponad wszystko uwolnić się od tego podłego życia i mieć pewność, że twoja rodzina będzie spoczywać w spokoju? I gdyby miało się to zdarzyć, towarzyszyłbyś w ekspedycji i skończył studia, kiedy wrócimy?
- Oczywiście, doktorze Jones, ale....
- Żadnych „ale”. I mów mi Indy.

– Proszę - błagał Wu Han. - Nie mogę złamać umowy z Lao Che. Straciłbym twarz i zhańbiłbym swoją rodzinę. Nic nie mogę zrobić. Złożyłem przyrzeczenie.

– Ja nie składałem żadnych przyrzeczeń - oświadczył Indy. - A gdybym pozwolił, żeby w tak podły sposób znęcał się nad moim przyjacielem ten rozprowadzający narkotyki wieprz, to straciłbym twarz. Czy potrafisz to zrozumieć?

– Przyjacielu - powiedział uroczyście Wu Han.

– Doktorze Jones - odezwała się Joan. - szacunkiem dla Wu Hana i prochów jego rodziny uważam, że nie powinniśmy się w to mieszać. Nie sądzi pan, że powinny się tym zająć władze?

– Prawdopodobnie prochy jego przodków Lao Che trzyma zamknięte w tej swojej gablotce - powiedział Indy.

– Wu Han, która z tych urn za nim należy do twojej rodziny?

– Trzecia półka, w środku. Ta kamienna urna ze znakami pokoju i dobrobytu.

– Siostrze, będę potrzebował pomocy - to znaczy, jeśli siostra nie jest płochliwa.

– Oczywiście, że nie jestem, jak pan to ujął, płochliwa. Naprawdę myśli pan, że możemy pomóc Wu Hanowi tak, żeby nas wszystkich nie zabito?

– Proszę się nie martwić - zapewnił Indy. - Zanim pozostali uciekną, zdążyliby zabić tylko jedno z nas. Pójdę teraz do męskiej toalety, udając pijanego. Kiedy wrócę do stolika, będę w dość przykrym nastroju. Pamiętajcie więc, że nie jestem waszym przyjacielem.

– Jak to nie jest pan przyjacielem? - Wu Han wydawał się zakłopotany.

– Będziemy udawać.

– Tak, oczywiście.

Kiedy zespół przestał na chwilę grać, Indy wstał, zakołysał się, po czym wyciągnął rękę, podniósł w połowie pusty kieliszek Joan i dopił wino. Następnie walnął kieliszkiem w stół z taką siłą, że ten się przewrócił, potoczył na brzeg stołu i rozbił o podłogę.

Wszystkie oczy skierowały się w ich stronę.

Przepraszam - wybełkotał Indy z głupawym uśmiechem, mówiąc niewyraźnie tylko na tyle, żeby brzmiało to przekonująco. Zaczął iść spokojnym krokiem przez salę, lecz nagle cofnął się niezdarnie i wpadł na kelnera, któremu taca wypadła z rąk na podłogę.

– Pierwszy raz w pracy? - zapytał Indy.

– Proszę pana - powiedział kelner, schylając się najpierw po tacę, a następnie łapiąc Indy'ego za łokieć. - Niech mi pan pozwoli odprowadzić się do...

Indy odepchnął go.

– Nic mi nie jest - stwierdził i szedł dalej.

Lider zespołu spojrział z obawą na Indy'ego i zaintonował pełną życia piosenkę „Czy nie jestem zabawny?”.

Kiedy Indy był już w toalecie, ukłonił się wesoło obsługującemu, który trzymał w gotowości kosz gorących ręczników. Podeszedł do lustra i sprawdził, czy nie jest potargany, a następnie wskazał kciukiem w stronę sali tanecznej.

– Tam jest piekielny bałagan - powiedział. - Jakiś pijak zrzucił dużą tacę z drinkami na podłogę. Chyba nie mogą znaleźć sprzętacza. Może powinien pan pójść pomóc.

Obsługujący wahał się.

– Niech pan idzie - nalegał Indy, udając, że podziwia własne odbicie. - Moja dziewczyna chciałaby zatańczyć, a w tym bałaganie przecież nie możemy. Pogrzebał w kieszeni i rzucił mu kilka monet na talerz.

Tamten skinął głową i pośpiesznie wyszedł.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Indy podszedł do popielniczki przy drzwiach. Oprócz jednego dopalającego się cygara była czysta - widocznie facet traktował swoją pracę poważnie. Indy wyjął z górnej kieszeni chusteczkę., rozwinął ją i położył na podłodze. Zmarszczył brwi podnosząc wilgotny ustnik gołymi palcami i odrzucił go na bok. Obiema rękami wygrzebał popiół z cygara na chusteczką, a potem związał jej rogi. Właśnie wpychał paczuszkę do skarpetki, gdy wrócił obsługujący toaletę.

– Wszystko pod kontrolą, proszę pana - powiedział.

– Oczywiście, że tak - rzekł Indy i wyszedł. Powtórzył swój występ z tylko ciut mniejszym zaangażowaniem w drodze powrotnej do stolika, ale nie usiadł.

– Chcę, żebyś mnie przedstawił Lao Che - zażądał, opierając się obiema dłońmi o brzeg stołu i starając się utrzymać równowagę.

– Ależ doktorze Jones - zaprotestował Wu Han. - To chyba nie najlepsza pora.

– Teraz - nalegał Indy, trochę głośniej, niż to było konieczne.

– Jak pan sobie życzy - Wu Han spuścił oczy.

Indy oparł się na jego ramieniu w drodze do narożnego stolika. Joan szła kilka kroków z tyłu i z każdym krokiem pomstowała na Indy'ego, że nie potrafił właściwie ocenić swojej odporności na alkohol.

Lao Che otaczali jego trzej synowie. Każdego urodziła inna matka. Jeden był gruby, drugi przeraźliwie chudy, a trzeci tak przystojny, jak pozostali dwaj paskudni. Pod marynarką każdego z nich uwypuklał się zarys broni.

Wu Han szybko poprosił gangstera po chińsku o wybaczenie i przeprosił za ordynarne zachowanie Indy'ego. Lao Che roześmiał się i powiedział, że wszyscy Amerykanie to głupki, dlaczego więc ten miałby być jakiś inny?

Zdawało się, że Lao Che nie do końca zdaje sobie sprawy, kim jest Wu Han.

– Pracujesz dla mnie? - zapytał podejrzliwie Lao Che po chińsku.

Wu Han odparł, że przydzielono go do pomocy amerykańskiej ekspedycji i szybko wyjaśnił szczegóły.

– Miło pana poznać, doktorze Jones - odezwał się po angielsku Lao Che.
- Cieszą się, że pan się dobrze bawi. Czy mogę panu jeszcze czymś służyć?
Albo siostrze?

– Nie, dziękuję - odparta Joan. - Myślą też, że doktorowi Jonesowi już wystarczy. Jak pan widzi, potrafi sprawiać niemałe kłopoty.

– Obawiam się, że siostra ma rację - Indy uśmiechnął się szeroko.

– Niech mi pan powie, dlaczego towarzyszy panu siostra Kościoła katolickiego? - zapytał Lao Che. - Czy po przybyciu do Mongolii chce pan kogoś nawracać, doktorze Jones?

– Robią, co mogę - powiedziała Joan. - Za każdym razem jedna dusza.

– To tak jak ja! - stwierdził Lao Che. - Nie można pominąć duchowej strony życia w pogoni za uciechami, co? A skoro mowa o uciechach, mam nadzieję, że nie będzie się pan rano źle czuł. Chciałby pan, żebym wysłał jedną z moich dziewczyn do pańskiego domu, aby się zaopiekowała tym, co wkrótce będzie bolącą głową? To najlepszy środek na kaca, jaki znam. Jestem pewien, że droga siostra przymknie oko na ten akt miłosierdzia.

– Nie, dzięki, Lao - powiedział Indy. - A jeśli siostra kiedykolwiek przymknęła na coś oko, ja tego nie zauważyłem. Lao Che się roześmiał.

– Ten tu - jak on się do diabła nazywa? Mam tylu pracowników, że zapominam - mówi mi, że wszystko jest gotowe do waszego odjazdu - oznajmił. - Mam nadzieję, że przydał się trochę panu, doktorze Jones, i panu Grangerowi.

– Tak - przyznał Indy. - To wspaniały pracownik. Powinien pan sobie pogratulować umiejętności oceny charakteru. Jest pan urodzonym człowiekiem interesu.

– To wymaga tylko właściwego bodźca - powiedział skromnie Lao Che.

– Wydaje się pan również wytrawnym znawcą zbieranych przez siebie przedmiotów - ciągnął Indy. - Patrząc z naszego miejsca nie mogłem się powstrzymać od podziwiania pańskiej kolekcji urn pogrzebowych. Wu Han próbował mnie zniechęcić do poproszenia pana o to, mówiąc, że jest pan zbyt skromny, żeby o nich mówić. Ale naprawdę chciałbym je zobaczyć z bliska.

– To nic nadzwyczajnego - powiedział Lao Che.

– Naprawdę uważam, że trudno im się oprzeć - mówił dalej Indy, trzeźwiejąc z każdą minutą. - Nawet z daleka widać, że to wyborna kolekcja. Gdyby zechciał pan pozwolić mi rzucić na nie okiem z bliska, byłbym ogromnie wdzięczny.

Lao Che dotknął klucza do gablotki, który wisiał na złotym łańcuchu na jego szyi.

– Niech mi pan wierzy, doktorze Jones - zapewnił. - Większość z nich jest całkiem zwyczajna.

– Gdzie pańskie maniery? - zbeształa Indy'ego Joan. - Nie widzi pan, że wprawia pan pana Che w zakłopotanie?

– Nie chciałem go wprawić w zakłopotanie - oświadczył Indy. - Nasze muzeum byłoby zainteresowane nabyciem niektórych z nich, aby uzupełnić wystawę o śmierci. Ale rozumiem, jak niechętnie by się nimi dzielił.

– Doktorze Jones! - zaprotestował Wu Han. - Takie rzeczy nie są na sprzedaż.

Lao Che uśmiechnął się szeroko.

– Daj spokój - powiedział. - Jeśli chodzi o wzbogacenie zbiorów muzeum, można by mnie przekonać. Które spośród tych urn najbardziej pana zaintrygowały?

Lao Che zdjął łańcuch przez głowę i odwrócił się, trzymając klucz w ręce.

– Ta nefrytowa na górnej półce - wskazał Indy.

– Niektóre z nich niestety nadal zawierają prochy - rzekł gangster, otwierając drzwi gablotki. - Po tak długim czasie kto wie, do kogo należą? Ale przyzwoitość nakazuje, żeby zostały tutaj, w Szanghaju, gdzie ich miejsce, ponieważ w końcu może się znaleźć jakiś potomek.

– Oczywiście - powiedział Indy. - Muzeum interesują tylko same urny.

Lao Che ostrożnie zdjął nefrytową urnę i postawił ją na stole pod czujnym okiem swych synów.

– Zachwycające - oświadczył Indy. Wyciągnął okulary z kieszeni koszuli i włożył je na nos. Schylił się tak, aby jego wzrok był na tym samym poziomie, co urna.

– Mogę? - zapytał. Lao Che się zawahał.

– Muzeum byłoby skłonne zaoferować znaczną sumę za przedmioty takiej jakości - kusił Indy.

– Proszę - rozpromienił się Lao Che. - Niech się pan nie krępuje.

Indy podniósł urnę i zważył ją w rakach. Przesunął palcami po zawiłych rzeźbieniach w kształcie syczących smoków i wznoszących się w powietrze żurawi.

– Mandzurska - wyjaśnił Lao Che.

– Z dynastii mandzurskiej? - spytała Joan.

– Nie - sprostował Indy. - To stosunkowo współczesna urna używana przez dużą grupę etniczną, zwanej Mandzurami. W Chinach takich grup jest ponad pięćdziesiąt; każda ma odrębną kulturę, wierzenia i język.

Dlatego właśnie niemal cały czas trwa wojna domowa i dlatego podróże i polityka są tutaj tak utrudnione. Właściwie tylko Han są uważani za prawdziwych Chińczyków. Ale nawet wśród grupy Han są dziesiątki podgrup i setki dialektów.

– Czy jest tu jakaś urna tej grupy?

– Tak - powiedział Indy i zwrócił nefrytową urnę Lao Che. —Ta kamienna, w środku. Lao, czy nie ma pan zastrzeżeń?

Gangster podniósł urnę, stojącą obok tej, którą chciał Indy.

– Nie - powiedział Indy. - Han, tą obok. Tak. Lao Che, pełen obaw, podał mu kamienną urnę. Wu Han wstrzymał oddech i zamknął oczy.

– Widzi siostra jak jest niewymyślna? - zapytał Indy. Pokazując ją Joan, trzymał urnę tuż pod brzegiem stołu. W tym czasie Joan nachyliła się, udając, że ją uważnie ogląda. Indy kciukiem pokazał na kieszeń. Joan pociągnęła za nią palcem wskazującym, a Indy jednym ruchem podniósł pokrywkę urny i wsypał sobie prochy najbliższej rodziny Wu Hana do prawej kieszeni.

– Brak jakichkolwiek zdobień oprócz tych wyraźnych znaków pokoju i dobrobytu. Raczej nieskomplikowane, prawda, siostrze? Indy przewrócił urnę do góry nogami. - A tu, na dole...

– Doktorze Jones! - krzyknęła Joan.

Urna wypadła Indy'emu z rąk i upadła na podłogę. Indy skoczył, aby ją ratować i wyciągnął chusteczką z popiołem z cygara ze skarpetki. Rozsypał zawartość na podłodze wokół urny.

– O Boże, co ja narobiłem - zafrasował się. - Chyba rozsypałem na podłodze popioły jakiegoś biedaczyska. Niech mi ktoś pomoże to pozbierać.

Wu Han omal nie zemdlął i musiał chwycić Joan za rękę, żeby nie upaść na podłogę obok Indy'ego.

– Moi synowie to sprzątną - powiedział Lao Che.

– Jest pan pewien? - zapytał Indy, stawiając urnę na stole i wytrząsając do niej zawartość chusteczki. - Chyba mam tu większą część.

Chuderlawy syn Lao Che przyłączył się do Indy'ego pod stołem, podczas gdy drugi, gruby, zajrzał do urny i skrzywił się ze wstrętem. Kciukiem i palcem wskazującym wyjął z urny kawałek cygara.

– Przepraszam - powiedział Indy, wystawiając głowę spod stołu. - Widocznie leżał na podłodze. Lao Che chrząknął.

– Może dokończymy innym razem - zaproponował Indy, stając na nogach i strzepując popiół z kolan. - Może kiedy będą trochę trzeźwiejszy, niż jestem teraz.

Lao Che wpatrywał się w Indy'ego zdumiony.

– Chodźmy, doktorze Jones - powiedział Wu Han, ciągnąc go za rękę. - Musi się pan położyć. Rano rozpoczyna się pierwszy etap bardzo długiej podróży i powinien pan być gotowy.

Gdy wsiadali do taksówki przed wejściem do Lotosa, Indy zdjął marynarkę i wręczył ją Wu Hanowi.

– To chyba należy do ciebie.

Wyposażenie ekspedycji, wypełniające trzy wagony-platformy na dworcu przeładunkowym graniczącym z dokami Szanghaju, wyglądało w świetle przedświtów podejrzanie jak kampania wojskowa. Rzeczą, która przyciągała największą uwagę pracowników kolei, był karabin maszynowy kaliber 30, zamontowany z tyłu jednej z trzech zupełnie nowych ciężarówek. Ciężarówkę podarowała ekspedycji firma Dodge Motor Company, która kiedyś zaopatrywała muzeum w pojazdy, karabin zaś pochodził z angielskiego arsenału.

– Czy naprawdę potrzebujemy tej okropnej rzeczy? - spytała z gniewem Indy'ego Joan, gdy brezent naciągnięto na ciężarówkę, przykrywając karabin. - Jesteśmy tu po to, żeby odnaleźć mojego ojca, a nie żeby rozpętać wojnę.

– Sostro - odparł Indy, puszczając kłęby pary w zimnym powietrzu - to może być jedno i to samo. Są tam różne zagrożenia - bandyci, wodzowie, prywatne armie - o których nie wie siostra absolutnie nic.

Tam nikt nie podziela siostry wiary w to, że ludzie są z natury dobrzy.

Indy spojrział na zegarek. Była czwarta piętnaście.

– Wu Han - zagadnął, zapinając na suwak skórzaną kurtkę. - Czy jest jakiś sposób, żebyśmy wyslizgnęli się stąd teraz? Chciałbym, żebyśmy byli już w drodze, zanim ktokolwiek zacznie podejrzewać, że nas nie ma.

– To pociąg towarowy - powiedział Wu Han. - Jest przecież jakiś rozkład jazdy i trzeba by rozważyć pewne rzeczy, jak na przykład inne pociągi na tym samym torze. Ale postaram się przekonać maszynistę.

– Może tym ci się uda - Indy wcisnął Wu Hanowi rulon banknotów.

– Załatwione - odpowiedział Wu Han.

Granger spacerował wzdłuż pociągu z wykazem w dłoniach i fajką w ustach, po raz ostatni sprawdzając, czy na wagonach jest wszystko, co miało się tam znaleźć.

– Ruszajmy! - zawołał Indy.

– Zaraz - powiedział Granger. - Jeśli o czymś zapomnimy, nie będziemy mogli po prostu skoczyć do kiosku, żeby to kupić. Nawet „Sears & Roebuck” nie dociera tak daleko.

Indy wszedł na tylną platformę wagonu osobowego, który został doczepiony jako ostatni. Pociągnął Joan za sobą.

W kotle wzrosło ciśnienie i Indy słyszał sapanie parowozu-staruszka.

– Ten pociąg ruszy, niezależnie od tego, czy będziesz w nim, czy nie - zawołał do Grangera.

– Dobra, chłopie - odparł Granger. - Nie rzucaj się. Nie wiem, po co ten pośpiech; według rozkładu odjeżdżamy dopiero za czterdzieści pięć minut.

– To pewnie jankeska megalomania - powiedział Indy i usiadł obok Joan na jednym z twardych, drewnianych siedzeń. Gdy przyszedł Granger i usiadł naprzeciwko nich, wagon szarpnął i lokomotywa ruszyła do przodu, ciągnąc za sobą wagony. Następnie maszynista otworzył nieco przepustnicę i szanghajski dworzec zaczął zostawać w tyle.

– To, co pan zrobił dla Wu Hana zeszłej nocy, było cudowne oświadczyła Joan. Niezgrabnie poklepała Indy'ego po ramieniu przez jego skórzaną kurtkę.

– Jeszcze nie wyjechaliśmy z Szanghaju - ostrzegł Indy. Nasunął głębiej swój filcowy kapelusz, oparł się o siedzenie i zamknął oczy. Nie czuł się dobrze. Nie był właściwie chory, ale dostał niestrawności. Zanim odwiedzili zeszłej nocy klub, Joan uparła się, żeby zjeść tradycyjne chińskie danie i Indy bał się, że dostał nieświeżego węgorza. - Proszę mi dać znać, kiedy będziemy bezpiecznie poza miastem.

Wu Han zszedł z lokomotywy i przepuścił pociąg. Gdy zbliżył się wagon osobowy, zrobił kilka kroków, żeby wziąć rozpęd, i chwycił poręcz, podciągając się na tylną platformę.

Na buddyjskim cmentarzu na przedmieściu wciąż jeszcze unosił się dym z pałeczek kadzideł, a wesołe, kolorowe flagi modlitewne łopotały nad szczątkami jego rodziny. Ich prochy bezpiecznie złożono w dyskretnie zakupionym granitowym grobowcu. Kiedy już nadejdzie czas Wu Hana, wieko grobu zostanie podniesione, a jego prochy wsypane i przemieszane z prochami jego rodziców i siostrzyczki.

Wu Han stanął na platformie. Wielki ciężar spadł mu z serca. Głęboko wdychał powietrze i poczuł, jakby po raz pierwszy, zapach miasta: ścieki, morską wodę, dym z lokomotywy i łatwy do rozpoznania fetor zepsutego mięsa i ryb z pobliskiego targowiska.

– Żegnaj, Lao Che - powiedział Wu Han. - Obym nigdy więcej nie musiał wdychać twojego smrodu.

Trzy godziny po wyjeździe z Szanghaju, gdy pociąg pędził po wstążce wąskich torów poprzez niekończącą się płataninę kanałów i poletek ryżu, Joan obudziła Indianę szarpnięciem.

– Czas na śniadanie - oznajmiła i postawiła mu na kolanach tekturowe pudełko.

Indy czuł się jeszcze gorzej, niż kiedy pociąg odjeżdżał. Zajrzał do pudełka. Głównie ryż, plus kawałeczek ryby zawinięty w duży wodorost. Poza tym dwie chińskie pałeczki bambusowe i szorstka papierowa serwetka. Ryba zbytnio przypominała zapachem węgorza.

– To jest nieapetyczne - Indy odepchnął pudełko. - Mamy jakąś kawę?

– Zieloną herbatę - powiedziała Joan. Jest w dzbanku na piecyku koksowym z przodu wagonu. Obok niego jest też chłodniejsza woda. Nie czuje się pan dobrze?

– Bywało lepiej - odparł Indy.

– Nie posłuchał pan wczoraj w nocy rady, żeby za dużo nie pić.

– Bardzo zabawne - Indy się nie uśmiechał. - Tylko udawałem, pamięta siostra?

– Myślę, że sprawiało to panu zbytnią przyjemność.

– To najgorsze pierwsze wrażenie, jakie kiedykolwiek zrobiłem - wymamrotał Indy i przedarł się do przejścia między siedzeniami. Chociaż

pociąg był teoretycznie towarowy, wagon osobowy od chwili odjazdu z Szanghaju napełnił się ludźmi z sześciu stacji. Sami Chińczycy. Wielu z nich trzymało swój dobytek w tobołkach u nóg. Indy kilkakrotnie się uśmiechał, gdy przechodził na przód wagonu, ale nikt nie odwdzieczył mu się tym samym.

Zajrzał do poobijanego dwudziestolitrowego pojemnika, który służył za zbiornik wody. Pływały w nim robaki i inne, trudniejsze do zidentyfikowania obiekty. Wziął blaszany kubek, przemył go wodą z pojemnika i nalał trochę herbaty z imbryka, stojącego na koksiaku.

Sącząc parzący płyn, popatrzył przez brudną szybą na wyposażenie ekspedycji. Wszystko było jak należy, na miejscu. Następnie rozejrzał się leniwie po wnętrzu wagonu osobowego, którego wygląd oraz opłakany stan wskazywały, że eksploatowano go od ładnych kilkadziesiąt lat.

Gdy pociąg zataczał łuk i Indy spojrzął na układ hamulcowy, wiszący z przodu pod wagonem, stracił resztki optymizmu. Hamulce też już były mocno wysłużone, a ich działanie wymagało zastosowania ciśnienia powietrza, pompowanego z lokomotywy.

Jedynym sposobem na zatrzymanie pociągu, gdyby układ zawiódł, byłoby ręczne przekręcenie wielkiego koła przy końcu każdego wagonu.

– Po prostu wspaniale - powiedział Indy i wypluł robaka. Wylał resztę zawartości filiżanki za okno.

– Nie smakuje ci herbata? - zapytał Wu Han, nadchodząc z tyłu. - Może przynieść coś innego, Indy? W zapasach mamy trochę czekolady i amerykańskiej wody sodowej. Miałbyś na coś ochotę?

– Och, woda sodowa?! - wykrzyknął Indy.

– Nie ma sprawy - powiedział Wu Han.

– Mógłbym nawet zabić za coś gazowanego - wyznał Indy. - Mój żołądek cały rano dziwnie się zachowuje.

– Może przynieść też jakieś lekarstwo?

– Nie, coś gazowanego to jest to, czego mi potrzeba. No, wiesz, dwutlenek węgla. Ale wagony są szczelnie przykryte brezentem i byłoby z tym za dużo kłopotów. Utrata równowagi grozi niebezpieczeństwem.

– Żaden kłopot - oznajmił Wu Han. - W mojej rodzinie było wielu akrobatów. Poza tym dokładnie wiem, gdzie szukać: pośrodku wagonu. Trzeba po prostu podnieść brzeg brezentu i już.

– Pójdę z tobą starał się powiedzieć Indy, tłumiąc męczącą czkawkę.

– Usiądź - doradził mu wesoło Wu Han. - Wrócę w ucha mgnieniu.

– Oka - poprawił Indy. - W oka mgnieniu.

– Oczywiście. Dziękują.

Wu Han był już za drzwiami. Poruszał się bardzo zręcznie. Indy usiadł i patrzył jak jego młody chiński przyjaciel skoczył na środek wagonu. Zatrzymał się przy rogu jednego z pakunków, rozsuptał sznur, przytrzymujący brezent, i palcami podważył wieko jednej ze skrzyń.

– Nie chciałbym z nim walczyć w zapasach, pomyślał Indy.

Wu Han wyciągnął dwie butelki, zamknął skrzynię i ponownie przywiązał brezent. W tym czasie Indy zauważył drugą postać przemykającą się za ładunkiem na wagonie, podkradającą się do Hana. Był to mężczyzna ubrany na czarno, z nożem w zębach.

– Uważaj, za tobą! - krzyknął Indy z otwartych drzwi wagonu osobowego, ale jego słowa utonęły w pędzie wiatru, zagłuszone dodatkowo dudnieniem pociągu.

Wu Han uśmiechnął się i podniósł butelki do góry.

Postać podczołgała się bliżej i Wu Han znalazł się w zasięgu jej ręki.

Indy otworzył drzwi i wskoczył na platformę. Wyciągnął z kabury webleya, ale się zawahał. Trudno byłoby celować przy tym kołysaniu. Obawiał się, że trafi w Wu Hana zamiast w jego napastnika. - Padnij!

Morderca trzymał nóż w podniesionej prawej ręce.

– Co? - odkrzyknął Wu Han.

Indy wycelował nad ramieniem Wu Hana i strzelił.

Pocisk trafił zabójcę w rękę, zwalając go w tył na przykrytą maskę jednej z ciężarówek. Rozpaczliwie starał się czegoś mocno chwycić, ale stoczył się z platformy na tory.

Indy przeszedł przez pierwszy wagon platformą i dołączył do Wu Hana.

– Kiedy mówiłeś, że zabiłbyś za coś gazowanego - powiedział Wu Han - nie żartowałeś.

– Wracaj do osobowego - rozkazał Indy. - Może być ich tam więcej. Powiedz Grangerowi, że mamy małe kłopoty. Niech siostra Joan zostanie w środku i schyli głowę.

– Dobra.

– Czekał - powiedział Indy. Wziął jedną z butelek.

– Otwieracz?

– Tutaj - pokazał Wu Han.

Indy otworzył kapsel i wyłopał jedną trzecią butelki, zanim Wu Han zdążył wrócić do wagonu osobowego. Usiadł na jednej ze skrzynek z ładunkiem i, wciąż trzymając rewolwer w prawej ręce, dopił resztę.

– Kocham ten napój - stwierdził.

Indy poczuł z zadowoleniem, że zbiera mu się na beknięcie, a jako że był na platformie sam, otworzył usta i pozwolił naturze pójść swoim torem. Odbijało mu się długo i głośno i od razu mu ulżyło.

– Doktorze Jones - usłyszał słowa wypowiedziane w języku mandaryńskim i poczuł ostrze noża na karku. - Gdzie pańskie maniery? Ale z drugiej strony, pewnie nigdy ich pan nie miał.

– Lao Che cię wysłał?

– Któżby inny? - zapytał głos, tym razem po angielsku, z brytyjskim akcentem. - Nie, proszę się nie odwracać. Pozostali nie mogą mnie zobaczyć, a nie chcielibyśmy ich zaalarmować. I ostrożnie z tym rewolwerem - wie pan, ktoś mógłby zostać ranny. Proszę go trzymać na kolanach.

– Ty tu rządzisz.

– Nie oczekiwał pan chyba, że upiecze się panu ta wczorajsza mała zamiana w klubie nocnym. Wszystko stało się jasne, gdy tylko najstarszy syn Lao poszedł do toalety i odkrył, że ruszano popielniczką.

– Myślałem, że to było sprytne.

– Pomylił się pan - powiedział głos. - Ma pan wybór. Albo mi pan powie, gdzie są teraz szczątki rodziny Wu Hana, żeby Lao Che mógł odnowić kontrakt, albo zabiję pana, a potem Wu Hana.

– Zabiłbyś mnie, i tak, nawet gdybym ci powiedział - stwierdził Indy.

– Być może, ale zrobiłbym to szybko, zamiast rozwłóczyć pana flaki po wagonie. W tym pociągu nie ma chirurgów, doktorze Jones, i wykrwawiłby się pan na śmierć pomimo ogromnych wysiłków pana przyjaciół, aby pana załatać.

– A dlaczego nie zabiłbyś Wu Hana, gdybym ci powiedział?

– Jego usługi są dla Lao Che zbyt cenne. - Chce go mieć z powrotem. Strata dobrego pracownika w sposób nieprzynoszący dochodu wskazywałaby na złe wyczucie w interesach. Ale pańska żalosna ekspedycja to inna sprawa. Szefa ucieszyłoby, gdyby się skończyła jeszcze zanim się zacznie.

– Kim ty do diabła jesteś? - zapytał Indy.

– Zawodowcem.

– Tak jak twój kumpel? Czy też miał po prostu zły dzień?

– Nie był ostrożny. Ja będę.

Granger stanął w drzwiach wagonu osobowego z ręcznym karabinem kaliber 7,5 w ręce. Indy pomachał mu, uśmiechnął się i dał mu znak, żeby zawrócił. Granger wyglądał na zakłopotanego i wszedł na pierwszą platformę.

- Powiedz temu staremu głupkowi, żeby wracał do wagonu.
- Nie usłyszysz mnie - powiedział Indy.
- Więc go zastrzel.

Indy poczuł, jak nóż przyciska się mocniej do miękkiego zagłębienia przy podstawie czaszki i krew ścieka mu strużką między łopatkami.

- Zabij go.

Indy wycelował webleya w Grangera i strzelił. Pocisk z głuchym hukiem uderzył w skrzynię za nim. Granger patrzył osłupiały, nie wiedząc czy się śmiać, czy odpowiedzieć ogniem.

- Idiota! - krzyknął.

Indy skoczył do przodu, odsłaniając zabójcę. Granger chwycił karabin, ale ciemna postać schowała się za ładunkiem, zanim zdołał oddać strzał.

Indy podczołgał się z powrotem na platformę. Granger klęczał za jedną z ciężarówek, starając się namierzyć ich przeciwnika.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Granger.
- To zależy - warknął Indy. - Popatrz na mój kark.
- To nic takiego - powiedział Granger.

– Nic takiego? Czuję się tak, jakbym miał za chwilę wykrwawić się na śmierć.

– Krew z ran zawsze cieknie jak diabli - zbył go Granger. - W każdym razie co to za gość?

- Zabójca wysłany przez twojego przyjaciela-gangstera, Lao Che.

– To nie jest mój przyjaciel - prychnął Granger. - Ale wiesz, żeby wykonać robotę, bierze się to, co jest pod ręką. Jones, naprawdę musiałeś

do mnie strzelać?

– Przyłożył mi nóż do karku - powiedział Indy. - Poza tym specjalnie spudłowałem. Masz szczęście, że nie było nierówności toru, co?

– Nie wiem, jak wpadłeś na pomysł, że możesz strzelać - potrząsnął głową Granger. - Skup się, Jones, naciskaj spust łagodnie. Obserwowałem cię i za każdym razem, gdy strzelasz, wstrzymujesz oddech i szarpiesz za spust zupełnie jak czteroletnie dziecko, bawiące się kapiszonowcem.

– Przepraszam, że przeszkadzam w pogawędce - powiedziała Joan, podczołgując się do nich - ale co macie zamiar zrobić z tym ubranym na czarno facetem? Jeśli nie zauważyliście, rozcina brezent nad ciężarówką.

– Mówiłem, żebyś ją zatrzymał w wagonie - wściekał się Indy.

– Nie mogę się kłócić z zakonnicą - odparł Wu Han.

– Co on do diabła chce zrobić? - zapytał Granger.

– Słuchaj, ten duży karabin zamontowany na ciężarówce nie jest naładowany, prawda? To znaczy, jeszcze nie włożyłeś magazynka, tak?

– Nie byłoby z niego żadnego pożytku, gdybym tego nie zrobił.

– No to pięknie - skwitował Indy.

– Och, wątpię, czy ten dupek będzie w stanie zorientować się, jak go obsługiwać. Bo wiesz, to jest dość skomplikowane, a większość z tych prostaków nie ma doświadczenia z nowoczesną bronią palną. Jeśli to nie jest broń ładowana od lufy, zaraz się gubią.

Morderca odciągnął zamek brytyjskiego karabinu i załadował broń. Kucnął z tyłu ciężarówki, a wylot lufy wycelował w powietrze. Strzelił na próbę w niebo, zaśmiał się jak obłąkany, potem przechylił lufę w dół i strzelił krótką serią w ciężarówkę, gdzie chowali się pozostali.

Przód Dodge'a zadrżał, gdy trafiły w niego kule, strzępiąc brezent i rozpryskując kawałki metalu i szkła. Gdy strzały ucichły, ciężarówka

osiadła na dwóch podziurawionych przednich oponach. Zaczął z niej wyciekać olej i płyn przeciw zamarzaniu.

– Myślę, że powinniśmy poszukać lepszej kryjówki - zasugerował Granger. - Na tym wagonie jest pełno zbiorników z benzyną.

– Indy - zapytał Wu Han - jaki jest plan?

– Nie mam planu - oparł Indy. - Dlaczego to zawsze ja mam mieć plan?

– Tak już po prostu jest - powiedziała Joan. - Więc wymyśl coś.

– O rany. - Indy zdjął kapelusz i wcisnął go Joan na głowę. - Niech się siostra nim zaopiekuje. Nie chcę w nim żadnych dziur, rozumie siostra?

– Co mam robić? - spytał Granger.

– Nie pozwól mu wyjść z ciężarówki - rozkazał Indy.

Indy pobiegł na przód wagonu i zeskoczył na złącze, podczas gdy kule przeszywały miejsce, gdzie dopiero co był. Buty ześlizgnęły mu się po pokrytym smarem żelazie, ale zdążył się złapać i nie spadł. Chwycił ramę wagonu i zaczął się pod nią przeciągać. W dole świszcząły tory, a Indy wyobrażał sobie, jak zabójca próbuje skierować karabin na platformę. Doszedł do wniosku, że jeśli jest na to jakikolwiek sposób, morderca prawdopodobnie go odkryje.

Wreszcie dotarł do końca wagonu i chwycił wypust obiema rękami. Gdy wciągał się na złącze, zawadził obcasami o tory, krzesząc iskry. Na krótko kucnął na połączeniu między wagonami i nieco odpoczął. Przyjrzał się przez chwilę mechanizmowi, a następnie wyciągnął scyzoryk i wetknął go głęboko w wąż hamulcowy. Musiał kręcić z całej siły, ale w końcu ostrze przebiło twarde tworzywa z sykiem uciekającego powietrza. Indy wyciągnął zworę i zaparł się o dźwignię, która zwalniała zaczep. Przesunęła się w końcu.

– Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz - oznajmił. Gdy wagony zaczęły się od siebie oddalać, Indy zauważył, że jest po niewłaściwej stronie złącza.

Ponieważ luka pomiędzy wagonami się powiększała, stałby się łatwym celem dla bandyty i nie miałby wystarczająco dużo czasu, aby się schronić, niezależnie od tego, czy był na, z boku, czy pod wagonem.

Platformy łączył teraz tylko uszkodzony wąż. Gdy tarcie tylnych wagonów wzrosło, przewód napiął się jak cięciwa. Indy przeskoczył na wypust przedniego wagonu właśnie w chwili, gdy przewód hamulcowy pękł w miejscu nacięcia, które wcześniej zrobił.

Uwolniona nagle od części ciężaru stara lokomotywa przyspieszyła. Z przodu tory stopniowo nachylały się łagodnym łukiem ku dolinie rzeki, przebiegając wysoko nad nią na drewnianych podporach mostu.

Indy pomachał nieśmiało przyjaciółom na odsuwającym się wagonie. Następnie wyciągnął webleya i wspiął się ostrożnie na platformę, upewniając się, czy jest wystarczająco nisko załadunkiem, tak aby bandyta go nie widział.

Nachylenie stopniowo się zmniejszało i pozbawiona hamulców lokomotywa przyspieszała coraz bardziej. Gdy pociąg wygiął się łukiem na zakręcie, Indy przedostał się na bok wagonu i zamachał rękami, starając się zwrócić uwagę maszynistów. Dym i iskry leciały z komina. Pewnie wiedzieli, że jeśli nie zwolnią, pociąg wyskoczy z szyn i wpadnie do wody przy końcu zakrętu.

Indy przestał machać.

Okna lokomotywy były puste. Dwaj maszyniści zostawili przepustnicę otwartą i skoczyli do najbliższego rowu nawadniającego, gdy tylko rozpoczęła się strzelanina.

– Tak się nie prowadzi pociągu - stwierdził. Zerknął znad skrzyni. Bandyta nadal stał z tyłu dodge'a, z obiema rękami na karabinie, szukając celu.

– Ulżyj sobie! - zawołał Indy.

W odpowiedzi seria przedziurawiła górną część skrzyni.

– Słuchaj, poligloto. Wiem, że lubisz sobie postrzelać - krzyknął Indy - ale obaj umrzemy, jeśli czegoś szybko nie zrobimy. Wchodzę po tej skrzyni, więc nie strzelaj.

Indy schował rewolwer do kabury. Podniósł do góry ręce z rozczapierzonymi palcami. Popatrzył z ukosa, zacisnął zęby i uspokoił się. Kiedy był już całkiem wyprostowany i stwierdził, że nie został zastrzelony, uśmiechnął się i położył ręce na biodrach.

– Dobrze - powiedział. - Wiedziałem, że możemy trochę porozmawiać...

Bandyta zapamiętałe starał się odblokować nożem część zamkową karabinu, który zaciął się podczas ostatnich strzałów: w wyrzutniku utknęła bokiem łuska, uniemożliwiając strzał.

Indy wskoczył na maskę ciężarówki.

– Odsuń się - nakazał, wyciągając rewolwer. Bandyta cofnął się nieco.

– Teraz nas odczep. No, szybko!

Pociąg pędził jak rakieta w stronę rzeki i wagon mocno uginał się na resorach. Bandyta podszedł ostrożnie na przód wagonu, wyciągnął zwornik i podniósł dźwignię. Jednak wagon najwyraźniej nie miał ochoty rozstać się z resztą pociągu.

Indy włożył rewolwer za pasek i złapał koło, aby ręcznie uruchomić hamulce. Koło zapiekło się od rdzy.

– Pomóż mi - poprosił.

Bandyta złapał koło z drugiej strony. Zaczęło się kręcić, początkowo wolno, z dźwiękiem męczonogo metalu, potem szybciej. Iskry leciały spod kół wagonu. Powoli wytracając prędkość, lokomotywa i reszta pociągu zaczęły się od nich oddalać.

– Dobrze - powiedział Indy.

Wagon był tylko dwadzieścia metrów za resztą pociągu, kiedy lokomotywa wypadła z torów i spadła z mostu do rzeki, ciągnąc za sobą tender i kilka platform towarowych.

Indy szybko schylił głowę.

Zimna rzeczna woda przeciekła do mocno nagrzanego kotła parowego i lokomotywa eksplodowała. Odłamki posypały się na most i wagon jak szrapnele.

Tam, gdzie pociąg wypadł z toru, szyny były mocno wygięte, ale nieprzerwane. Wagon podskoczył gwałtownie, gdy koła natrafiły na uszkodzony odcinek, potem wytracił prędkość i potoczył się jeszcze trochę, aż zatrzymał się spokojnie po drugiej stronie rzeki.

– Udało się nam! - powiedział Indy, z trudem wstając na nogi. - Hej, kolego, udało się nam!

Ale zabójca nie odpowiadał. Leżał martwy na platformie, a z jego czoła wystawał sworzeń kotła.

3.

Przełęcz Wanshan

Trzy wagony - platformy ekspedycji, pchane przez małą lokomotywę przetokową, wreszcie skończyły bieg przy końcu toru w mieście Kalgan. Wynajęta załoga rozładowywała je przez większość poranka.

– Nie mamy gdzie umieścić całego wyposażenia - oświadczył Wu Han, patrząc jak podziurawionego kulami dodge'a pchano po prowizorycznych rampach. Przebite przednie opony odmawiały jazdy po ustalonej drodze i robotnicy rozbiegli się, gdy przód ciężarówki spadł z ramp. Dodge zsunął się przez resztę drogi na ramie podwozia i odskoczył, gdy tylne koła uderzyły o ziemię.

– Potrzebne nam trzy ciężarówki, nie dwie. Co robimy, szefie?

– Kierowałeś kiedyś jakimś zespołem ludzi? - zapytał Indy. Zdjął swój filcowy kapelusz i wytarł czoło zakurzonym rękawem. Pomimo zimna, pocił się od porannej pracy.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Jones - powiedział Granger. - Udało ci się zniszczyć nie tylko lokomotywę i większość pociągu towarowego, ale także dokładnie jedną trzecią pojazdów ekspedycji i opóźniłeś przewidziany czas podróży o dwa dni. Nie sądzę, przyjacielu, by Brody był z tego przesadnie zadowolony.

– Proszę - wyjąkał Wu Han. - To nie była wina Indy'ego. Bandyci... i karabin...

– Granger ma bardzo wykoślawione poczucie humoru - powiedział Indy do Wu Hana. - Nie martw się, on się po prostu doskonale bawi moim

kosztem. Gdyby był na mnie naprawdę zły, nie powiedziałby ani słowa.

– Hm - zastanowił się Wu Han - ale to bez sensu.

– Jak wszystko dotychczas w tej wyprawie - podsumował Indy.

– Co zrobimy z tym zniszczonym samochodem? - zapytał Granger. - Sądzę, że nie możemy sobie pozwolić na pozostawienie tutaj części naszych zapasów.

– Myślisz, że w tym mieście jest kowal?

– Oczywiście - powiedział Wu Han.

– Więc go odszukaj. Zobacz, czy dasz radę doprowadzić ciężarówkę do stanu używalności. Klocki chyba nie pękły, więc miejmy nadzieję, że będzie trzeba tylko załatać chłodnicę i tak dalej.

– Ależ Indy - zaprotestował Wu Han. - Wątpię, czy kowal w tym mieście kiedykolwiek widział amerykański samochód, nie mówiąc już o jego naprawie.

– Musimy zaryzykować - oświadczył Indy. - Poza tym, zdaje się, że wiesz trochę o wszystkim. A nam potrzebna jest ta trzecia ciężarówka, bo w przeciwnym razie nie będziemy mieli ze sobą wystarczająco dużo zapasów, aby wrócić ze środka Gobi.

Indy odliczył kilka banknotów i dał je Wu Hanowi.

– To jest cała nasza gotówka - stwierdził. - Wydałem resztę na łapówkę dla kolejarzy, aby zabrali nas dalej. Ale spokojnie powinno wystarczyć, żeby naprawić ciężarówkę. I upewnij się, że będziesz miał mnóstwo paliwa, kiedy odjedziesz.

– I to już wszystkie pieniądze, które zostały na wyprawę?

– Nie - powiedział Indy. - To tylko ostatnie banknoty. Wielki Mur jest jedenaście kilometrów stąd, tam wysoko na górze, i kiedy już przejedziemy na drugą stronę, nasze banknoty staną się bezwartościowe. Od tej pory będziemy musieli przetrzucić się na złoto albo handel wymienny.

Kiedy Wu Han znalazł kowala, który zapewnił go, że można wprowadzić pewne modyfikacje, i złożył raport Indy'emu, dwa sprawne samochody były już załadowane wszystkim, co dały radę udźwignąć.

– Robota zajmie resztę dnia - powiedział Wu Han. - Może dłużej. Kowal powiedział, że to najszybciej, jak on i jego uczeń mogą pracować.

– Ale czy potrafi to naprawić? - zapytał Indy.

– Trochę trudno było mi zrozumieć jego dialekt - odparł Wu Han - ale obiecał mi, że będzie można jeździć. Powiedziałem mu, że jeśli mu się nie uda, to będzie musiał odpowiadać przed białym diabłem, który prowadzi naszą wyprawę.

– Grangerem, oczywiście.

– Nie, Indy. Ten biały diabeł to ty.

– Z każdym kilometrem - stwierdził Indy - wygląda to tak, jakbyśmy cofali się w czasie. Samoloty, lokomotywy, a teraz kowale, którzy mają zreperować dwudziestowieczny powóz bez koni. Kiedy dotrzemy do profesora Starbucka, będziemy już prawdopodobnie w epoce kamiennej.

– Może już pojedziesz? - zaproponował Wu Han. - Pogoda jest łagodna i widoczność nie najgorsza. Ekspedycja i tak jest już bardzo opóźniona.

– Jesteś pewien? - zapytał Indy.

– Oczywiście.

– Wybierz najlepszego najemnika, żeby został z tobą, przynajmniej na razie, ponieważ przekraczanie muru w pojedynkę to często ostatni w życiu błąd popełniany przez podróżnych - powiedział Indy. - Pamiętaj też, żebyś miał pod ręką rewolwer. Nie bój się go użyć. Ci ludzie widzieli cię razem z nami, wiedzą, że masz pieniądze, więc bądź ostrożny.

– Ależ Indy - jęknął Wu Han. - Ja nie mam rewolweru.

Indy otworzył jedną ze skrzyń Grangera i wyjął samoczynnego kolta kaliber 45. Pokazał Wu Hanowi, jak się go ładuje, i dał mu pudełko z

nabojami.

– Pamiętaj - wyjaśnił - że kiedy ładujesz magazynek po raz pierwszy, musisz odciągnąć mechanizm. Dzięki temu nabój trafia do komory i jednocześnie zostaje odwiedziony kurek. Jasne?

– Tak, szefie - powiedział Wu Han. Indy wetknął Wu Hanowi kolta za pasek.

– Trzymaj pistolet tu, gdzie ludzie będą go widzieć. Zrobił przerwę. - A jeśli będziesz musiał go z jakiegokolwiek powodu wyciągnąć, strzelaj, gdybyś miał wypalić w powietrze. Jeśli się wyciągnie broń i jej nie użyje, to przynosi pecha, a dla tych ludzi jest oznaką tchórzostwa.

– Nie lubię broni, Indy.

– To dobrze - pochwalił Indy. - W takim razie najlepiej nadajesz się do tego, aby jej używać. Teraz posłuchaj - jeżeli wszystko dobrze pójdzie, dziś wieczorem rozbijemy obóz około pięćdziesięciu kilometrów po drugiej stronie muru, przy drodze do Urgi. Ale gdy nie pojawisz się tam o świcie - zakładając, że naprawy trwały dłużej, niż przewidywaliśmy - będziemy musieli ruszyć bez ciebie. Gdyby tak się stało dogonisz nas najszybciej, jak będziesz mógł.

– Nie martw się Indy. Możesz na mnie liczyć. Zawdzięczam ci znacznie więcej niż życie, a Han zawsze spłaca swoje długi.

Indy wdrapał się do kabiny ciężarówki. Nadepnął na rozrusznik i sześciocylindrowy silnik, rżąc i dławiąc się, zapalił.

– Xanadu - powiedział Indy, rozglądając się dookoła po raz ostatni. - Mówi się, że Kubla-chan zbudował swój letni pałac kilka kilometrów stąd. Wiesz, wiersz Coleridge'a...

– „W Xanadu kazał Kubla-Chan wznieść pyszny pałac” - wyrecytowała Joan. - Przykro mi, ale to nie wygląda na raj.

Dwie ciężarówki opuściły miasto i pomknęły starą drogą, biegnącą wzdłuż koryta rzeki aż do Wyżyny Mongolskiej. Granger jechał pierwszy, prowadząc samochód z zamontowanym z tyłu karabinem. W niektórych miejscach koła niezliczonych wozów zagłębiały się w ziemię tak bardzo, że w ciężarówce jadącej przed nim Indy mógł dostrzec jedynie lufę karabinu.

Joan była zaskoczona liczbą ludzi na drodze. Niektórzy z nich jechali wozami, ale wielu szło, niosąc towary na sprzedaż lub kupione na rynku w Kalganie.

– Jak pan sądzi, skąd oni wszyscy pochodzą? - dziwiła się głośno.

– Proszę popatrzeć uważnie na zbocza wzgórz - powiedział Indy. - Tutejsi ludzie mieszkają w większości w ziemiankach i jaskiniach, ponieważ jest w nich ciepło zimą i chłodno latem. Ale ziemianki są tego samego koloru, co otaczająca je ziemia, trzeba więc wyteńczyć wzrok, aby je dostrzec. Jedenaście kilometrów za Kalganem dotarli do dolnej części przełęczy, na wysokości tylko ponad dziewięciuset metrów nad równiną. Droga skręcała gwałtownie w górę i Indy musiał jechać na niskim biegu, aby silnik ciężarówki nie zgasł na bardziej stromych odcinkach.

– To jest przełęcz? - zapytała Joan.

– Jej płaska część - odparł Indy.

Pokonali następne sześćset metrów wysokości na przestrzeni osiemnastu kilometrów. Droga cały czas niespodziewanie skręcała, wijąc się wprost niemiłosiernie. Indy musiał się zмагаć z ciężarówką, aby koła nie ugrzęzły w najgłębszych koleinach albo nie podskakiwały, gdy przejeżdżali po kamieniach, które w innych częściach świata uznane by zostały za otoczaki. Właśnie w chwili, gdy Joan pomyślała, że nigdy nie dotrą na górę, wzięli ostry zakręt. i przed nimi rozciągnął się chiński Wielki Mur.

Granger stał już na poboczu. Siedział na stopniu ciężarówki, spokojnie paląc fajkę i podziwiając widok.

Indy zatrzymał samochód obok.

– Popatrz, gdzie byliśmy - powiedział.

Na południu kilometr za kilometrem rozciągały się umęczone wzgórza, które wyglądały, jakby zostały żywcem wzięte z plastycznej mapy Chin z jakiejś pracowni geograficznej. W wielu miejscach wzgórza były postrzępione przez wiatr i deszcz, a ich rany obnażały sam kręgosłup ziemi.

– Nic dziwnego, że boli mnie krzyż - stwierdziła Joan.

Wśród tych poszarpanych grzbietów, niczym sędziwy wąż wił się Wielki Mur - największa i na pewno najdłuższa budowla w historii świata, ciągnąca się w pomocnych Chinach przez prawie sześć i pół tysiąca kilometrów. Niektóre części muru pochodziły sprzed dwóch tysięcy lat, ale ta część, przebudowywana przez stulecia, liczyła niecałe tysiąc.

Mur miał przy granitowej podstawie dwanaście metrów szerokości, a na górze, pomiędzy blankami biegła droga, wyłożona cegłami, po których stąpały całe pokolenia robotników i żołnierzy. Wnętrze muru było wypełnione ziemią. Przy tym wszelkie prace przy jego budowie były wykonane ręcznie, kamień po kamieniu, fura po furze.

Indy wychylił się przez okno ciężarówki.

– Granger, jeździsz jak wariat.

– Musiałem - odparował Granger, ściskając ustnik fajki pożółkłymi od tytoniu zębami. - Byłem przerażony, bo wiedziałem, że ty jesteś za mną. Jesteśmy gotowi do przejścia?

– Na razie ja poprowadzę - Indy wrzucił bieg i pojechał wolno do przodu.

Droga przebiegała pod Wielkim Murem przez bramę w przypominającej fortecę, wysokiej na trzy piętra strażnicy. Jednak brama była otwarta, a strażnicy pilnowały tylko wrony.

– Początkowo zbudowano ją, aby uniemożliwić wtargnięcie Mongołów - powiedział Indy, gdy cień muru pochłoniął ciężarówkę. - Jednak to zawiodło. Dżyngis-chan przedostał się przez mur jak bóg, za którego go zresztą uważano i podbił większość Chin.

– Jaki więc był z tego muru pożytek? - zapytała Joan.

– W sumie spory - odparł Indy, mrużąc oczy w ciemnościach. - Jego prawdziwa wartość jest taka, że okazał się wspaniałym przedsięwzięciem, które zjednoczyło Chiny jako naród, podobnie jak piramidy w Egipcie.

– Moglibyśmy teraz coś z tego wykorzystać u siebie - powiedziała Joan.

Przed nimi niespodziewanie pojawiła się postać z karabinem, krzycząc coś.

Indy nie zrozumiał rozkazu, gdyż wypowiedziano go w dialekcie, jakiego nigdy przedtem nie słyszał, ale intencje człowieka, który stanął przed ciężarówką po mongolskiej stronie bramy, były wystarczająco jasne: jego prawa ręka z otwartą dłonią wyciągnęła się w ich kierunku.

Indy nacisnął na hamulce i ciężarówka zatrzymała się. Granger, podążający za nim, nie użył hamulców równie szybko. Mimo że jechali zaledwie kilka kilometrów na godzinę, przedni zderzak jego samochodu walnął w ciężarówkę Indy'ego wystarczająco mocno, aby ją popchnąć do przodu o parę metrów.

Ostrzelana kratownica dodge'a ledwo dotknęła poplamionych spodni żołnierza, ale ten odskoczył, jak gdyby ciężarówka go potrafiła. Jego ciemne oczy zapłonęły nienawiścią. Wymamrotał coś o demonach w autach, a następnie lufą swojego pięćdziesięcioletniego jednostrzałowego karabinu pokazał Indy'emu, żeby wyszedł z szoferki. Indy wolno wysunął się zza kierownicy z rękami w górze.

– Rozumiem, że nie jesteś z mongolskiej informacji turystycznej? - zapytał Indy. - Czy też długie życie tutaj tak cię ogłupiło, że rzucasz się pod

pojazdy w ruchu, traktując to jako formę rozrywki?

Żołnierz zasyczał.

– Najwidoczniej nie znasz angielskiego - powiedział Indy.

Żołnierz wyciągnął ze skórzanego woreczka, który miał na szyi, zatłuszczony kawałek papieru. Rozwinął go, wygładził i wręczył Indy'emu.

– Potrafi pan to odczytać? - zapytała Joan.

– Tak. Indy wyjął okulary z kieszeni koszuli. - Pismo chińskie jest piktograficzne, co oznacza, iż opiera się na obrazkach. Nie jest fonetyczne. Wartownik nosi ten papier chyba właśnie dlatego, że przecież pilnując tej bramy styka się z wieloma różnymi dialektami. Świstek jest poplamiony, ale pewnie potrafią się w tym zorientować. Co to za plamka? Krew?

– Skończ z tym wykładem, Jones - zawołał Granger. - Po prostu przeczytaj to świństwo.

– Tu jest napisane, że on się nazywa Feng i że jest wysłannikiem wielkiego wodza Tzi. Feng ma być traktowany z szacunkiem należnym temu stanowisku... ten tego... jest członkiem Klubu Rotariańskiego i Zbójeckiej Izby Handlowej. Żartuję. W każdym razie Tzi wyznaczył go na strażnika bramy na południu i wszyscy podróżni muszą się poddać kontroli i aprobachie Fenga przed ruszeniem w dalszą drogą. W przeciwnym razie ryzykują narażenie się na gniew samego Tzi.

Indy zwrócił papier. Feng wepchnął go ostrożnie z powrotem do woreczka i schował woreczek pod koszulą, cały czas trzymając karabin w zgięciu ręki.

– W porządku, jesteśmy gotowi poddać się twojej kontroli - oświadczył Indy. - Mam nadzieję, że zyskamy twoją aprobatę. Ja się nazywam Jones, to siostra Joan, a ten za nami to Granger. Zniecierpliwiony Feng pstryknął palcami., - Myślę, że on chce, żeby mu pokazać dokumenty - zasugerowała Joan.

– W czym kłopot? - zawołał z tyłu Granger.

– Zostań w ciężarówce, Walterze - powiedział Indy wesoło, wyciągając paszport i wizę z kieszeni w marynarce i podając je żołnierzowi. - Nie strzelaj, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Feng otworzył paszport, przekartkował go szybko i cisnął nim w Indy'ego, który złapał dokument wciąż podniesioną lewą ręką.

– On chyba nie potrafi czytać - powiedział Indy.

– Więc o co mu chodzi? - zapytała Joan.

– O pieniądze, a cóżby innego?

Indy uśmiechnął się do Fenga ujmująco i wolno sięgnął po rewolwer. Podniósł go za pierścień na końcu rękojeści i położył na masce ciężarówki. Potem pokazał na broń żołnierza i zrobił ręką ruch w dół.

Żołnierz się zawahał, potem opuścił broń.

Indy znowu się uśmiechnął i sięgnął za koszulę.

Broń znowu się podniosła.

– Zaczekaj - powiedział Indy. - Pozwól mi pokazać, co mam.

Indy wyjął z kieszeni jedną złotą monetę i podniósł ją do góry. Był to amerykański orzeł - złota dziesięciodolarówka, trochę mniejsza od ćwierćdolarówki, ale znacznie cięższa. Feng wyszczerzył zęby w uśmiechu, wziął monetę i ugryzł jej brzeg szczerbatymi zębami.

– Po co oni to robią? - spytała Joan.

– Prawdziwe złoto jest miękkie - wyjaśnił Indy. - Jeśli mogą je ugryźć i zostawić na nim ślad, wiedzą, że jest prawdziwe.

Feng kucnął, ale trzymał karabin na sztorc między nogami. Położył monetę na ziemi i pokazał Indy'emu, żeby się przyłączył do pertraktacji.

– Chce rozmawiać - powiedziała Joan.

– Chce negocjować. Myśli, że mam więcej tego towaru.

Feng wskazał na monetę, potem na ciężarówkę Indy'ego i palcem zrobił pięć znaków na ziemi. Potem wskazał na samochód Grangera i zrobił jeszcze pięć znaków.

– Dziesięć - powiedział Indy. - Chce dziesięć złotych monet, żeby nas przepuścić.

– Ten człowiek jest najwyraźniej zepsuty - stwierdził Granger. - Dziesięć dolarów to więcej pieniędzy niż większość z tych koczowników widzi w ciągu dziesięciu lat, a sto dolarów nie wchodzi w rachubę. Nigdy nie słyszałem o tym wodzu Tzi. Prawdopodobnie napisał ten papierek sam, żeby nieuczciwie wyciągać pieniądze od ludzi takich jak my.

– Nie denerwuj się! - zawołał Indy. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Indy pokręcił głową w kierunku Fenga. Wyrównał linie, które narysował Feng, wskazał na obie ciężarówki i zrobił na ziemi jeden znak.

Feng zasyczał i starł ofertę Indy'ego.

Narysował na ziemi siedem znaków.

Teraz była kolej Indy'ego, żeby syknąć.

Feng podniósł dłoń w pojednawczym geście. Zmazał dwa ostatnie znaki, potem wskazał na Joan przez przednią szybą ciężarówki i obleśnie się uśmiechnął.

– Sądzą, że ubijemy interes - powiedział Indy.

– Nawet o tym nie myśl - parsknęła Joan.

– Dobra, dobra - ustąpił Indy.

Podniósł dwa palce, potem wskazał na Joan i ze smutkiem pokręcił głową.

Feng wyciągnął cztery palce.

– Nie - powiedział Indy. Potem wziął jeszcze dwie dziesięciodolarówki, położył je na ziemi obok pierwszej, i skrzyżował ręce. Przesunął się kawałek do tyłu, żeby podkreślić, że to ostateczna oferta.

Feng zastukał palcami o kolbę swojego karabinu. Spojrzał na Indy'ego, potem na ciężarówkę, potem znowu na monety leżące na ziemi. W końcu wygrzebał złote monety, owinął je w brudny gałgan i wepchnął głęboko do kieszeni spodni.

– I po wszystkim - stwierdził Indy. - Trzydzieści dolarów.

– To mimo wszystko rozbój - wymamrotał Granger.

Ciężarówka wyruszyła z bramy na Wyżynę Mongolską.

Feng wszedł z powrotem do swojej przybudówki przy murze, odłożył karabin i usiadł obok ogniska, które opuścił, kiedy usłyszał warkot samochodów. Na rożnie piekł się jakiś gryzoń.

Pies, przypięty łańcuchem do ściany, kręcił się w miejscu i patrzył głodnymi, mądrymi oczami. Zamiast obroży miał owinięty wokół szyi zapięty na kłódkę łańcuch.

Indy zahamował.

W tym psie dostrzegł coś szczególnego. Po jego budowie Indy ocenił, że jest to owczarek alzacki, rasa pasterska, słynna z inteligencji i wierności. Był samcem, miał niebieskie oczy i brakowało mu prawego ucha. Rana już się wprawdzie zagoiła, ale najwidoczniej się nad nim znęcano; był nie tylko zagłodzony, o czym świadczył strasznie chudy brzuch i wystające żebra - również jego grzbiet nosił ślady bata w postaci rozległej kraty.

Feng oderwał kawałek gryzonia i wsadził go do ust, żując z zadowoleniem. Pies podszedł tak daleko, jak pozwalała mu długość łańcucha i zaczął skomleć o kawałek mięsa.

Feng kazał mu się zamknąć.

Owczarek odsłonił kły i warknął. Indy nigdy nie widział takiej nienawiści w oczach zwierzęcia. Walczył z łańcuchem jak dziki, gryząc i żując ogniwa, starając się uwolnić.

Feng zamamrotał i poszedł zdjąć szpicrutę, która wisiała na kołku w przybudówce. Potem ostrożnie, żeby nie przekroczyć odległości równej długości łańcucha, zaczął z furią chłostać psa. Zamiast skowyczeć, pies warczał i przy każdym uderzeniu starał się chwycić bat w zęby.

Feng wrzasnął ze zdziwieniem, gdy koniec bicia Indy'ego uderzył go w nadgarstek. Nie wiedział, że Indy wyszedł z ciężarówki przy dźwięku pierwszego uderzenia i że bicz Indy'ego był większy i dłuższy niż ten, którego on sam używał do bicia psa.

– Jak ci się to podoba? - zapytał Indy. Feng upuścił szpicrutę.

– Boli, prawda? - zapytał Indy.

Feng rzucił się, żeby się schronić w przybudówce. Gdy biegł, Indy smagał biczem jego plecy. Feng złapał swój karabin i odwrócił się, żeby strzelić, ale spostrzegł, że za Indym stał Granger z karabinem gotowym do strzału.

Feng upuścił swoją broń.

– Możesz powiedzieć wodzowi Tzi - powiedział Granger - żeby poszedł do diabła.

Indy wziął rożen z upieczonym szczurem i poszedł w kierunku psa. Pies warknął, stulił swe jedyne ucho, a sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożny - ostrzegł Granger. - To zwierzę wygląda, jakby mogło rozerwać człowieka na strzępy, a zważywszy co Feng mu tutaj zrobił, byłoby to usprawiedliwione ludobójstwo. Lepiej chyba zastrzelić psa, biorąc pod uwagę jego stan.

– Nie zabijemy tego psa - powiedział Indy, upadając na kolana. Wyciągnął gryzonia w stronę owczarka, a ten szybko po niego skoczył i zerwał z kija, po czym zaczął połykać wielkie kawałki mięsa i kości.

– Siostró - zawołał Indy do Joan. - Niech siostra przyniesie nożyce do cięcia prętów z pudełka z narzędziami, które jest w samochodzie.

Indy wyciągnął rękę, aby pogłaskać psa.

Pies warknął na niego złowrogo.

– Nie chcę twojego jedzenia - przemówił Indy uspokajająco. - Tylko tu podejdź. Staram się ci pomóc. Joan przyniosła Indy'emu narzędzie z długą rączką i gdy pies kończył zajadać gryzonia, Indy wsunął szczęki przecinaka pod łańcuch wokół szyi psa. Następnie wyteżył się, żeby zbliżyć do siebie rączki; owczarek został uwolniony.

– Może będzie lepiej, jeśli wrócimy do ciężarówek - powiedział Granger, cofając się i trzymając karabin wycelowany w Fenga. - Chyba bardziej przeraża mnie ten pies, niż to indywiduum.

– Dlaczego psa przywiązano w ten sposób łańcuchem do muru? - zapytała Joan, gdy Indy wszedł do ciężarówki. - Czy to jakiś barbarzyński zwyczaj?

– Ja takiego zwyczaju nie znam, siostró.

Gdy Indy uruchomił ciężarówkę, Feng zaczął złorzeczyć, stojąc tuż przed drzwiami przybudówki. Poprzysiągł zemstę na Indym, jego dzieciach i wnukach. Zapowiedział, że Indy zapłaci za brak szacunku dla wysłannika wodza Tzi i miał rozpaczliwą nadzieję, że Indy go zrozumiał.

Potem splunął i cisnął złote monety w pył na drodze.

Indy nacisnął sprzęgło. Ciężarówki pomknęły dalej.

Pies, nagle zdawszy sobie sprawę, że jest wolny, wybiegł poza zasięg łańcucha, po czym pognął za Fengiem, który wpadł do przybudówki i zatrzasnął psu drzwi przed nosem. Usiadł po turecku w chacie z karabinem na kolanach, trzęsąc się ze strachu i ze złości.

Po godzinie czekania pies popatrzył tęsknie na północ, gdzie zniknęły samochody. Potem spojrział na zachodzące słońce.

Popędził za ciężarówkami.

Kiedy Feng się upewnił, że psa nie ma, wyszedł z chaty i wygrzebał z ziemi złote monety.

4.

Droga przez pustkowia

– Czas jechać.

Indy kiwnął głową, ale podniósł lornetką i po raz ostatni przeszukał wzrokiem horyzont. Spędzili noc bez żadnych przygód wśród łagodnie pofalowanych wzgórz Tabool. W przejmującym zimnie, które pojawiło się przed świtem, Indy wspiał się na grzbiet górujący nad Droga Urgijską. Na szczycie znajdowało się obok, stożkowaty stos kamieni, które zostawiali podróżni w podziękę za bezpieczną jak dotychczas podróż.

Słońce było już wysoko nad horyzontem.

– Widziałeś coś?

– Tylko tego psa - odparł Indy.

– Owczarek spod muru? - zapytał Granger.

– Ten pies najwidoczniej podąża za nami - powiedział Indy. - Trzyma się dość blisko, żeby nie stracić nas z pola widzenia, ale na tyle daleko, by być poza zasięgiem karabinu.

– Cholera - zaklął Granger.

– Nie zastrzelisz go.

– Jeśli przyjdzie grasować w obozie, zrobię to - oświadczył Granger. - Zwierzę, które było traktowane tak źle jak to, jest zdolne do wszystkiego. Mógłby rzucić się do gardła zanim człowiek zrozumie, co się dzieje.

– Na mnie się jakoś nie rzucił.

– Miałeś szczęście - stwierdził Granger.

– Spodziewam się, że Wu Han też ma szczęście.

– Jestem pewien, że wszystko u niego w porządku. Sam wiesz, że to zaradny facet. Sądzą, iż po prostu kowalowi nie udało się skończyć roboty w jeden dzień. Nie martw się. Wu Han wkrótce do nas dołączy.

– Pozostaje nam tylko nadzieja - powiedział Indy. - Między Kalganem a Urgą jest pięćset kilometrów najgorszej drogi na ziemi, nie mówiąc już o takich pasożytach jak Feng. Masz kamień?

– Co? - zapytał Granger. - Nie uważasz chyba, że wierzę w takie głupie przesady, prawda?

– Daj spokój - nalegał Indy. - Dawaj go. Znam cię zbyt dobrze. Powinniśmy wykorzystać wszystko, co mogłoby nam pomóc, niezależnie od tego, czy w to wierzymy, czy nie.

Granger wyjął z kieszeni kurtki myśliwskiej kawałek skały wielkości pięści. Indy wziął go i położył porządnie na szczycie osobliwego obelisku.

W południe następnego dnia mały sznur samochodów wjechał do Tuerin, znajdującego się w połowie drogi do Urgi. Gdy ciężarówki jechały w kierunku niewielkiego skupiska budynków, w małym, o miotanym wiatrem miasteczku nic się nawet nie poruszyło.

Indy wyłączył silnik i usiadł na chwilę, wsłuchując się w ciszę, przerywaną jedynie wyciem wiatru. Wir powietrza, przypominający małe tornado, sunął główną ulicą, rozrzucając śmiecie i stare gazety, a potem zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Czy to miasto-widmo? - spytała Joan.

– Nie - odparł Indy. - Z pewnością jesteśmy pilnie obserwowani.

Granger wysiadł ze swojej ciężarówki i wyciągnął umocowany z tyłu karabin. Przewiesił go przez ramię i podszedł do przedniego zderzaka, z którego zdjął wiszący na haku brezentowy bukłak z wodą. Strzepnął z niego kurz, otworzył i pociągnął kilka dużych łyków. Potem zmoczył chustę i obmył twarz i szyję.

Indy podszedł do Grangera i utkwiał wzrok w ziemi. Nagle kucnął i podniósł zardzewiałą mosiężną łuskę. Resztki amunicji były porozrzucone wszędzie wokół.

– Cztery tysiące chińskich żołnierzy zostało tu zmasakrowanych dwanaście lat temu - powiedział Granger. - Całą tę armię rozniesiono na strzępy. Dokonało tego trzystu konnych Mongołów, pod przywództwem rosyjskiego barona. Mongołowie jechali dniami i nocami, żeby tu dotrzeć, a potem uderzyli o świcie, po tym jak dali wytchnąć swoim kucom tylko przez kilka minut. W końcu zaoszczędzili amunicją i zatłukli Chińczyków na śmierć kolbami karabinów albo zasiekli ich szablami. Kilku Chińczyków, którzy uciekli na pustynię, zamarzło na śmierć. Było czterdzieści stopni poniżej zera.

– Cień Dżyngis-chana - wymamrotał Indy i rzucił łuskę.

Wziął brezentowy bukłak z wodą i podał go Joan, zanim sam się napił. Twarz zakonnicy była oblepiona kurzem, a jej habit pokrywało błoto. Ciężarówka ugrzęzła w gęstej mazi, kiedy droga przekraczała wąski strumień sześćdziesiąt kilometrów wcześniej, i tylko zgodnym wysiłkiem wszystkich udało się je uwolnić.

– Obozujemy tu dziś w nocy? - spytała Joan.

– Tak - odparł Indy. - Tutaj właśnie kupimy wielbłądy. Musimy ustawić namiot-jadalnię tam dalej, na tej polanie i powiesimy to na szycie najwyższego masztu, aby oznajmić nasze przybycie.

Wyjął z kieszonki kawałek błękitnego jedwabiu i podał go Joan. Pasek miał trzydzieści centymetrów szerokości i metr długości.

– To chata - powiedział Indy. - Coś jak mongolska wizytówka.

W ciągu dwudziestu minut rozbili namioty i Granger przygotował obiad na obozowej kuchence gazowej. Zwabieni aromatem kawy i skwierczącej

wieprzowiny, mieszkańcy Tuerinu, wraz z dziećmi, powoli zaczęli wyłaniać się z domów, aby obejrzyć gości.

Granger umieścił jedzenie pośrodku drewnianego stołu, podczas gdy Indy nalał trzy kubki gorącej kawy.

– Mam nadzieję, że zrobił pan dość dla wszystkich - zauważyła Joan.

– Niech siostra nie będzie śmieszna - zakpił Granger. - Nie możemy nakarmić całej wioski. Tego jedzenia musi nam starczyć na długo.

– Dzieci wyglądają na głodne - powiedziała.

– Myśli siostra, że oni by nas nakarmili, gdyby sytuacja była odwrotna? - zapytał Granger.

– Tak - wyszeptała Joan. - Myślę, że tak. Indy postawił garnek z powrotem na kuchence i wyjrzał przez otwarte drzwi namiotu na tłum, który się zebrał. Większość stanowiły kobiety i małe dzieci, choć było też kilku starców. Stali kilka metrów za namiotem z rękami założonymi nieśmiało z przodu.

– Gdzie są mężczyźni? - spytała Joan.

– Dwie trzecie populacji mężczyzn w Mongolii to lamowie - wyjaśnił wstając Granger. - Nigdy nie potrafiłem zrozumieć ich religii, chociaż dużo o nią pytałem. Przypuszczalnie jest to szczególna sekta buddyjska, pod przywództwem dalajlamy - żywego boga, jak oni go nazywają - ale myślę, że to raczej wyszukana gra, polegająca na zdobyciu zaufania ofiary i jej oszukaniu. Moim zdaniem, prowadzą dość wygodne życie, zadekowani w tych swoich klasztorach. Pewnie lepiej się modlą z pełnymi brzuchami.

Granger zamknął poły namiotu.

– A pozostała jedna trzecia męskiej populacji? - zapytała Joan.

– To oczywiście bandyci.

Indy przyjrzał się swojemu talerzowi z mięsem i warzywami. Nadział kawałek wieprzowiny z puszki na widelec i podniósł ją do ust, potem

odrzuć sztuciec na stół.

– Granger, nie mogę jeść, kiedy ci ludzie są głodni.

– Ja też nie - powiedziała Joan.

– Misjonarze. Granger wyglądał na zniesmaczonego. - Dobra, mamy całkiem sporo pudełek mleka w proszku i więcej wieprzowiny w puszkach niż to jest absolutnie konieczne. Wydaje mi się, że możemy wrócić do starego zwyczaju, żeby upolować coś na kolację, kiedy nadejdzie czarna godzina. Ale ostrzegam cię, Jones, abyśmy nie musieli jeść gryzoni, zanim wyprawa się skończy.

– Lepiej zjeść szczura niż nim być - podsumował Indy, podnosząc się, aby znaleźć mleko w proszku.

– Czy nie mogę nawet zjeść najpierw obiadu? - narzekał Granger.

Joan rozsznurowała poły namiotu. Wyszła na zewnątrz i biorąc za rękę ciemnookiego chłopczyka i jego matkę, zaprowadziła ich do środka i usadziła przy stole. Wzięła talerz Grangera i postawiła go przed nimi.

– Najpierw goście - powiedziała. Za forpocztą przysłała reszta tłumu.

Przez następną godzinę Indy i Joan zajęci byli przygotowywaniem jedzenia i stawianiem go przed ludźmi z Tuerin, którzy byli wręcz nienasytzeni. Kiedy został wyczyszczony ostatni talerz, w drzwiach namiotu stanął schludnie ubrany mężczyzna.

Mierzył przynajmniej metr osiemdziesiąt i miał długie czarne wąsy, które opadały na wyraźnie zaznaczony podbródek. W zgięciu ręki trzymał rosyjski karabin. Jego czarne oczy spoglądały po kolei po wszystkich twarzach.

Kobiety cicho zabrały dzieci i wyszły. Tylko jeden starzec został przy stole z amerykańskimi podróżnikami i pracowicie przeżuwał ostatni kawałek swojej porcji wieprzowiny.

– Kto karmi moje dzieci? - zagadnął mężczyzna po angielsku.

– Masz coś przeciwko temu? - spytał Indy. Mężczyzna roześmiał się i dużymi krokami wszedł do namiotu.

– Wy, Amerykanie - powiedział, szerokim gestem pokazując na okolicę - każdy dzień traktujecie jak wakacje. Ale jestem wdzięczny za waszą gościnność, choć to my powinniśmy was karmić.

Indy uściśnęła mu dłoń.

– Nazywam się Indiana Jones - przedstawił siebie, a potem Grangera i Joan.

– Jestem Meryn - oznajmił mężczyzna, gestykułując. - Moi przyjaciele powiedzą wam, że jestem najlepszym poganiaczem wielbłądów w całej Mongolii. Inni się zgodzą, że jestem najlepszym i najszybszym złodziejem. A moi wrogowie - ech, gdyby tylko potrafili przemówić z za grobu! - powiedzieliby, że jestem najdzikszy wojownikiem.

– Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółmi - ośmielił się powiedzieć Indy.

– Oczywiście, że jesteście przyjaciółmi - ryknął Meryn. - Wróg nie karmi twoich dzieci, nawet gdy posiadzie twoją żonę. Ale ty możesz posiąść sam kwiat moich żon. Widzę, że trzy z nich już poznałeś.

– Które to były? - spytała Joan.

– Jak to, oczywiście te najpiękniejsze.

– Potrzebujemy dobrego poganiacza wielbłądów - oświadczył Indy.

– Więc go znaleźliście. Powiedzcie mi, czy jesteście przyjaciółmi wielkiego Andrewsa? Wiele lat temu, kiedy Amerykanie odkryli szczątki kostne wielkiego *allergorhai-horhai*, mój ojciec prowadził dla niego wielbłądy do samego serca Gobi. Powiedział mi przed śmiercią, że poszedłby za Andrewsem aż do bram piekła.

– Znałem twego ojca - stwierdził Granger. - Przykro mi słyszeć, że umarł.

– Chińczycy - powiedział ze smutkiem Meryn. - Albo Rosjanie. Ale też mogli to być Japończycy. Nie jestem pewien. Nigdy nie znaleźliśmy ciała. Pociesza mnie tylko wiadomość, że zabrał ze sobą wiele tych psów.

– Na pewno tak było - rzekł z przekonaniem Indy.

– Bardzo dobrze mówisz po angielsku - zauważył Granger.

– Mój ojciec - wyjaśnił lapidarnie Meryn. Granger nalał kubek kawy i postawił go na stole. Meryn zawiesił swój karabin na maszcie namiotu i usiadł.

– Ile wielbłądów będziecie potrzebować?

– Dużo - powiedział Indy.

– Jeśli tyle nie mam, to ukradną - oświadczył Meryn, sącząc kawę.

– Macie cukier?

– Ukraść? - spytała Joan, stawiając przed nim puszkę z cukrem.

– To tylko taka metafora. - Meryn wsypał do kubka tyle cukru, że kawa groziła wystąpieniem z brzegów. Meryn przycisnął usta do kubka i zaczął siorbać ulepek.

– Powiedz mi, słyszałeś kiedykolwiek o facecie, który się nazywa generał Tzi? - zorientował się Granger. Meryn niemal udusił się kawą.

– Tzi! - warknął. - Gdzieście się nauczyli tego obmierzłego imienia?

– Trafiliśmy na jego wysłannika przy Wielkim Murze po tej stronie Kalganu, dość nieprzyjemnego typu imieniem Feng - powiedział Granger.

– Mam nadzieję, że go zabiliście.

– Niestety, nie.

– Kanibal Tzi - ciągnął Meryn - obwołał się generałem i twierdzi, że jest patriotą, bo walczy z komunistami, ale tak naprawdę przelewa krew wszystkich. Wysyła oddziały z niezdobytej fortecy górskiej, gdzie mieszka pod ochroną Fałszywego Lamy Czarnej Gobi.

– Fałszywy Lama? - spytała Joan.

- Odpowiednik antychrysta - powiedział Indy.
- Fałszywy Lama to rywal Żywego Boga w Urdze - wyjaśnił Meryn. -
Wśród zamieszania, które powstało po tym, jak komuniści wyjęli ten obszar spod prawa, Fałszywy Lama zdołał przyciągnąć małą grupę zwolenników i pomaszerował na pustynię. Tzi byłby nikim, gdyby nie złe moce Czarnego.
- To pocieszające - zauważył Indy. - Dlaczego nazywa się go kanibalem?
- Ponieważ chodzą plotki, że zjada serca swych ofiar - rzekł Meryn. - Jest nieugięty i śledzi swoje ofiary przy pomocy stada dzikich psów, które karmi ludzkim ścierwem.
- Joan pobladła.
- Trudno... w to uwierzyć.
- Obawiam się, że nie - powiedział Granger. - Dzikie psy są szczególnie niebezpieczne w tym kraju, gdyż wiele z nich ma apetyt na ludzkie ścierwo. Dlatego właśnie byłem tak zaniepokojony tą bestią, którą Indy uwolnił przy murze. I nie myśl, iż nie zauważyłem, Jones, że zostawiasz za obozem jedzenie dla tego mordercy.
- Skąd się bierze ten apetyt? - chciała wiedzieć Joan.
- W mniejszych wioskach przesady są bardzo rozpowszechnione - wyjaśnił Granger. - Martwe ciała są uznawane za nieczyste i rzekomo stanowią pożywkę dla zła. Kiedy ktoś umiera, wrzuca się go na tył furmanki. Następnie najbardziej odważny człowiek w wiosce wyrusza z furmanką, idąc przez wieś i nigdy się nie oglądając. W końcu ciało zrzuca się z wozu i staje się ono pożywieniem dla psów.
- To jakiś koszmar - oświadczyła Joan. Granger westchnął.
- Gdyby to były tylko złe sny...
- Może porozmawiajmy o przyjemniejszych rzeczach - zaproponował Meryn. - Jaką cenę zapłacicie za te wielbłądy, których tak rozpaczliwie

pożądacie?

Joan czuła się wyczerpana, ale wśród samotnej ciszy swojego namiotu zrozumiała, że nie odpocznie. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, w jej umyśle pojawiały się wizje dzikich psów z okrutnym błyskiem w oku, które wlokły ją bezlitośnie przez pustynię.

W końcu się poddała. Ubrała się, założyła ciężki wełniany płaszcz i wyszła z namiotu. Wiatr już się uspokoił, a na niebie świeciły gwiazdy. Przeszła kawałek i oparta się o ciężarówkę Indy'ego, myśląc o swoim ojcu.

Rozległo się szczekanie psa.

Joan zamarła. Szczekanie dochodziło skądś z ciemności i robiło się coraz głośniejsze. Owinęła się szczelniej płaszczem i zrobiła kilka kroków w stronę namiotów.

Pies, którego Indy uwolnił przy murze, posuwał się skokami naprzód w kierunku środka obozu, ujadając jak szalony. Stanął nagle między Joan i namiotami, na rozstawionych nogach, ze zjeżoną na karku sierścią.

– Proszę się nie ruszać - ostrzegł ją Granger. Wysunął się z namiotu, trzymając w rękach karabin. Odbezpieczył go i wolno podniósł na wysokość ramienia.

– O mój Boże - jęknęła Joan.

Była na linii ognia. Granger zaczął powoli przesuwać się na bok, starając się oddać strzał do zwierzęcia bez ryzyka dla Joan. Pies zbliżył się, wciąż zajadle szczekając.

– Już podchodzę - powiedział Granger. - Proszę w dalszym ciągu się nie ruszać.

– O mój Boże - powtórzyła Joan.

Aranżer zrobił jeszcze dwa kroki w prawo i zaczął delikatnie pociągać za spust. Pies puścił się biegiem. Indy podbił lufę w powietrze właśnie w chwili, gdy Granger wypalił. Kula przeszła nocne niebo.

Pies skoczył i Joan przypadła do ziemi.

Zwierzę poszybowało ponad nią i wylądowało dokładnie na piersi Fenga, który podkładał się do zakonnicy z wyciągniętym nożem. Feng przewrócił się do tyłu i pies zanurzył głęboko zęby w jego nadgarstku.

Do obozu zbiegli się inni bandyci, z nożami i pistoletami w rękach. Granger wystrzelił ponownie i trafił najbliższego z nich w klatkę. Bandyta upadł ze słabnącym westchnieniem u stóp Indy'ego, wciąż ściskając w martwej ręce sztylet.

Indy wyciągnął swój rewolwer i ruszył na napastników, strzelając po drodze. Rozbiegli się, ale jeden z nich zdążył jeszcze rozciąć mu policzek szablą.

– No nie, znowu - jęknął Indy, tamując krew dłonią. - Dopiero co się zagoiła.

Feng kopniakiem uwolnił się od psa i pobiegł w ciemność, rzucając za sobą przekleństwa.

– Nie są zbyt odważni, co? - stwierdził Granger.

– Zabijanie ludzi podczas snu nie wymaga zbyt wiele odwagi - odparł Indy. - Siostrze, wszystko w porządku?

– Jestem tylko wstrząśnięta - powiedziała. - Gdyby nie to, że pies...

– Proszę nawet o tym nie myśleć - powiedział Indy. Ukląkł i poklepał w ziemię. Pies ostrożnie podszedł i pozwolił położyć sobie rękę na głowie. - Gdyby Loki nie zaczął szczekać, prawdopodobnie wszyscy bylibyśmy teraz martwi.

– Cieszę się, że się myliłem co do tego zwierzęcia - oświadczył Granger.

– Miałem psa, kiedy byłem mały i nigdy go nie odżałowałem, kiedy zdechł. Był moim najlepszym przyjacielem - wyznał Indy. - Następnie dodał tak cicho, żeby inni go nie słyszeli: Też się tak nazywał.

– Nazwał go pan Loki? - zapytała Joan.

– Jasne - odparł Indy. - Na cześć nordyckiego boga niezgody, który był przykuty łańcuchem do muru.

5.

Miasto żywego boga

Pod lufami pistoletów dwóch policjantów wyprowadziło Indianę Jonesa i Waltera Grangera z przejmująco zimnego więzienia, gdzie spędzili pierwszą noc w Urdze - wiekowym, otoczonym murami mieście. Tej nocy żaden z nich nie spał. Kilkakrotnie przesłuchiwani byli po rosyjsku na temat ich pobytu w Mongolii.

Indy stał na ulicy i mrużył oczy patrząc w słońce. Strasznie go swędziało nos, ale, tak jak Aranżer, ręce miał związane z tyłu.

– Nie rozwiążecie nas? - spytał.

Jeden z policjantów przyłożył lufę karabinu do pleców Indy'ego i popchnął go przed siebie.

– Wygląda na to, że nie - odrzekł Aranżer.

Obydwaj konwojenci byli Buriatami, członkami mongolskiego plemienia z północy, które przez pokolenia uważało się za Rosjan. Pchali Indy'ego i Grangera przez zatłoczone ulice w milczeniu, nie śmiejąc się nawet gdy Indy - po rosyjsku - żartował, jak bardzo jest wdzięczny za darmowy nocleg dla trzech osób i za wyśmienite jedzenie.

– Skąd się bierze takie karaluchy? - starał się dowiedzieć Indy.

Miasto ciągnęło się osiem kilometrów wzdłuż rzeki Tola. Pomimo wysiłków komunistów zachowało swój charakter - osobliwą mieszankę trzech kultur: chińskiej, mongolskiej i rosyjskiej.

Budynki rosyjskie były bez wyjątku przysadziste, praktyczne, pomalowane na czerwono i pomarańczowo, i przypominały ozdobne chaty;

tradycyjne mongolskie zabudowania otaczały wielkie palisady z grubo ciosanego drewna, na których szczycie powiewały flagi modlitewne; a w handlowej dzielnicy miasta ciągnęły się rzędy chińskich sklepów z drewnianymi ladami i kupcami w niebieskich marynarkach. Jednakże tym, co się zmieniło w architekturze, odkąd komuniści doszli do władzy w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, był całkowity brak oznak życia religijnego.

Wszystkie kościoły, kaplice i klasztory w mieście zostały zrównane z ziemią. Ich miejsce zajęły wzmocnione workami z piaskiem gniazda karabinów maszynowych; te szpetne konstrukcje dominowały na niemal każdym ważnym skrzyżowaniu.

Rosyjski konsulat mieścił się w ogromnym czerwonym budynku, który stał na miejscu katolickiego kościoła, zburzonego wkrótce po przejęciu władzy przez komunistów. Mimo że rząd Mongolii był z założenia autonomiczny, nic nie działo się bez aprobaty urzędników rosyjskich.

Indy'ego i Grangera wepchnięto na schody i przez korytarz z ponurych kamieni wprowadzono do obskurnego biura, gdzie już czekała Joan.

– Nic siostrze nie jest? - zagadnął Indy.

– Nie - odpowiedziała zwięźle.

– Czy to proces? - zapytał Indy po rosyjsku.

– Oczywiście, że nie - powiedział minister spraw zagranicznych zza masywnego biurka.

Był to mały, łysiejący mężczyzna o zniszczonej cerze. Nazywał się Badmonjohni. Złączył palce wskazujące i wychylił się nad swoim zwalistym biurkiem w ich stronę.

– Więc dlaczego nas aresztowano? - dociekał Indy.

– Nie aresztowano - odrzekł minister. - Zatrzymano państwa na dwadzieścia cztery godziny na podstawie podejrzeń o szpiegostwo, ale po

tym, jak przepytalem obecna tu siostrą Joan, jestem pewien, że są państwo niewinni, choć może wprowadzeni w błąd.

Mężczyzna dał Buriatom znak ręką, żeby wyszli.

– Gdzie jest mój pies? - chciał się dowiedzieć Indy.

– Jest na dole, zamknięty w klatce, która zwykle służy do trzymania panter - powiedział minister. - Nie ma większych obrażeń. Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o policjancie, który starał się go wyciągnąć z kabiny waszej ciężarówki i założyć mu smycz. Trzeba było nałożyć wiele szwów, żeby naprawić uszkodzenia. W końcu złapano zwierzę na łąso, jak w jednym z tych waszych filmów o Dzikim Zachodzie. No, ale mówiono mi, że Urga przypomina wam, Amerykanom, o przeszłości, o granicy przesuwania się osadników. Indy się uśmiechnął.

– Co z naszymi ciężarówkami? - spytał Granger.

– Są na zewnątrz, czekają na was - odparł minister z zadowoleniem. - Napełniliśmy nawet baki benzyną i sprawdziliśmy olej.

– Co za miła obsługa - zażartował Indy. - Proszę posłuchać, szliśmy właśnie do tego urzędu, kiedy pańscy ludzie na nas skoczyli i zaciągnęli do więzienia. Naszym zamiarem było zdobycie stosownych listów uwierzytelniających na dalszy etap naszej podróży.

– Przepraszam za te wszystkie niewygody - powiedział Badmonjohni. - Mam nadzieję, że nam państwo wybaczą. Ale takie rzeczy trudno załatwić, doktorze Jones. Zwykle na przepustki czeka się miesiącami, a i to tylko w najspokojniejszym okresie.

Nie spodziewaliśmy się, że troje Amerykanów pojawi się w mieście wraz z kilkoma uzbrojonymi samochodami i zażąda bezpiecznego przejazdu przez Gobi.

– Ale można by pewnie wziąć pod uwagę okoliczność, że jest to misja miłosierdzia - zaczął Indy niepewnie. Minęło kilka lat, odkąd po raz ostatni

mówił po rosyjsku i zdał sobie sprawę, że szuka właściwych słów. - Przepraszam, ale mój rosyjski jest dość słaby. Czy moglibyśmy rozmawiać po angielsku?

– Oczywiście.

– Jesteśmy tutaj, aby odnaleźć profesora Starbucka i bezpiecznie zwrócić go rodzinie.

– Siostra uprzejmie mi to wszystko wyjaśniła. Nie jestem nieprzychylny waszej misji - powiedział minister. - Ale sytuacja w tym regionie jest niepewna. Rosjanie nie ufają Chińczykom, Chińczycy nie ufają Rosjanom, przy czym wszyscy nienawidzą Japończyków. Zaczną się plotki o szpiegostwie i intrydze.

– Proszę posłuchać, nie jesteśmy szpiegami - oznajmił Indy. - Jest to naukowa ekspedycja, dofinansowana przez Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej. Mamy dwa cele: po pierwsze odnaleźć profesora Starbucka, po drugie przywieźć w nienaruszonej postaci wszelkie skamieniałości, jakie mógł znaleźć. To bardzo proste.

– Ujmując rzecz pragmatycznie, istnieje bardzo mała różnica pomiędzy ekspedycją naukową a ekspedycją strategiczną - powiedział Badmonjohni. - Obie mają zebrać informacje, zdjęcia, mapy. Z tego właśnie powodu przez kilka lat odmawialiśmy takim wyprawom wjazdu na Gobi. Macie ze sobą sprzęt fotograficzny i radiowy, prawda?

– Wie pan, że tak - zaczynał się niecierpliwie Indy. - Przeszukano nasze ciężarówki.

– Bardzo trudno będzie to zaakceptować - powiedział Badmonjohni. - Ale jeśli zgodzicie się pójść na pewne ustępstwa, może moglibyśmy dojść do porozumienia. Jednak uzgodnienie szczegółów zajęłoby kilka tygodni.

– Nie mamy tyle czasu - włączyła się Joan. - W następnym miesiącu na tej pustyni będzie minus trzydzieści stopni i mój ojciec może zamarznąć na

śmierć, zanim go znajdziemy.

– Istnieje chyba sposób, żeby przyspieszyć obrót spraw - zasugerował Badmonjohni. - Ale nie będzie łatwo. Staram się powiedzieć, doktorze Jones, że nie będzie tanio.

– Ach, więc teraz przystępujemy do interesu - powiedział Indy.

– Ten najwidoczniej zdecydował nie zajmować się religią - zauważyła Joan.

– Ile? - zapytał Indy.

– Jak może pan oczekiwać, że wymienią jakieś sumy, skoro mowa o tak trudnych rzeczach? - odparł Badmonjohni. - To obraźliwe.

Indy odwrócił się plecami do ministra, sięgając pod koszulę, i wyjął pełną garść złotych monet z paska na pieniądze, po czym odwrócił się i położył je na biurku.

– Może to zaspokoi pańską dumę.

Badmonjohni zgarnął złote monety do szuflady biurka, nie licząc ich nawet.

– Spróbuję, doktorze Jones - powiedział. - Proszę wrócić za trzy dni. Wtedy będziemy wiedzieć, czy moje wysiłki nie poszły; na marne. Tymczasem proponuję, aby panowie i siostra Joan trochę pozwiedzali, na wypadek gdyby prośba została odrzucona, Dzięki temu wasza podróż do Mongolii nie będzie mogła być uznana za straconą. Przy okazji, radzę przez wzgląd na was samych nie nazywać tego miasta Urgą. Tamto miasto nie istnieje. To jest Ułan Bator, Czerwone Miasto.

– Dziękujemy - powiedział Indy niechętnie.

– Ach, doktorze Jones - dodał Badmonjohni. - Do czasu rozpatrzenia waszej prośby pozwoliliśmy sobie zatrzymać krótkofalówki, aparaty fotograficzne i ten osobliwy karabin.

Na broń, którą macie, potrzebne będzie zezwolenie po dziesięć dolarów od sztuki, od ciężarówek po pięćdziesiąt dolarów. Gdybyście chcieli, możecie uiścić te opłaty teraz.

– Ile dałeś temu buriackiemu złodziejowi? - spytał Granger, kiedy byli na zewnątrz.

– Około pięciuset dolarów - powiedział Indy, gdy schodzili po stopniach konsulatu. - Spodziewam się, że aby ubić interes potrzebne będzie kolejne pięćset.

– Cholerni komuniści - warknął Granger.

– Co teraz robimy? - spytała Joan.

– Zwiedzamy - odparł Indy - i przez następne kilka dni staramy się być tak mało podejrzani, jak to tylko możliwe.

– Szkoda, że religia została zakazana - odezwała się Joan. - Chciałabym odwiedzić dalajlamę.

– To nadal możliwe - powiedział Granger. - Religia może być nielegalna, ale to trochę tak jak było z prohibicją alkoholową w Stanach - nie oznacza wcale, że się alkoholu nie dostanie. Trzeba po prostu wiedzieć, gdzie go można dostać. Dalajlama przeniósł się do podziemia i zamieszkuje w ogrodzonym domu na przedmieściach, otoczony przez kilkunastu służalczych mnichów.

Oczywiście ostatni powszechnie uznawany dalajlama zmarł w roku 1923 i istnieją różnice zdań, czy ten jest rzeczywiście najnowszym wcieleniem Buddy na ziemi, ale zaprowadzę siostrę na spotkanie z nim. Nie każdego dnia ma się okazję spotkać Żywego Boga, prawda, siostro?

Wewnątrz zespołu budynków otoczonego palisadą z grubo ciosanego drewna, w żółtym domku z zielonym dachem zostali uroczyście zaprowadzeni do Żywego Boga przez dwóch mnichów w fałdzistych czerwonych szatach z mankietami w kolorze błękitu nieba.

Indy stanął niemal na baczność, trzymając kapelusz w dłoniach, podczas gdy Granger pozostał z tyłu, nonszalancko trzymając ręce w kieszeniach. Indy uklonił się, ciągnąc ze sobą Joan, jednocześnie szeptem każąc Grangerowi okazać trochę szacunku.

– Rozkaz - powiedział Granger zdejmując kapelusz i kłaniając się.

– Miło nam pana poznać - wyjąkała Joan.

Lama był mężczyzną w średnim wieku o jasnoniebieskich oczach i z ogoloną głową. Siedział po turecku na poduszce w szafranowych szatach i czarnych spodniach.

– Zbliżcie się - polecił.

– Moje oczy mnie zawodzą. Lekarze mówią, że do wiosny będę kompletnie ślepy.

– Przykro mi - powiedziała ze współczuciem Joan, gdy podchodzili. Mnisi w czerwonych szatach przynieśli trzy poduszki. Gdy siadali, Indy kazał Grangerowi schować stopy.

– Niech ci nie będzie przykro, drogie dziecko - rzekł lama. - Widziałem dosyć cierpień na świecie, ale jego piękno nigdy nie zgaśnie w oczach mojego umysłu. Widziałem, jak podróżujecie od kilku tygodni. Przebyliście taką długą podróż! Przez morze i lądem.

– Widział nas pan? - zdziwiła się Joan.

– W moich snach - odparł lama.

– Widziałem też przed wami bandytów, stada dzikich psów, i wiele ciężkich prób.

– Co jeszcze może nam pan powiedzieć?

– Co można mówić na podstawie snów? - spytał lama. - Że wasza podróż jest podróżą nie ciała, a duszy, to oczywiste, drogie dziecko. Szukacie tego, co było zaginione przez bardzo długi czas.

– Mojego ojca - wyjaśnił Joan.

- Nie, czegoś więcej - zaprzeczył lama.
- Szukacie przeszłości, świata takiego, jakim był zanim zepsuła go wiedza. Raju.
- Tak, racja - przyznała szybko Joan, dodając: - Uda się to znaleźć?
- Skąd ja mam wiedzieć? - spytał. - To nie zależy ode mnie. Mogę zajrzeć tylko do swoich snów, nie do cudzych serc.
- Przepraszam - powiedział Indy, wyciągając skrawek pomarańczowego materiału z kieszeni koszuli - ale czy to przypadkiem nie pańscy szpiedzy powiedzieli panu, że przybędziemy? Pewnie to pan wysłał za nami mnichów w Nowym. Jorku. Lama obejrzał skrawek materiału.
- To żaden dowód - oświadczył lama. - Zachowuje się pan, jakby tak było. Ale ten skrawek materiału pochodzi z jednego z naszych odległych klasztorów, w głębi Gobi.
- Można to po prostu poznać za pomocą wzroku? - spytał Granger.
- Nie, dotyku - odrzekł lama. - Tego splotu nie da się pomylić z żadnym innym. Powiedzcie mi coś więcej o tych mnichach, którzy, jak twierdzicie, was gonili. Czego chcieli?
- Zabrali nam róg - powiedział Indy.
- Ach, róg - westchnął lama. - To zmienia postać rzeczy. Możecie mi opisać ten róg?
- Nie, zaczekajcie. Pozwólcie, że coś wam pokażę, a wy mi powiecie, czy to przypomina rzecz, którą wam zabrano.
- Powiedział coś do mnichów i niebawem jeden z nich przyniósł pomalowany na żywe kolory relikwiarz. Lama zmówił modlitwę, otworzył wieko drewnianego pudełka i wyjął róg, który był mniejszą wersją tego, który zabrano z Muzeum Historii Naturalnej.
- Czy czegoś wam to nie przypomina? - zapytał.

– Tak - odparł Indy, uważnie oglądając róg. - Ale to nie ten sam, który nam zabrano. Ten jest mniejszy. I skamieniały.

– Był przekazywany z pokolenia na pokolenie i jest niewyobrażalnie stary - powiedział lama, wkładając go z powrotem do pudełka. - Wiecie, co to jest?

– A pan? - spytała Joan.

– Oczywiście - stwierdził lama. - To róg legendarnego *allergorhai-horhai*, świętej kamiennej bestii pustyni. Wielu mówi, że *horhai* jest tylko mitem, ale tu mamy kawałek namacalnego dowodu, memento niezgłębionych dziejów świata. Znacie tę bestię?

Indy oświadczył, że zna.

– Podobno nadal żyje na pustyni Gobi.

– Też tak słyszałem.

– Czy jest przedmiotem waszych poszukiwań?

– Jesteśmy tutaj, aby znaleźć profesora Angusa Starbucka, który zaginął gdzieś na Gobi. Obecna tu siostra Joan jest córką profesora.

– Ale szukacie również bestii. Inaczej nie pokazałby mi pan skrawka tego materiału - odrzekł lama. - Słyszałem o profesorze Starbucku. Jest znany w pustynnych klasztorach i pomogę wam go odnaleźć, jeśli będę mógł. Jeśli dobrze sobie przypominam, ostatnio widziano go w rejonie Gurbun Saikhan.

– Znam to miejsce - powiedział szybko Granger. - W jego pobliżu znajdują się tak zwane Płomienne Urwiska, gdzie ekspedycja Andrewsza znalazła wiele wspaniałych szczątków kostnych.

– Gurbun Saikhan - powtórzył Indy. - Trzech Sprawiedliwych.

– Zostało tak nazwane na waszą cześć trzy stulecia temu - stwierdził lama.

Granger parsknął.

- To niedorzeczne - powiedział.
 - Prawdopodobnie jakiś biedny koczownik zastrzelił na tym miejscu trzy antylopy.
 - Może pomogłoby, gdyby z powrotem założył pan kapelusz na głowę - zasugerował lama.
 - Pańska zdolność słyszenia - lub przynajmniej słuchania wydaje się być nieco osłabiona.
- Indy się zaśmiał.
- Wie pan coś jeszcze o moim ojcu? - spytała Joan. Lama pokręcił głową.
 - To dość tajemnicza osoba i cokolwiek znajduje podczas długich wędrówek na pustyni, zachowuje to dla siebie.
 - Doktorze Jones - ciągnął lama. - Życzę wszystkiego najlepszego w próbach odnalezienia profesora Starbucka. Jest jednak coś, o co muszę poprosić.
 - Zrobią, co tylko będę mógł - przyrzekł Indy.
 - Gdybyście się przypadkiem natknęli na *horhai* przy poszukiwaniach profesora Starbucka, musicie uchronić je od jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Możecie mi to obiecać?
- Indy zawahał się.
- *Horhai* to mityczny stwór - powiedział.
 - Najważniejsze prawdy często znajduje się w mitach.
 - Ale co miałbym robić, by go chronić?
 - Odpowiedź na to pytanie leży w pańskiej duszy - oznajmił lama. - Kiedy nadejdzie pora, będzie pan musiał uczciwie poszukać odpowiedzi w sobie.
- Dla człowieka akcji to często najtrudniejsza rzecz. Czy potrafi pan to zrobić?

– Tak - odrzekł Indy.

– Dobra wiadomość - powiedział Badmonjohni, gdy cała trójka znalazła się w jego gabinecie w rosyjskim konsulacie. - Pracowałem dzień i noc i w końcu uzyskałem niezbędne pozwolenia dla waszej ekspedycji.

– Wyśmienicie - ucieszył się Granger. Badmonjohni położył papiery na biurku. Były wśród nich także ich paszporty, w które wbito odpowiednie wizy.

– Jeszcze tylko jeden, może dwa szczególiki - powiedział minister. - Musicie, oczywiście, zostawić cały sprzęt fotograficzny i radiowy. Naturalnie, o karabinie nie ma mowy. I muszę dostać jeszcze siedemset dolarów.

– Co? - oburzył się Granger. - Chce pan zedrzeć z nas wszystko, co mamy?

– Trzeba okazywać dobrą wolę, aby osiągnąć pożądany skutek - wzruszył ramionami Badmonjohni. - Suma nie podlega negocjacom.

Indy odliczył złote monety i ułożył je w stos na biurku, podczas gdy Granger zebrał pozwolenia.

– Jest jeszcze jeden, ostatni wymóg - oświadczył minister. - Absolutnie nic nie można wywieźć z kraju bez kontroli i aprobaty Mongolskiej Republiki Ludowej. Wszystkie znalezione przez was obiekty muszą zostać przywiezione tu, do Ułan Bator, do kontroli.

Granger spojrział na Indy'ego.

– Nie ma sprawy - powiedział Indy. - I tak będziemy musieli tędy wracać, żeby zabrać siostrę Joan.

– Nie chcecie mnie chyba zostawić w tej dziurze, zapomnianej przez Boga i ludzi - błagała Joan, kiedy wyszli z konsulatu. - Gdzie miałabym mieszkać? W więzieniu dla kobiet?

– Cóż, już się z nimi siostra zaznajomiła - zauważył Granger.

– Lama poczuł do siostry sympatię - powiedział Indy. - Zaprosił siostrę do swojego dobrze strzeżonego domu, dopóki nie wrócimy i proponuję, żeby siostra skorzystała z jego oferty. Jest to tutaj dla siostry najbezpieczniejsze miejsce.

– Nie zrobię tego - oświadczyła.

– Proszę posłuchać - perswadował Indy. - Umawialiśmy się, prawda? Miała siostra jechać do Urgi i koniec.

– To pan się umawiał - wyjąkała. - Ja niczego nie mówiłam, do diabła! Założył pan, że się na to zgodziłam.

– Przeklinająca zakonnica - zdziwił się Granger. - Ależ zakon musi być z siostry dumny.

– Idź do...

– Nie musi siostra kończyć - przerwał Granger. - A teraz proszę mnie posłuchać:

– Czy mamy siostrę zwięzać i odstawić do domu dalajlamy, czy też choć raz zachowa się siostra rozsądnie? Przysięgam, że jeśli będę musiał, to powiem mnichom, że jest siostra szalona i należy ją zamknąć na klucz w pokoju dla jej własnego dobra.

Joan milczała.

– Wyświadczamy siostrze przysługę - ciągnął Granger. - Chce siostra spotkać te dzikie psy naprawdę, a nie tylko w swoich koszmarach?

– W porządku - zgodziła się Joan. - Zostaną. Ale lepiej dajcie mi dość pieniędzy, żebym mogła sobie radzić sama, dopóki nie wrócicie.

Gdy tylko ciężarówki zniknęły w oddali, Joan zabrała swoje rzeczy z domu dalajlamy i wyruszyła piechotą do handlowej dzielnicy Urgi, z dającym poczucie bezpieczeństwa ciężarem dziesięciu złotych monet brzęczących w kieszeni habitu.

6.

Dziki psy

Dwie ciężarówki i trzydzieści wielbłądów ekspedycji, mijając wyrzeźbione przez wiatr wydmy, ruszyły w końcu długim sznurem na pustynię Gobi.

Ciężarówka Grangera, pozbawiona karabinu, jechała na przedzie. Amerykańska flaga łopotała nad kabiną na przytwierdzonym z tyłu długim kiju. Widok gwiazdzistego sztandaru zawsze nastrojał Indy'ego patriotycznie, ale wywieszono go tam również ze względów praktycznych: gdy Granger szukał dla karawany najlepszej trasy, pojazd często znikał za wydmami; flaga miała ułatwić jego odnalezienie.

Nad samochodem Indy'ego powiewał niebieski proporzec, ozdobiony charakterystycznym emblematem Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej - rysunkiem ludzkiego kościotrupa, starającego się zapanować nad szkieletem stojącego dęba konia. Inspiracją dla projektu stał się jeden z najpopularniejszych eksponatów muzeum. Indy'emu podobał się jednak piracki charakter proporca - na odległej pustyni Gobi, gdzie Mongołowie czcili konie i bali się zmarłych, jego znaczenie stało się w niezamierzony sposób bardzo wymowne.

Jazda była powolna i Granger bez przerwy sprawdzał za pomocą kompasu i map gdzie są. Kiedy zatrzymywali się wieczorem, miał zwyczaj używać sekstansu i tabel astronomicznych, aby ustalić dokładne położenie. Następnie, z użyciem barometru, opracowywał prognozy i notował to

wszystko w dzienniku. Dostępne mapy tego obszaru były tak niedokładne, jak mapy pełnego morza.

Od czasu do czasu na pustyni pojawiał się twardszy grunt, porośnięty karłowatymi drzewami, które przypominały tamaryszek. Nie trafiali jednak na wodopoje. Zwierzęta widywali rzadko, ludzie nie mieszkali tam wcale; przez tydzień, który minął od wyjazdu z Urgi, nie spotkali żadnego człowieka, z wyjątkiem pewnego buriackiego żołnierza; minister spraw zagranicznych wysłał go, by ich śledził. Gdy koń szpiega zdechł z wyczerpania, zaprosili mężczyznę, aby się do nich przyłączył. Musiał tylko pracować na żywność i racje wody pitnej. Wdzięczny żołnierz z początku im nie dowierzał, ale potem szybko się zgodził na taki układ.

Czasami napotykali charakterystyczne koło z kamieni, wskazujące na miejsce, gdzie kiedyś stała mongolska jurta - niski i szeroki u podstawy stożkowaty namiot. W pobliżu takiego koła leżał zwykle zbieleły szkielet i miska po jedzeniu. Mongołowie otóż wyciągali żerdzie i pozostawiali martwych albo umierających na pastwę bezlitosnej przyrody. Grangerowi wydało się to wprawdzie szokujące, ale Indy rozumiał konieczność przemawiającą za tymi praktykami; wiadomo było, że Indianie z Ameryki Pomocnej postępowali podobnie podczas srogich zim.

W dzień robiło się tak gorąco, że Indy zrzucił skórzaną kurtkę, nocą zaś temperatury spadały poniżej zera. Meryn i inni poganiacze wydawali się znosić te skrajności bez trudu, lecz Indy odkrył, że nagłe zmiany wyczerpywały jego siły. Nawykł do trudnych warunków, ale po jednym czy dwóch dniach nabierał ochoty na gorący prysznic. Na tym pustkowiu trzeba było jednak oszczędzać wodę. Tymczasem Granger znalazł się w końcu w swoim żywiole. Nucił nad poranną kawą i w świetle lampki aż do późnej nocy robił w swoim dzienniku szczegółowe notatki.

Nastrój popsuł mu się rano siódmego dnia, kiedy nagle do obozu, na niebezpiecznie spienionym srokatym koniu, wjechała Joan. Porzuciła swój habit na rzecz purpurowej chińskiej bluzki, dżinsów i wysokich butów, a u jej boku dyndał przestarzały, jednostrzałowy rewolwer. Na głowie nosiła płaski, przewiązany skrawkiem materiału kapelusz. Usta miała spieczone, a skórę spaloną słońcem.

– Dziwi was mój widok? - powiedziała z trudem. Po czym spadła z siodła prosto w ramiona Indy'ego, a koń z miejsca padł i zdechł.

– Co sobie siostra myślała? - spytał Indy, mocząc ścierkę w wodzie z menażki i kładąc ją na czole Joan. Umieścił dziewczynę w swoim namiocie, aby uchronić ją przed słońcem.

– Nie wierzyła nam siostra, kiedy mówiliśmy, że pustynia jest bezlitosna?

– Wierzyłam - zaśmiała się chrypliwie - ale byłam przekonana, iż dogonię was za dzień albo dwa. Coś w środku mówiło mi, że muszę wziąć udział w tej wyprawie, że nie potrafilibyście odnaleźć mojego ojca beze mnie. Nie miałam zamiaru zabić tego konia, naprawdę nie miałam.

– Ma siostra szczęście, że udało mu się pokonać całą drogę - powiedział Indy. - Gdyby tylko wyzionął ducha kilkaset metrów wcześniej, nigdy byśmy siostry nie znaleźli.

– Jak ona się czuje? - spytał Granger, wsadzając głowę między poły namiotu.

– Spieczona, ale nieupieczona. Zmarznięta, ale niezamarznięta. Będzie żyć.

– To dobrze - odrzekł Granger. - Wybacz, Jones, ale czy mógłbym z tobą zamienić słówko poza namiotem?

– Proszę odpoczywać - powiedział Indy do Joan. - Ja wychodzą. I nie wolno pić za dużo wody na raz, bo konsekwencje mogą być przykre.

– Dziękuję. I... - Joan urwała. - I przepraszam.

– Cieszę się, że siostra żyje. - Musiała się siostra urodzić pod piekielnie szczęśliwą gwiazdą.

Wyszedł z namiotu, a za nim pobiegł Loki. Dołączył do Grangera, który stał na tyle daleko, żeby Joan nie mogła ich podsłuchać. Ręce trzymał z tyłu i, rozeźlony, pykał z fajki.

– Czy ona da radę jechać dalej? - spytał.

– Może jutro - powiedział Indy, drapiąc Lokiego po głowie. - Ale obawiam się, że utkniemy tu przynajmniej na jeden dzień.

– Diabli nadali tę kobietę - wściekał się Granger. - Myślałem, że zakonnice powinny się zachowywać jak, no wiesz, jak zakonnice. Powinny zostać na miejscu, kiedy im się każe.

– Jak dobrze wytresowany koń?

– Wiesz, o co mi chodzi - warknął Granger. - Naraziła na niebezpieczeństwo całą ekspedycję. Poganiacze przewidują klęskę z powodu obecności cudzoziemki i, szczerze mówiąc, nie mogę ich za to winić. Pokonując te pustkowia musimy utrzymać określoną prędkość. Jesteśmy oddaleni od najbliższej studni o ponad sześćdziesiąt kilometrów i nie ma żadnej gwarancji, że będzie w niej woda.

– Może powinniśmy ją tu zostawić z miseczką jedzenia. Granger milczał.

– Zaczynam rozumieć jej spojrzenie na pewne sprawy - powiedział Indy. - Każdy, kto tak rozpaczliwie stara się odnaleźć ojca, zasługuje na wzięcie udziału w poszukiwaniach. Gdyby była mężczyzną, nie zastanawialibyśmy...

– Tak, ale ona nie jest mężczyzną. W tym właśnie rzecz.

– Dlatego więc, że jest kobietą, nie będzie w stanie znieść niewygód, które nas czekają? Wiesz, Walterze, co ona robiła, kiedy zabrakło jej tam

wody? Piła swój własny pot. Powiedziała, że czytała w „National Geographic”, iż robią tak Beduini. Jak myślisz, ilu mężczyzn byłoby na tyle przytomnych, żeby o tym pomyśleć?

Granger znowu pogрузzył się w milczeniu.

– Porozmawiajmy z Merynem - zaproponował Indy. - Niech wyjaśni sytuację poganiaczom. Niech im powie, że jest święta - co nie jest kłamstwem, prawda? - i jest nam potrzebna, aby odnaleźć profesora Starbucka. Niech im powie, żeby rozbili obóz, zostaniemy tu na dzień lub dwa. I niech im powie, że jeśli się im to nie podoba, mogą odejść dokąd tylko sobie życzą.

Rankiem drugiego dnia ruszyli dalej. Joan jechała w ciężarówce razem z Indym. Żaden z poganiaczy wielbłądów nie odłączył się od nich, ale Granger wciąż się dąsał. Meryn pogratulował Joan odwagi i podarował jej uroczyście przynoszący szczęście wisiołek z pazurem pantery, który mogłaby zawiesić na pasku. Joan odwdzięczyła się, ofiarowując mu różaniec.

– Hai! - wykrzyknął Meryn i podniósł do góry kciuk, aby okazać swoją aprobatę, zanim przytwierdził różaniec do kolby swego karabinu.

– Czy to oznacza, że siostra zrezygnowała ze ślubów? - zapytał Indy.

Joan nie odpowiedziała.

Do studni dotarli po południu.

Według standardów zachodnich trudno było ten stos kamieni wokół krzywej dziury nazwać studnią, ale ślady ludzi i zwierząt wokół małej oazy potwierdzały jej znaczenie. Indy spuścił wiadro do studni. Kiedy usłyszał plusk wody, kamień spadł mu z serca.

– Bogom niech będą dzięki - odetchnął Granger. - Tą studnię zasila małe, podwodne źródło, z którego woda, zamiast tryskać, sączy się powoli, więc musimy postępować ostrożnie, aby go nie wyczerpać. Inaczej

skażemy następnego biedaka, który będzie szedł tą drogą, na śmierć przez odwodnienie organizmu.

Granger zdecydował, co ma być zrobione w jakiej kolejności: najpierw napoi się zwierzęta, potem będą się mogli napić i napełnić swoje bukłaki poganiacze, a następnie należy się zająć chłodnicami ciężarówek. Dopiero wtedy Granger miał pozwolić Indy'emu na postawienie prowizorycznego prysznicza z kilku kawałków brezentu i liny rozciągniętej między budami ciężarówek. Zapowiedział ścisłe racje na każdą kąpiel: wspólne wiadro wody dla wszystkich, aby się namydlić, i pełne wiadro na każdego, aby się opłukać. W opinii Mongołów oczywiście cały ten rytuał był niedorzeczny.

Indy poszedł pod prysznic jako ostatni z całej trójki i korzystał z wody bardzo oszczędnie. Najpierw umył zęby i się ogolił, potem namydlił się i wolno wylał wiadro wody na głowę i całe ciało. Gdy skończył, poczuł się lepiej niż przez ostatnie tygodnie.

– To było cudowne - powiedział sobie a muzom, wyłaniając się zza brezentu i przytaczając ładownicę. Było ciepłe popołudnie. Nie zapinał koszuli, aby czuć podmuch wiatru na skórze.

– Niemożliwe - zakpiła Joan.

Indy podskoczył.

Siedziała na platformie ciężarówki, szczotkując swoje długie, brązowe włosy. Ręcznik szczelnie okrywał jej tułów, ale ręce i nogi miała gołe i pomimo próby zachowania skromności za pomocą ręcznika, jeszcze bardziej podkreśliła swą figurę. Indy przystanął, żeby coś jej powiedzieć, ale nagle zabrakło mu słów.

Pozostali byli daleko po drugiej stronie ciężarówki.

– O co chodzi? - zapytała.

– Przepraszam - wyjąkał Indy. - Po prostu zauważyłem, jak przyjemnie siostra pachnie.

Joan wydawała się nieporuszona tą uwagą.

– Jak wszyscy po kąpieli.

– Nie - powiedział Indy. Spojrzał na nią i zauważył, że jej nagie stopy wiszą nad ziemią. - To znaczy, z siostrą jest inaczej.

– Doktorze Jones - Joan zacisnęła usta. - Czy pan patrzy na moje nogi?

– Przepraszam - spieszył się. - To ładne nogi.

– Jest panu przykro tylko dlatego, że pana przyłapałam - drażniła się. - Czy był pan na pustyni aż tak długo, że zaczyna pan flirtować z zakonnica? Przynajmniej myślę, że ciągle nią jestem. Nie jestem pewna. Coraz łatwiej przychodzi mi o tym zapomnieć.

– Żartuje siostra.

– To znaczy, nikogo nie obchodzi, co się tutaj robi. Jest tylko wiatr, niebo i pustynia. Nikt nie stoi nad głową i nie mówi, jak żyć albo jak się zbliżyć do Boga. Wie pan, co mam na myśli?

– Mam trochę pracy - powiedział wykrętnie Indy. - Muszę zrobić mnóstwo rzeczy, tak więc lepiej od razu wezmę się do...

– Myślę, że istnieje różnica między religią i duchowością - mówiła dalej. - Religia to instytucja. Jej rzeczą jest unieśmiertelnić się poprzez mówienie ludziom, co mają robić. Ale duchowość to osobisty związek człowieka z Wszechmogącym.

– Chce siostra swoje ubranie? Mogę je przynieść - zaproponował.

– Sama to zrobię - oświadczyła.

Zsunęła się z ciężarówki i ręcznik, który miała na sobie, ściągnął się i podniósł ponad kolana. Indy szybko odwrócił głowę, i wciąż ją tak trzymał, gdy podeszła do niego i owinęła ręce wokół jego szyi.

– Wie pan co, doktorze Jones? - szepnęła mu do ucha. - Sądzę, że Bóg już nie chce, żebym była zakonnica. Indy'ego zamurowało.

– I wie pan co jeszcze?

– Nie - wychrypiał. - Co?

– Myślę, że udało mi się wprawić pana w zakłopotanie. - Dała mu prztyczka w ucho. - Powinien się pan wstydzić, że patrzył pan na mnie, jakbym była ozdobą talerza w restauracji. A ja powinnam się wstydzić, że mi to sprawiało przyjemność.

Chwilę później Meryn zaalarmował wszystkich wrzaskiem.

– Bandyci!

Szybkie mongolskie kuce gnały ku studni jak wiatr i Indy ledwo zdążył wciągnąć za sobą Joan pod ciężarówkę i wyciągnąć webleya, zanim pojawili się bandyci. Biedny buriacki żołnierz, którego wysłano, żeby śledził ekspedycję na koniu, był pierwszą ofiarą - lanca przeszła mu szyję.

Meryn zestrzelił jadącego na czele bandytę z siodła i ruszył za następnym, wymachując karabinem niczym kijem. Kolba uderzyła rzezimieszka w brzuch, zwalając go z konia. Kiedy upadł na ziemię, Meryn stanął nad nim z zagiętym nożem i jednym ruchem poderznął mu gardło.

Za chwilę i sam upadł, gdy kula trafiła go w ramię.

– Proszę zostać tutaj - powiedział Indy do Joan.

Rzucił się w wir walki. Bandyta przejechał między nim a Merynem. Indy chwycił wędzidło konia i skręcił je gwałtownie, sprawiając, że żelazo odcisnęło się na miękkim podniebieniu w końskim pysku. Zwierzę przewróciło się rżąc i wierzgając kopytami, przygniatając wrzeszczącego jeźdźca.

Indy dotarł do Meryna, złapał go jedną ręką za kołnierz kurtki i zaczął go ciągnąć w bezpieczne miejsce między ciężarówkami, podtrzymując ogień zaporowy za pomocą webleya. Byli już prawie na miejscu, kiedy wyjątkowo dziki bandyta na stojącym dęba czarnym kucu odciął im drogę.

Indy wycelował webleya w głowę bandyty i pociągnął za spust. Iglica z bezsilnym trzaskiem uderzyła w spłonkę.

– Nasz czas się skończył? - powiedział Indy niemal pogodnie.

Bandyta wziął muszkiet i wycelował w pierś Indy'ego. Rozległ się ogłuszający huk...i napastnik zalał się własną krwią.

Na ciężarówce Granger odciągnął zamek w swoim karabinie kalibru 7,5 i łuska wyleciała z komory magazynka. Następnie z fachową precyzją załadował nowy nabój i obrał inny cel.

Indy wciągnął Meryna pod ciężarówkę. Była tam Joan i warczący Loki.

– Jak nam idzie? - krzyknął do Grangera.

– Przegrywamy - zawołał Granger między strzałami. - Musi być ich ze trzydziestu, a nas zostało sześcioro. I wykończyli połowę naszych wielbłądów.

– Siostró, gdzie jest pani broń? - zapytał Indy, ponownie ładując webleya.

– Pod plandeką, koło mojego ubrania.

Idąc i strzelając, Indy złapał leżący na ciężarówce rewolwer w kaburze.

– Niech lepiej siostra zacznie z niego korzystać, jeśli chce siostra przeżyć - powiedział, podrzucając go jej. - Gdyby siostra tego nie zauważyła, melduję, że jest gorąco.

Joan wycelowała rewolwer w jednego z bandytów i strzeliła, ale bez skutku. Wypaliła jeszcze dwa razy i bandyta upadł.

– Dobrze - pochwalił Indy. - Tak trzymać.

Nagle w obozie zrobiło się cicho, ale było tak dużo dymu, że Indy nie wiedział, co się dzieje. Granger zeskoczył z ciężarówki i kucnął obok niego.

– Co o tym myślisz, Jones?

– Nie wiem.

– Może się wycofali.

– Nie sądzę - Indy pokręcił głową. - Mieli nas jak na widelcu. Czekać - słyszysz to?

– Mój Boże - szepnął Granger. - To ujadanie psów.

– Przygnali stado psów, żeby nas wykończyć - powiedział Indy. - Szybko, musimy się dostać do kabin ciężarówek. Zdaje się, że jest ich przynajmniej setka, a nie możemy wystrzelać wszystkich.

Bandyci przygnali psy do obozu; zwierzęta rzuciły się na ciała i zaczęły odrywać ciało od kości.

Joan schowała twarz w ramieniu Indy'ego.

– Nie mogę na to patrzeć - stwierdziła.

Następnie psy odkryły pod ciężarówką tych, którzy przeżyli. Loki skoczył między nie i wywiązała się straszliwa walka, podczas gdy Indy i Granger strzelali do najbliższych zwierząt. Psy, przyciągnięte zapachem krwi, na krótko rzuciły się na własnych rannych towarzyszy.

– Proszę strzelać dalej - powiedział do Joan.

– Jest gorzej niż źle.

Psy nadciągały teraz ze wszystkich stron, chwytając zębami dłonie i twarze i odrywając kawałki ubrania. Indy i Granger posadzili Joan między sobą i walczyli dalej.

Jeden z psów zatopił zęby w obcasie buta Meryna i zaczął wywlekać nieprzytomnego mężczyznę spod ciężarówki. Granger zastrzelił zwierzę i zaciągnął Meryna z powrotem, przy czym sam został wiele razy ugryziony w dłonie i przedramiona.

– To potworny sposób na odejście z tego świata - zauważył Granger.

Obozem wstrząsnęła salwa kilkunastu karabinów, za nią nastąpiła druga i trzecia. Psy zaczęły pierzchać, pozostawiając wiele innych na śmierć, a potem bandyci zaczęli się wycofywać zatrzymując się tylko po to, by od czasu do czasu oddać strzał do czegokolwiek, co się do nich zbliżało.

Za kilka chwil w obozie zapanował spokój, choć śmierdziało prochem, a ziemia usłana była ciałami ludzi i psów. Przez chmurę dymu, unoszącą się na wysokości łydek, Indy dojrzał dwa mongolskie buty do konnej jazdy, które kroczyły w ich kierunku.

– Psów już nie ma.

Indy i Granger wyczołgali się.

Nieznajomy był wysoki, elegancko ubrany i niósł zdobioną rusznicę w zgięciu ręki. Za pasek zatknięty miał nóż, którego srebrną rączkę wysadzono klejnotami. Trzymał lejce wspaniałego białego araba, a za nim podążało kilkunastu podobnych do niego mężczyzn.

– Jesteśmy wdzięczni - powiedział Granger.

– Nie trzeba - odparł nieznajomy. - Nie odbiorę wam życia, choć wygląda na to, że ludzie Tzi zrobili w waszym obozie niezłą jatkę. Byłoby aktem większego miłosierdzia, gdybyśmy pozwolili wam umrzeć szybko teraz, niż później, znacznie wolniej, na pustyni.

– Dzięki za danie nam wyboru - rzekł Indy.

– Zażądam czegoś w zamian za moje usługi, gdyż moi ludzie nie jeżdżą za darmo. Kilka wielbłądów, amunicja... Może dojdziemy do porozumienia, jeśli kobieta jest na sprzedaż.

Indy spojrzał w dół na Joan. Podpierała się na łokciach pod ciężarówką, opatrując ramię Meryna, a ręcznik groził zsunięciem się z górnej części jej ciała. Nagle, zdawszy sobie sprawą, że ktoś na nią patrzy, Joan podciągnęła ręcznik z powrotem.

– Ona jest moja - powiedział szybko Indy.

– Szkoda - odparł mężczyzna. - Miałem ochotę przespać się z kobietą z Zachodu, ale jeszcze nie znalazłem takiej, która byłaby gotowa się zgodzić. Jak pan myśli, dlaczego? Tu w Mongolii kobiety uważają oddanie się gościowi za honor.

- Nasz zwyczaj - powiedział Indy - tego nie przewiduje.
- Skąd u Amerykanów tyle zacołania?
- Słuchajcie, czy też jesteście bandytami? - spytał Granger.
- To brzydkie słowo - stwierdził Mongoł. - Wolimy, kiedy się nas nazywa korsarzami, piratami, najeźdźcami, partyzantami, najemnikami albo po prostu patriotami. Kradniemy, żeby móc dalej walczyć przeciwko komunistom.
- Mamy trochę pieniędzy, którymi chętnie się z wami podzielimy. - Granger wyciągnął garść monet.
- Też coś! - oburzył się mężczyzna i wytrzącił Grangerowi monety z ręki. - Tu, na pustyni, nie dbamy o pieniądze! Gdzie byśmy je wydali, co by nam to dało? Dajcie nam jedzenia, wody, paszy dla naszych koni, kobiety dla rozkoszy oraz broń i amunicję, żebyśmy mogli uśmiercić naszych wrogów. To są rzeczy, które składają się na życie mężczyzny. Nie obrażajcie nas tym śmieciem, za którym uganiacie się w miastach.
- Kim jesteś? - spytał Granger.
- Jestem Tzen-chan, potomek wielkiego Dżyngis-chana, a to moja zgraja. Żyjemy wolni albo umieramy. Zwykle nie przychodzimy z pomocą cudzoziemskim karawanom, ale ponad wszystko podziwiam odwagę. Walczyliście mężnie i posłaliście wielu z tych psubratów w zaświaty, gdzie ich miejsce.
- Chan zrobił krok do przodu i uważnie przyjrzał się twarzy Indy'ego.
- Podobasz mi się - powiedział. - Nie wiem dlaczego, ale mi się podobasz. Już się kiedyś spotkaliśmy, jestem tego pewien. W jakimś innym wcieleniu, dawno temu. Widzę po ogniu w twoich oczach, że zawsze byłeś poszukiwaczem przygód, wędrowałeś po wielu obcych lądach. Kto wie? Może wśród tysięcy imion, jakie nosiliśmy, ty byłeś Marco Polo, a ja Kubla-chanem!

– Niewykluczone - zgodził się Indy.

– Chodź do mojej jurty i przedyskutujemy walkę w szczegółach. Mój obóz jest zaraz za tymi wydymami, nie więcej niż pół kilometra. Dziś w nocy będzie zimno, a twojego rannego przyjaciela powinno się chronić przed żywiołami. I nie lękaj się, bo mam mnóstwo kóz!

– Co zrobimy z zabitymi? - zapytała Joan.

– Postąpimy zgodnie ze zwyczajem Mongołów - odparł Indy - i oddamy ich pustyni.

Potem spędził dwadzieścia minut, szukając Lokiego wśród trupów. Zastrzelił ranne psy, które napotkał; nie z zemsty, lecz z litości.

Z wyjątkiem Meryna wszyscy poganiacze wielbłądów zginęli. Podobnie jak chyba ze dwudziestu bandytów, których ciała byty porozrzucane po obozie; ludzie chana upewnili się co do tego, używając noży, aby oszczędzić amunicji.

Indy nie znalazł jednak śladu Lokiego.

Jurta chana miała kształt stożka o wysokości pięciu i pół metra. Konstrukcja opierała się na gałęziach wierzby, które pomimo solidnego wyglądu mogły być postawione lub rozebrane w niecałe pół godziny. Całość wyłożono warstwami wojłoku. Joan była zdumiona, gdy uchyliła drzwi i zobaczyła, że w środku jurta jest urządzona podobnie, jak pokoje na Zachodzie.

Znajdowały się tam jasne dywaniki i bogato rzeźbione meble, między innymi imponująca lakierowana czerwona skrzynia, na której widniał wizerunek Buddy. Na ścianach wisały kilimy. Łóżko splecione z lin było podobne do kanapy, a w rogu stał żelazny piec z kominem, wychodzącym przez dach namiotu. Na piecu stał wielki żelazny garnek z gotującymi się na wolnym ogniu cebulami i kozim mięsem.

– Dlaczego my nie mamy czegoś takiego? - spytała Joan.

– Bo jesteśmy głupkami z Zachodu - odparł Indy, wraz z Grangerem pomagając Merynowi wejść do środka. - Śpimy w tych mroźnych namiotach o cienkich ścianach, które przewrócić może nawet lekki wiaterek, a następnie gratulujemy sobie, że jesteśmy cywilizowani.

Położyli Meryna na łóżku. Indy otworzył podręczną apteczką i podczas gdy przystąpił do zmiany opatrunku i posypania rany zasypką, kobieta i młoda dziewczyna podały do stołu obfite porcje duszonego koziego mięsa. Dziewczyna o przepięknych, czarnych włosach miała około siedemnastu lat. Żadna z nich nie mówiła podczas pracy.

– Czy to coś poważnego? - spytała Joan.

– Nie - powiedział Indy. - Kula przeszła na wylot. Z czasem się zagoi, jeśli postaramy się nie dopuścić do zakażenia.

Kiedy córka chana postawiła przed nim drewnianą miskę z jedzeniem, Indy zauważył, że jej twarz była pokryta bliznami, jakby po jakiejś okropnej odmianie trądzika, z tym że wyglądało to znacznie gorzej.

– Co się stało twojej córce? - zainteresowała się Joan.

– To nie jest moja córka - odrzekł chan. - Wysłwobodziłem ją i tą kobietę z niewoli w jednej ze zgraj wodza Tzi. Obydwie byłyby sprzedane do niewolniczej pracy, gdybym ich nie znalazł. Zostają tu teraz z własnej woli i mogą odejść, jeśli zechcą.

– Proszę nam opowiedzieć o tym Tzi - powiedział Granger. - To jego oddziały nas zaatakowały, prawda?

– Oczywiście - zgodził się chan. - Nikt oprócz Tzi nie wykorzystuje dzikich psów. Jego twierdza znajduje się niedaleko stąd, trzy, może cztery dni drogi. Kiedyś, kiedy zostanie złamana potęgą Fałszywego Lamy, odwiedzę go i wykurzą stamtąd.

– Pozbywając się konkurencji? - spytał Granger. - Jest przecież twoim rywalem.

– Nie tylko. - Gdy chan mówił, jego oczy napełniały się nienawiścią. - Tzi wymordował moją rodzinę: moją żonę, trójkę pięknych dzieci. Moje księżniczki. Był zazdrosny o ich uczucie do mnie, więc zjadł ich serca.

– Dosłownie zjadł ich serca? - zapytał Granger.

– Pewnie najpierw je ugotował.

– To okropne - wzdrygnęła się Joan.

– Rozpacz doprowadzała mnie do szaleństwa i błąkałem się po pustyni wiele dni, dopóki najlepszy przyjaciel mnie nie odnalazł i przyprowadził do domu, do mojej jurty. Później, gdy Tzi odkrył, że mam jeszcze kogoś bliskiego, porwał tego człowieka. Zamęczył go na śmierć, a potem przysłał mi jego ucho jako przestrozę.

Joan znów zadrżała. - To straszne.

– Tak, dosyć - powiedział Granger, pocierając płatek swojego własnego okaleczonego ucha.

– Dlatego właśnie już nie mam nikogo bliskiego - ciągnął chan. - Ta kobieta i dziecko ze mną nie rozmawiają. Śpią wprawdzie tu, w mojej jurcie, ale ja żyję samotnie.

– Chanie - zwrócił się do niego Indy. - Jeśli przysięgłeś, że nigdy się z nikim nie zaprzyjaźnisz z obawy o narażenie życia tej drugiej osoby, to dlaczego mi powiedziałaś, że mnie lubisz?

Odpowiedź chana była nonszalancka.

– Och, i tak myślałem, że długo nie pożyjesz.

– No pięknie - skonstatował Indy.

– Chanie - spytała Joan - co się stało z twarzą tej dziewczyny?

– Ospa - odpowiedział Indy. - Miała szczęście, że przeżył.

– On ma rację - stwierdził chan. - Wielu z moich ludzi cierpiało na tę zarazę. Tych, których nie zabija, piętnuje, tak jak ją. Jednak jak się raz przez to przejdzie, choroba nigdy nie powraca.

– Mamy na to lekarstwo - oznajmił Indy. - Szczepienia. Zastrzyki. Ocaliłoby to przed chorobą tych spośród twoich ludzi, którzy jeszcze jej nie mieli. My jesteśmy zaszczepieni, więc nie boimy się ospy. Ale moglibyśmy podzielić się z wami szczepionką i pokazać wam, jak jej używać, i dać wam inne leki, które zwalczą infekcję. Uratuje to wielu ludzi.

– To dobrze - powiedział chan. - Słyszałem o takich środkach już jakiś czas temu, ale nigdy nawet nie śniłem, że przyniosą mi je pod same drzwi jurty. To by nas wzmocniło w walce z komunistami. I pomogłoby zabić Tzi, kiedy już nie będzie go chroniło zło.

Chan poklepał Indy'ego po plecach.

– Oto co zrobię. W zamian za lekarstwo, zaopatrzą waszą karawanę w żywność i wodę i dam wam eskortę do granic mojego terytorium, a to trzy dni drogi stąd. Dalej nic zrobić nie mogę, gdyż tamte ziemie są pod kontrolą Tzi i Fałszywego Lamy. Gdyby przełamać czar, mógłbym zrobić więcej, ale nie śmiem. Kule nie dorównują czarnej magii, więc muszę uzbroić się w cierpliwość, aby pomścić śmierć żony, córek i najlepszego przyjaciela.

– Życzę wiele szczęścia - powiedział Indy.

– A ja wam! - uśmiechnął się chan. - Przyjemnie było znowu mieć kogoś życzliwego, nawet jeśli na krótką chwilę. Mam nadzieję, że spotkamy się też w następnym wcieleniu, choć może ciekawiej byłoby pozostać wrogami, co? Gdybym tylko miał wroga, którego mógłbym podziwiać, umarłbym szczęśliwy.

– Nie trzeba chyba będzie długo czekać - powiedział Granger. - Może się okazać, że komuniści pasują aż nadto.

Po tygodniu i kilkunastu niewielkich przygodach, które przeżyli po opuszczeniu ich przez ludzi chana, karawana, złożona z dwóch ciężarówek i dziesięciu wielbłądów, prowadzonych przez Meryna, dotarła do podnóża

Płomiennych Urwisk. Urwiska - imponująca, gigantyczna struktura z czerwonego piaskowca - wznosiły się z pustynnego płaskowyżu jak strona z dziecięcej książki z obrazkami - lśniące barwami, dające się porównać tylko z niewiarygodnie gigantycznymi fortecami, katedrami i iglicami.

W ciągu dwóch minut od zatrzymania ciężarówek Granger odkrył pierwsze rozbite skorupy jaja dinozaura i pokazał je Indy'emu.

– Jest ich tu w bród - powiedział.

– Nie można przejść trzydziestu metrów w dowolnym kierunku, żeby się na nie natknąć. Kiedy je pierwszy raz znaleźliśmy, myśleliśmy, że to ptasie jaja - wyobraź sobie, że dziesięć lat temu nie wiedzieliśmy nawet, jak dinozaury się rozmnażają.

Indy wziął kawałek skorupy i potarł kciukiem porowatą powierzchnię. Przypominało w dotyku jajo kury, lecz było większe.

– Może dinozaury były rodzajem dużych ptaków - zasugerował.

– Musisz popracować nad swoim poczuciem humoru, Jones - zauważył Granger. - Powtarzasz się.

– Przepraszam - powiedział Indy.

– Dlaczego jest tu tyle skamieniałości? - spytała Joan. - To znaczy, znajdowano je wprawdzie wszędzie indziej na świecie - na przykład w Montanie, a nawet w Kansas, ale nic nie dałoby się porównać z tym, co znaleziono wokół tych czerwonych skał z piaskowca.

– Nikt nie wie na pewno - wyjaśnił Granger - chociaż w dużym stopniu może to mieć związek z nietkniętą przyrodą w tym zakątku świata. Wygląda najwidoczniej tak, jak wyglądała sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt milionów lat temu, podczas późnej kredy, gdy żyły ostatnie dinozaury.

– Zupełnie, jakbym cofnęła się w czasie - stwierdziła Joan.

– Proszę sobie wyobrazić, jakie cuda muszą kryć niektóre z tych urwisk - powiedział Granger. - Są tu do zbadania setki kilometrów kwadratowych,

a my ledwo musnęliśmy ten obszar podczas tych kilku ekspedycji, które tu przybywały w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Czy ktoś naprawdę wspinał się na te skały?

– Niezbyt wysoko - odparł Granger. - Są zbyt urwiste.

– Ale są takie piękne. Jak Wielki Kanion, Kamienny Las albo wierzchołek Włóczni razem wzięte.

– Meryn! - zawołał Granger. - Rozbijemy tu obóz. Przy wiąz zwierzęta, rozbij namiot-jadalnię i postaw latrynę. Sądzę, że zostaniemy tu przynajmniej ze dwa tygodnie.

– Nie mogę uwierzyć, że w końcu jesteśmy na miejscu - powiedziała Joan. - Dotarliśmy tak daleko - zupełnie jakbyśmy byli na dnie oceanu albo po ciemnej stronie Księżyca. Szkoda, że nie pozwolili nam przynajmniej zatrzymać radiostacji. Albo aparatu! Ależ bym chciała zrobić kilka zdjęć w tym miejscu!

– Potrafi siostra rysować? - spytał Indy.

– Trochę.

– Więc może powinna siostra robić szkice w tym notatniczku, który ze sobą nosi i bazgrać, kiedy inni nie patrzą. Co to jest, siostry pamiętnik?

– Mam go, odkąd byłam dzieckiem - przyznała Joan. - No dobrze, a jak będziemy szukać mojego ojca?

– Zaczniemy pukać do drzwi - powiedział Indy. - Gurbun Saikhan znajduje się zaledwie o kilka kilometrów stąd i zatrzymamy się przy każdej jurcie, jaką zobaczymy po drodze, żeby o niego zapytać.

Gurbun Saikhan był kopcem, otoczonym przez luźne skupisko jurt i zagród dla kóz. Starszyzna wioski, bezzębny mężczyzna, który palił starą, glinianą fajkę, wyszedł, aby ich powitać. Nastąpił zwyczajowy posiłek z koziego mięsa i wymiana podarunków - Indy na taką właśnie okazję pospiesznie zabrał z Nowego Jorku stos pocztówek.

Starzec dumnie postawił wizerunek Statuy Wolności obok stojącego już portretu Buddy, przypuszczając, że wielka dziewica z pochodnią w ręce jest ulubioną boginią gości.

Indy nie potrafił zrozumieć dialektu, którym mówiono w wiosce, jednak miał ze sobą małą tablicę do pisania kredą, na której nabazgrał szereg chińskich znaków, aby przekazać, o co mu chodzi: gdzie poszedł biały stary człowiek?

Na szczęście starzec nie był zupełnym analfabetą. Wziął deseczką i ostrożnie nabazgrał odpowiedź, jakby wypełniał test w szkole.

„Udał się do nieba”.

Indy i Joan spojrzeli na siebie.

Indy nie mógł sobie przypomnieć ideogramu oznaczającego samolot, więc zamiast tego rozciągnął ręce i wydał dźwięk podobny do silnika, po czym spojrział wyczekująco na starca.

– Bahai - powiedział starzec i pokręcił głową. Tyle Jones potrafił zrozumieć.

Indy narysował mnóstwo nowych znaków.

„Jak poszedł do nieba?”

„Oczywiście na nogach”.

„Poszedł w góry?”

„Tak”.

„Sam?”

„Tak”.

„Dlaczego?”

„Nie pytałem”.

Indy usiłował napisać następne pytanie.

„W którą stronę poszedł?”

„Nie wiem”.

To było wszystko, co udało im się wydobyć od starca.

Gdy gotowali się do wyjścia, Indy dostrzegł, że na ścianie namiotu wisi osobliwy rodzaj biżuterii. Był to najwyraźniej naszyjnik zrobiony z kawałka rzeźbionej skorupy jaja dinozaura na skórzanym rzemyku. Wyglądał na bardzo stary. Uwagę Indy'ego przykuła wyrzeźbiona scena, która przedstawiała mężczyznę jadącego na tryceratopsie.

Indy znowu posłużył się tabliczką.

„Ty to zrobiłeś?”

„Nie. Starożytni to zrobili. Ja tylko znalazłem”.

„Gdzie?”

„U podnóży urwiska”.

„Mógłbym to dostać?”

„Oczywiście. Znajdę inne - są wszędzie”.

– Co siostra o tym sądzi? - zapytał Indy zakonnicę, gdy wsiadali do ciężarówki. Wzięła naszyjnik i przyjrzała się rytowi.

– Zrobili to zatem wieśniacy - powiedziała.

– Nie mają prawa wiedzieć, jak wyglądały dinozaury. - A tu się wszystko zgadza.

– To po prostu skamieniałość.

– Nie rozumie siostra - tłumaczył Indy. - Dinozaury wymarły, zanim człowiek pojawił się na Ziemi. Tego wieczoru, po kolacji, Granger zbadał kawałek skorupy jaja za pomocą szkła powiększającego. Pykał z fajki, zmieniając odległość skorupy od soczewki, po czym ją odwrócił.

– No i? - spytał Indy. - Co o tym myślisz?

– Nie wiem - odparł Granger. Możliwe, że tysiące lat temu, w epoce kamiennej żył tu lud, który czcił jaja dinozaurów. Sugeruje to wiele ze znalezionych przez nas podczas pierwszych ekspedycji okazów biżuterii ze skorup i pozostałości rozmaitych mieszkań w skalnych ścianach. Ale

rzeźbienie to anachronizm; to niemożliwe według tego, co wiadomo o historii naturalnej.

– Wygląda na to, że nie wiemy wszystkiego - powiedział Indy. - A co, jeśli to nie jest anachronizm; przypuśćmy, że w epoce kamiennej czczono nie tylko skamieniałe jaja, ale także żywe dinozaury. Jeśli było jakieś miejsce na Ziemi, gdzie dinozaur miałby szansę przeżycia najdłużej - być może nawet do dwudziestego wieku - jest ono właśnie tutaj. To miejsce to naprawdę późna kreda.

– Jones - Granger potarł oczy - to naprawdę długa i dziwna podróż.

– Mówiłeś to już, mniej niż dwanaście godzin temu - przypomniał Indy.
- Kto wie, jakie cuda pozostają nie odkryte wśród tych wzgórz? Dlatego właśnie, Walterze, profesor Starbuck wspiął się na urwiska - bo ślad prowadzi tam.

W tym momencie poły namiotu się rozsunęły.

– Merynie! - ryknął Granger. - Nie przeszkadzaj nam. Nie widzisz...

Meryn nie usłyszał. Jego ciało upadło twarzą do przodu do wnętrza namiotu, z wystającym z pleców zdradzieckim nożem.

Zastępca generała Tzi, niski młody mężczyzna o twarzy poważnie naznaczonej ospą, wkroczył do namiotu z pistoletem maszynowym z magazynkiem na pięćdziesiąt naboí. Kilku żołnierzy weszło za nim i zaczęło związywać ręce obecnych za plecami.

– I co teraz? - spytała Joan.

– Nic - odparł Indy. - Przynajmniej na razie.

Indy obudził się i odkrył, że wraz z pozostałymi jest przykuty łańcuchami do muru w zimnej jaskini z piaskowca. Nie miał swojego webleya ani bicza, a także, oczywiście, filcowego kapelusza.

– Dobrze się czujesz, kolego? - spytał Granger.

– Chyba tak - powiedział Indy. - Przynajmniej nie mam żadnych złamań, co najwyżej zwichnięcia.

– Przez chwilę myślałem, że cię straciliśmy. Nadgarstki mieli zakute w kajdany w murze nad głowami, a jaskinię rozświetlała lampa łożowa, która pryskała i trzaskała, wisząc na pojedynczym łańcuchu pośrodku sklepienia. Joan wisiała między nimi z zamkniętymi oczami.

– Co z nią? - spytał Indy.

– Nie widać żadnych obrażeń - odrzekł Granger. - Jest raczej w stanie szoku psychicznego. Widziała, jak żołnierze Tzi rozpruwali brzuch jakiemuś pastuchowi i to ją całkiem rozstroiło. Zaczęła histerycznie wrzeszczeć, dopóki żołnierze nie spoliczkowali jej, żeby była cicho, po czym zamknęła oczy i od tamtej pory ich nie otworzyła. Minęło już prawie sześć godzin, jeśli moje poczucie czasu mnie nie opuściło.

– Udało ci się zobaczyć przez opaskę, którą nas prowadzili?

– Nie - powiedział Granger. - Ale musimy być blisko urwisk, bo długo się wspinaliśmy.

– Co to za loch?

– Obawiam się, że to nie loch. Sądząc po tym zakrwawionym stosie kości w rogu, przetwarzają tu chyba mięso... Aha, Jones?

– Tak, Walterze?

– Jaki jest plan?

– Przykro mi, mam pustkę w głowie.

Rozległ się szczeł klucza przekręcane go w zamku, po czym ciężkie, drewniane drzwi jaskini rozwarły się na oścież. Generał Tzi, chroniony przez swoich żołnierzy z karabinami maszynowymi wtoczył się do środka.

Tzi był groteskowo gruby, miał czarne wąsy Fu Manchu, opadające na policzki, które drżały, gdy mówił. Odziany był w wyblakły zielony mundur wojskowy z czasów Wielkiej Wojny z rządami medali, wiszących mu na

piersi. Medale pochodziły z wielu państw i zostały zabrane licznym zabitym przez niego żołnierzom. Na naramiennikach munduru przypiął sobie duże złote gwiazdy. Pod pachą niósł bicz.

Na głowie miał filcowy kapelusz Indy'ego, o kilka rozmiarów za mały, i efekt byłby komiczny, gdyby Indy nie wiedział, kto to jest Tzi.

Jeden ze strażników niósł wiadro wody i na rozkaz Tzi chlusnął wodą w twarz Joan.

– Witam - powiedział Tzi.

– Idź do diabła - warknęła Joan.

– Moja droga, to właśnie tu zmierzaliście - oświadczył Tzi. - Twierdza Fałszywego Lamy. Podążałem waszym tropem przez Mongolię, od czasu tego incydentu z Fengiem przy Wielkim Murze.

– Musisz mieć jakąś sieć komunikacyjną - domyślił się Indy.

– Fałszywy Lama widzi wszystko - odparł Tzi.

– Głupie gadanie - parsknął Granger.

– Właściwie ma pan rację. Cudzoziemcy od pokoleń dziwili się, jak szybko rozchodzą się nowiny w miejscu, gdzie nie ma linii telegraficznych ani stacji radiowych. Odpowiedź jest w gruncie rzeczy całkiem prosta. Plotka biegnie od studni do studni lotem błyskawicy, a wszyscy moi wysłannicy są nauczeni, aby słuchać każdej informacji, która może być dla mnie przydatna. Informacja to władza, trudno się z tym chyba nie zgodzić?

– Nie zgodziłbym się, nawet gdybyś powiedział, że dwa plus dwa to cztery - oświadczył Indy.

– Co za odwaga w obliczu pewnej śmierci.

Oczy Tzi zabłysły złowrogo. - Spraw mi wielką przyjemność ugotowanie i zjedzenie pana serca z dodatkiem sherry dziś wieczorem na kolację. To też władza, prawda? Skonsumować organ, będący źródłem

odwagi? Hm, jest pan profesorem, doktorze Jones? Mógłbym po prostu wygrzebać też mózg z pańskiej czaszki.

– Mam nadzieję, że dostaniesz przeze mnie niestrawności - powiedział Indy.

– Tzi - wtrącił się Granger. - Od dawna polują na grubego zwierza; moja odwaga, zaradność i odniesione sukcesy są dobrze udokumentowane. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że legendarne. Czemu nie poczęstujesz się moją padliną i nie pozwolisz pozostałym odejść?

– Jesteś starym głupcem i wyglądasz nieapetycznie - oświadczył Tzi. - Tobą nakarmią moje psy.

– Posłuchaj mnie - powiedział Granger. Jones nie potrafi nawet strzelać.

– Taaa, a co zrobię z tą tutaj? zapytał Tzi, podpierając biczem podbródek Joan i odwracając jej głowę w stronę światła pochodni. Potem wyciągnął ręką i popieścił przód jej bluzki.

Joan plunęła mu w twarz.

– To właśnie powinienem zrobić - kontynuował, wycierając ślinę. - Gdybym cię zjadł, to już by cię nie było. Nie, myślę, że zatrzymam cię na kilka dni dla rozrywki, a potem sprzedam w niewolę. Wielu mężczyzn w tych okolicach jest ciekawych kobiet z Zachodu i nie będę miał kłopotu ze znalezieniem kupca. Wasza ekspedycja okazała się dla mnie zyskownym interesem. Przyniesie mi okrągłą sumkę!

– Tzi... - Joan przybrała poważny ton.

– Tak, moja konkubinko?

– Widać, że pożądasz władzy i wiedzy ponad wszystko - ciągnęła.

– Co za spostrzegawcza kobieta.

– Jeśli się nas pozbędziesz, nigdy nie poznasz sekretu *allergorhai-horhai* - zakończyła.

– Święta bestia?

– Dokładnie.

– Legenda utrzymuje, że zjedzenie mięsa świętej kamiennej bestii czyni nieśmiertelnym - powiedział Tzi w zadumie. - Ale to tylko głupia ludowa legenda.

– To nie legenda - oświadczyła Joan. - Przybyliśmy, by znaleźć horhai i byliśmy blisko znalezienia jego kryjówki, gdy pojмали nas twoi ludzie.

Tzi swym szczekliwym głosem kazał strażnikom ją uwolnić.

Joan zarzuciła Tzi ręce na szyję.

– Wiesz, co jeszcze daje zjedzenie *horhai*? - wyszeptwała. - Nieśmiertelność.

– Chodźmy na górę i przedyskutujmy to z Czarnym Człowiekiem - zaproponował Tzi. - On będzie wiedział, jak to zinterpretować. Straż! Przygotować tych dwóch Amerykanów na wieczorny posiłek. Tylko tym razem macie uważać, żeby nie uszkodzić tkanki serca.

Strażnicy przewiesili karabiny przez plecy i zbliżyli się do Indy'ego i Grangera z nagimi nożami. Pomiędzy nimi stało wiadro z wodą, do którego mieli zamiar wrzucać najsmakowitsze kawałki.

– Tzi - przymilała się Joan.

– Tak, mój kasku?

Jeden ze strażników przejechał nożem po koszuli Indy'ego, odcinając guziki. Drugi wahający się z powodu reprimendy, którą dostał od Tzi, poprosił pierwszego o radę co do techniki.

– Potrzebujemy ich - świergotała Joan. - Mają w głowach wszystkie mapy, wskazówki i tak dalej, a jeśli ich zjesz, nie będziemy wiedzieli, gdzie szukać *horhai*, bo ja po prostu nie jestem w takich sprawach dobra. Szybko się zaczynam gubić, wiesz?

Tzi się zawahał.

Strażnik przejechał Indy'emu końcem ostrza noża po nagiej klatce piersiowej i po żebrach, pozostawiając cienką czerwoną linię, wskazującą na najlepszy sposób cięcia; po czym zachęcił drugiego, by przystąpił do dzieła.

– Uwolnić ich - powiedział Tzi.

Nacisk ostrza się zmniejszył i nóż zostawił za sobą strużką krwi wzdłuż mostku Indy'ego. Mrucząc pod nosem, strażnik wrzucił nóż do wiadra i rozkuł kajdany na nadgarstkach jeńca.

– Dzięki - uśmiechnął się Indy.

Drugi strażnik zrobił to samo z Grangerem.

– Przypomnij mi - mruknął Granger, pocierając nadgarstki - żebym, zanim stąd się wydostaniemy, zabił tyle tych kanalii, ile się da.

Strażnicy wyprowadzili ich z lochu po wznoszących się, krętych schodach, które wiodły do wielkiej sali. Po obu jej stronach znajdowały się czarne młynki modlitewne i za każdym razem, gdy mnisi w czarnych szatach z czerwonymi mankietami przechodzili obok, młynki obracały się w drugą stronę. Zamiast ceremonialnych lasek mnisi nosili ze sobą długie czarne dzidy zakończone srebrnymi ostrzami. Pośrodku sali, nad trzaskającym ogniem, znajdował się umieszczony na trójnogu ogromny kocioł. W kipiącym wywarze Indy'emu mignęły ludzkie ręce i nogi.

Na samym końcu, na wysokim tronie wyrzeźbionym w czerwonym piaskowcu, siedziała śmiertelnie wychudzona postać w czarnych szatach i w kapturze. Indy nie widział jej twarzy. Spod rąbka szaty wyglądała para staroświeckich, pożółkłych butów, zwanych crackows. Ich miękkie czubki wyglądały jak ptasie łapy.

– Może tak byśmy już zaczęli? - zaproponował Indy. - Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Przed audiencją u Czarnego Człowieka - powiedział Tzi, gdy wyszło im naprzeciw trzech mnichów z drewnianymi miskami z płynem w kolorze bursztynu - trzeba was przygotować.

– Możesz mnie zabić, ale nie wypiją tego, co jest w tym naczyniu - zaklął się Indy i zacisnął zęby.

– Bez zbytniego dramatyzmu, doktorze Jones - doradził Tzi. - Dobroć serca, jak to tutaj nazywamy, jest zarezerwowana dla tych z nas, którzy zaprzysięgli dusze Czarnemu Człowiekowi. Jest to tylko coś, co rozwiąże wam języki, abyśmy mogli dotrzeć do prawdy.

– Co to jest? - Indy powąchał miskę, którą trzymał stojący przed nim mnich.

– To mocz renifera, dostarczony przez naszych przyjaciół z pobliskiej Syberii - wyjaśnił Tzi. - Renifery żywią się pewną odmianą muchomora. Przy przechodzeniu przez nerki reniferów, jego i tak już silne właściwości halucynogenne zostają wzmocnione.

– Nie wypiję tego - oświadczył Indy.

Stojący z tyłu zastępca Tzi - ten sam, który ich pojmał w obozie - wcisnął kołek w usta Indy'ego i odchylił mu głowę do tyłu, jakby trzymał konia za lejce. Strażnicy przytrzymali Jonesa, aby się nie ruszał. Starał się przegryźć drewniany kołek, ale był on zbyt gruby. Mnich wlał zawartość miski po kołku i woniejący amoniakiem płyn wpadł Indy'emu do ust i zebrał się w gardle. Strażnicy trzymali go między sobą, a mnich położył rękę na nosie i ustach podróżnika. Indy musiał wybierać pomiędzy połknięciem płynu albo udławieniem się.

Połknął.

Zastępca się roześmiał.

– Dobra robota, Chang - pochwalił go Tzi. Wyjęto kołek.

– Nie będzie was bolało - powiedział do pozostałych Tzi. - Ale, rozstroi wasze żołądki i zapewne będziecie przez jakiś czas wymiotować. Doświadczyście jednak znacznie większego bólu, jeśli będziecie stawiać taki opór, jak doktor Jones.

Granger i Joan wypili zawartość swoich misek.

– To koszmar, prawda? - zapytała Joan. - To znaczy, śpię w swoim namiocie i mam okropny sen. W dzikie psy jestem w stanie uwierzyć. Ale uwięzienie przez kanibali i zmuszanie do spotkania z diabłem - to muszą być przywidzenia. Mam tego dość i zaraz się obudzę.

– To nie koszmar, siostró - uświadomił jej Indy.

– Do diabła - jęknęła. - Nadal więc tu jestem.

– W porządku - powiedział Tzi. Strażnicy popchnęli całą trójkę po kamiennej podłodze w stronę tronu.

– Na kolana.

– Nie - zaprotestował Indy. Strażnicy zdzielili go w okolice kolan, powodując, że jego nogi się ugięły. Granger został poddany tej samej procedurze.

– Boże, wybacz mi - powiedziała Joan, klękając.

– Bóg nie ma tu nic do rzeczy - stwierdził Tzi.

– Co teraz? - spytał Indy.

– Wpatrujcie się w twarz Fałszywego Lamy. Pozwólcie Czarnemu Człowiekowi wejść do swej duszy, poznać najskrytsze tajemnice, które chowacie przed światłem dnia. Wszyscy jesteśmy tak naprawdę źli; pochodzimy z mroku i w mrok się obrócimy. Światło to jedynie złudzenie.

Indy starał się nie patrzeć na postać siedzącą na tronie, ale odkrył, że jego oczy nieubłaganie przyciąga ciemność pod kapturem. Za kilka chwil był już zafascynowany; pustka zdawała się tak całkowita i uspokajająca, że zapomniał, dlaczego z początku walczył.

Granger i Joan też nie pamiętali.

Odnieśli wrażenie, że w pustce zbiera się gwiazdozbiór.

Kościstą ręką w czerwonej rękawiczce postać na tronie powoli zdjęła kaptur.

Zobaczywszy pukle rudych włosów rozrzucone na ramionach na tle czarnej szaty, Indy zaczął ciężko oddychać. Alecia uśmiechnęła się do niego, przenikając aż do samej jego duszy swymi niebieskimi oczami. Zapytała, kogo spodziewał się spotkać.

– Nie wiem - wyjąkał.

– Nie myślałeś, że miłość będzie cię prześladować tak długo? - spytała. - Jak prawdziwa miłość może być tak bolesna? Jak prawdziwa miłość może być tak przekłeta? Znałeś na to odpowiedź od początku. Moje imiona to Strach i Pożądanie, a nigdy nie zdołasz pogodzić ich obu.

– Nie - zaprotestował Indy.

– Te emocje rządzą światem. Pożądanie to przynęta. Śmierć to haczyk. Miłość to złudzenie, wygodna wymówka dla tych, którzy są zbyt słabi, by wziąć to, czego naprawdę chcą. Jesteś słaby i jak dotąd dostałeś dokładnie to, na co zasługujesz: nic.

– Nie jesteś Alecia.

– Oczywiście, że nią jestem - powiedziała uspokajająco. - Czy nie pamiętasz tatuażu na moich plecach? Albo poszukiwań Kamienia Filozoficznego? Czy jakiegokolwiek z tysiąca innych rzeczy, którymi się dzieliliśmy od dnia, kiedy wszedłeś do Muzeum Brytyjskiego?

– Czasem cię nienawidzę - wyznał.

– I bardzo słusznie - mruknęła. - Nienawiść jest zdrowa. To przynajmniej jakaś namiętność. Czy myślisz, że gdybyś mnie kochał, myślałbyś o tej zakonnicy? I dlaczego miałbyś mnie obdarzać innym

uczuciem? Dzieliliśmy ze sobą wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, której pożądasz najbardziej. A mogłeś dostać wszystko i tak łatwo, gdybyś tylko...

– Gdybym tylko co?

– Przestał starać się uratować świat - odrzekła. - Świat nie chce, by go ratowano. Gdyby chciał, nie byłoby Hitlera ani Mussoliniego. I wiesz co jeszcze? Świetnie zdajesz sobie sprawę, że jedna osoba nie czyni różnicy. To głupie i bezużyteczne. A powód, dla którego tak bardzo nienawidzisz tych facetów w wykrochmalonych mundurach, jest taki, że przypominają ci oni siebie samego.

Byłby z ciebie doskonały nazista.

Alecia zaczęła się śmiać.

– Potrafię odróżnić rzeczywistość od złudzenia - powiedział Indy niemal błagalnie. - Muszę je odróżnić...

Śmiech Alecii zamierał i w miarę tego twarz w kapturze z wolna się przeobrażała. Niebieskie oczy zmieniły się w złote szparki, włosy przekształciły się w łuski.

– Jestem Królem Węży - huczał głos z pyska gada. - Świadomością pochłoniętą przez czas, cyklem życia, procesem niszczenia słabych przez silnych. Życie nie ma żadnego określonego sensu. To niekończący się przewód pokarmowy...

Indy odwrócił wzrok.

– Ten sens istnieje - powiedział z trzęsącymi się kolanami. Kiedy odważył się spojrzeć znowu, okazało się, że spogląda w oczodoły szczerzącej zęby kryształowej czaszki.

– Opowiedz nam o *horhai* – ujmująco poprosiła czaszka kobiecym głosem.

– Tryceratopsy. - Indy potrząsnął głową starając się zrozumieć, dlaczego nagle mówi do czaszki.

– Dalej.

Indy wziął głęboki oddech.

– Słyszałeś? Mów dalej!

– Wyjaśnijmy sobie coś - rzekł Indy. - Jesteś wszechpotężnym i wszechwiedzącym Fałszywym Lamą, prawda? Dlaczego więc pytasz mnie o rzeczy, które już powinienes wiedzieć?

– Ty nędzniku! Jak śmiesz odpowiadać pytaniami na moje pytania!

– Granger - zawołał cicho Indy. - Jesteś tu?

– Tu i ówdzie - odparł Granger.

– Pamiętasz, o co mnie prosiłeś? Co miałem ci przypomnieć?

– Tak - powiedział.

– Nadeszła więc pora.

Indy obrócił się szybko i wyrwał dzidę zaskoczonemu mnichowi za sobą. Rzucił ją z całej siły w kierunku tronu. Srebrne ostrze przebiło się przez odzianą w szaty postać i zazgrzytało o piaskowiec za nią. Pożółkłe crackows zatańczyły taniec śmierci.

Nastąpiła chwila ogłuszającej wprost ciszy.

– Zabiłeś go - powiedział jeden ze strażników z bronią z trudem utrzymaną w osłabionych rękach. Granger rzucił się do przodu, wyrwał mu karabin i otworzył ogień. Strażnik podrygiwał jak marionetka, gdy kule przeszywały jego ciało, podczas gdy jego towarzysz rzucił swoją broń i zaczął biec.

Potem Granger ostrzelał szerokim łukiem wewnątrz wielkiej sali. Kule szczękały po kamiennych ścianach, odbijały się rykoszetem od sufitu, grały na dużym żelaznym garnku do gotowania jak na kotle w filharmonii i obracały młynki modlitewne we właściwym kierunku. Wśród tej potwornej kakofonii żołnierze i mnisi szukali schronienia.

Tzi potoczył się za nimi.

– Im brakuje piątej klepki! - wrzasnął. - Uciekajcie co sił w nogach! Filcowy kapelusz spadł mu z głowy i wylądował do góry dnem na kamiennej podłodze.

Tzi i reszta, prócz kilku żołnierzy i mnichów niemających szczęścia, zdołali znaleźć kryjówkę, gdyż Granger miał trudności z odróżnieniem prawdziwych celów od pływających elfów i wrózek, które widział wszędzie wokół.

– Cholerne skrzaty - mruknął zaciskając żaby i poprowadził ogień zaporowy.

Chochlik wylazł zza żelaznego garnka i wziął się drobnymi rączkami pod boki. - To ma być strzelanie? - zbeształ go. - Moja matka chrzestna, wróżka, potrafi strzelać lepiej, a nie żyje od czterystu lat!

– Indy! - krzyknął Granger. - Co ty u diabła wyprawiasz? Schodź tutaj i mi pomóż.

Indy wszedł na tron i siedział na kolanach Fałszywego Lamy. Ciągąc z całej siły starał się uwolnić to, co, jak myślał, jest Kryształową Czaszką. Nagle czaszka się rozplynęła i pomiędzy dłońmi Indy'ego pojawiła się zasuszona głowa starca. Puścił ją i głowa opadła na ramiona, a z kącika jej ust pociekła krew. Był to, teraz Indy widział dość wyraźnie, po prostu martwy stary mężczyzna w zabawnym ubraniu.

Indy zeskoczył i chwycił swój kapelusz, po czym podniósł karabin, porzucony przez strażnika. Zebrał też parę ręcznych granatów, wiszących przy pasku martwego żołnierza.

– Gdzie wyjście? - spytał Granger.

– Za tronem jest jakiś korytarz - odparł Indy. - Schowany za kotarą na ścianie. Musi prowadzić na zewnątrz, bo kotara cały czas się rusza od podmuchów wiatru.

– Tak, ale dokąd prowadzi?

– To najwidoczniej droga ewakuacyjna dla tak zwanego Czarnego Człowieka, gdy sprawy przybierają zły obrót. - Indy strzelił serią w grupę żołnierzy, którzy ośmielili się wyrzeć zza kolumny. - Skoro już jej nie potrzebuje, myślę, że powinniśmy z niej skorzystać.

– Jazda - powiedział Granger, popychając przed sobą Joan. - Niech siostra biegnie. To nasza jedyna szansa.

Weszła do wąskiego korytarza. Granger, któremu skończył się magazynek, rzucił swoją broń i poszedł za nią. Indy chwycił jedną z pochodni, które wciąż płonęły przy tronie, posłał ostatnią serię po wielkiej sali i dołączył do Grangera i Joan.

– Nieźle się spisałeś - docenił jego wyczyn Granger, gdy gnali korytarzem. - Przygwoździłeś tego fakira do tronu jakby był owadem, przeznaczonym do twoich zbiorów.

– Nie da się tego raczej nazwać zaplanowanym działaniem - powiedziała Joan. - Ale było skuteczne.

– Powiedz mi, Jones, co widziałeś.

– Węże i czaszki - odparł Indy. - Kobietę, którą znałem. A ty?

– Ja? - zaśmiał się Granger. - Nie widziałem niczego, oczywiście z wyjątkiem żalostnego starca.

– Jasne - powiedział Indy, biegnąc. - Dlatego bredziłeś o skrzatach. Więc to widzisz w swoich koszmarach, co? A siostra?

Potknęła się, oparła o ścianę i przycisnęła wierzch dłoni do ust. Ciężko oddychała.

~ Mam wyznać prawdę? - spytała, z trudem starając się uregulować oddech. - Zobaczyłam siebie.

I ciężko westchnęła.

7.

Płomienie urwiska

– Biegnijcie! - krzyknął Indy, wyciągając zawleczone obu granatów. Czekając oparty plecami o ścianę, z granatem w każdej dłoni. Tupot butów o podłogę kamiennego korytarza stawał się coraz głośniejszy. Gdy żołnierze byli, sądząc po odgłosach, oddaleni zaledwie o kilka metrów, Indy wychylił się za róg i rzucił granaty w ich kierunku.

Pobiegł w drugą stronę i upadł na podłogę. Za nim, po drugiej stronie korytarza, usłyszał eksplozję. Sklepienie korytarza runęło, tarasując przejście.

– Niezłe przedstawienie - ucieszył się Granger.

– Co? - spytał Indy, kręcąc głową i ciągnąc się za uszy.

Aranżer po prostu poklepał go po ramieniu.

Korytarz wyprowadził całą trójkę na pustynię, do zagrody, w której stały konie i wielbłądy Tzi. Parkowały tam też dwie ciężarówki ekspedycji. Zaskoczony strażnik popatrzył na karabin w rękach Indy'ego, przyjrzał się swojej własnej, jednostrzałowej strzelbie, po czym rzucił broń i uciekł.

– Mądra decyzja - skomentował Indy.

Niedbale traktowana przez żołnierzy ciężarówka Grangera miała kapeć zamiast opony, weszli więc do kabiny drugiej ciężarówki, tej z flagą z logo muzeum, i Indy usiadł za kierownicą.

– Byłbym zapomniał - powiedział.

Otworzył drzwi i strzelił z karabinu w chłodnicę drugiej ciężarówki.

– Hej - oburzył się Granger. - To wyposażenie ekspedycji.

– Chcesz, żeby nas dogonili i zabili za pomocą naszego sprzętu? - spytał Indy. Następnie sięgnął do stacyjki.

– Gdzie kluczyki? - jęknął.

Schylił się pod tablicą rozdzielczą i ciągnął za przypominający spaghetti pęk przewodów, dopóki nie znalazł kolorów, których potrzebował.

– Dajcie mi nóż, szczypce, cokolwiek - zażądał. Granger wręczył mu cążki do paznokci, które znalazł w schowku. Indy szybko zerwał izolacją z drutów, ale uważałby ich nie uszkodzić. Potem połączył ze sobą obnażone części miedzianego drutu.

Kiedy nadepnął na starter, silnik natychmiast ożył. Indy wrzucił bieg i wyjechał przez bramę zagrody na płaskowyż. Konie i wielbłądy rozpierzchnęły się po pustyni.

– Którędy? - spytał.

– Nie mam zielonego pojęcia - powiedział Granger - bo nie wiem, gdzie byliśmy. Jedyne punkty orientacyjne, które rozpoznaję, to tamte Płomienne Urwiska, więc proponuję, byśmy wyruszyli w ich kierunku.

Joan obejrzała się za siebie. Twierdza Fałszywego Lamy mieściła się w wielkiej bryle pustynnego piaskowca. Nikt by się nie domyślił, że ta struktura mogła być zamieszkana.

– Jak długo musiało trwać wyrzeźbienie tego wszystkiego od środka? - spytała Joan.

– Musi siostra pamiętać, że to potomkowie ludzi, którzy zbudowali Wielki Mur - wyjaśnił Indy. - Jestem pewien, że robiły to całe pokolenia i że Tzi i jego martwy przyjaciel byli po prostu ostatnimi lokatorami.

Indy popatrzył na wskaźnik paliwa, potem na podnóże urwisk. Popukał we wskaźnik palcem i przestraszył się, kiedy zobaczył, że jest bliski zera.

– Mam nadzieję, że zdołamy tam dotrzeć - powiedział. - Jedziemy praktycznie na oparach benzyny. Sięgnął pod deskę rozdzielczą i pociągnął

za linkę, otwierając przepustnicę. Odgłos silnika pędzącej przez otwartą pustynię ciężarówki przypominał teraz gardłowy ryk, jaki wydają samoloty.

Pół godziny później silnik się zakrztusił i zgasł. Indy przesunął dźwignię biegu na luz i pozwolił ciężarówce potoczyć się kilka metrów bliżej Płomiennych Urwisk, zanim prawa fizyki w końcu zatrzymały jej koła. Byli niemal pod urwiskami, wystarczająco blisko, by widzieć bajkowe iglice i wieżyczki.

– Jakiś znak za nami? - spytał Indy.

– Nie - powiedział Aranżer. - Ale będzie, i to wkrótce.

Wysiedli z samochodu, Aranżer sprawdził bukłak na przednim zderzaku. Był pusty.

Indy zdjął flagę muzeum, ostrożnie zwinął ją w rulonik w kształcie rogalika, dokładnie tak, jak go nauczono, gdy był skautem, i wsadził ją pod swoją koszulę.

– Jesteśmy w tarapatach - lamentowała Joan. - Sami pośrodku tego zapomnianego przez boga kraju, bez wody i zapasów. Co my zrobimy?

– Teraz się przejdziemy - oznajmił Indy, stawiając duże kroki w kierunku urwisk. - A siostra mogłaby się jednocześnie modlić.

Pół godziny później Aranżer się zatrzymał i wziął się pod boki. Byli niecałe czterysta metrów od podnóża urwisk. - Indy, myślisz, że wciąż odczuwamy działanie tego grzyba?

– Nie wiem - odparł Jones. - Chyba nie. Dlaczego pytasz?

– Popatrz tam - Aranżer wskazał miejsce w połowie urwisk. - Widzisz to? W skałach jest zamek, tego samego koloru co piaskowiec. - Oślonił oczy dłońmi.

– Tak - powiedział Indy.

– Myślałem, że to wytwór mojej wyobraźni, może pozostałość tego narkotyku, ale wciąż widzę ludzi ruszających się na szczytach wież i flagi

modlitewne łopoczące na wietrze. Czy jestem obłąkany? To są znowu skrzaty, co? Czy też umarliśmy tu na pustyni, a to są bramy niebios?

– Może to bramy piekieł? - zasugerowała Joan.

– Wygląda na to, że ktoś wysłuchał naszych modlitw - powiedział Indy. - Bramy się otworzyły i wysyłają na nasze spotkanie oddział. I jeśli święty Piotr albo szatan nie upodobał sobie pomarańczowych ubrań, myślę, że to procesja lamów.

Procesję prowadził wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna z falistą białą brodą. W jednej ręce trzymał laskę, a za nim powiewały szaty. Gdy obie grupy się spotkały, Granger wyciągnął ręką i szeroko się uśmiechnął.

– Doktor Starbuck, jak sądzę.

Mężczyzna ciepło uścisnął dłoń Grangerowi.

W istocie - potwierdził Starbuck.

– Nazywam się Walter Granger. A to jest...

– Indiana Jones - powiedział Starbuck. - Miło pana znowu spotkać, doktorze Jones. Mam nadzieję, że Tzi i jego kanibale nie wymordowali zbyt wielu z waszej ekspedycji.

– Zostaliśmy tylko my.

– Przykro mi to słyszeć - wyznał Starbuck. - Mam nadzieję, że nie ryzykowaliście tak bardzo tylko po to, żeby mnie znaleźć, bo zgubiłem się raczej celowo. Nie powiedziałem nawet mojej cór...

Starbuck utkwiał wzrok w Joan. Łza ciekła jej po brudnym policzku. Podszedł do niej, wziął banię z wodą od jednego z mnichów i umył jej twarz.

– Joan? - spytał. - To ty? Dziecko, nie poznałem cię. Wyglądasz dorosłej i w ogóle jakoś inaczej. Jak, u licha, zdołałaś dostać się tak daleko od domu?

Starbuck przygarnął Joan do fałd swojej szaty, podczas gdy ta płakała na jego ramieniu.

– Tatusiu, tak bardzo za tobą tęskniłam. Myślałam, że nie żyjesz. Dlaczego nie pisałeś?

– To skomplikowana sprawa, moja droga - powiedział Starbuck. - Chodźmy do klasztoru łamów i wszystko stanie się jasne.

Cała trójka podążyła za Starbuckiem po nieskazitelnie czystych i pełnych światła korytarzach. Mijani po drodze pogodni mnisi kłaniali się uprzejmie. Indy zauważył, że ich okrycia były zrobione z tej samej szorstkiej tkaniny, co strzęp, który oderwał z szaty intruza w Nowym Jorku.

– Wstąpił pan do klasztoru łamów? - spytał Granger, gdy szli. - To dlatego zniknął pan z powierzchni ziemi?

– Nigdzie nie wstąpiłem - oznajmił Starbuck. - Niemniej jednak po pewnym czasie stare ubrania po prostu się niszczą, a togi są wygodne. Tkanina jest wytwarzana i farbowana właśnie tutaj, przez braci. Poprowadził ich w górę spiralnymi schodami do jednej z wież. Na szczycie schodów zastukał w drewniane drzwi.

– To ja, Starbuck.

Mnich otworzył drzwi. Wydał się Indy'emu dziwnie znajomy, a kiedy zobaczył, że szata lamy była łatana, zrozumiał dlaczego.

Cała trójka znalazła się w ciepłym pokoju. Trzy piecyki koksowe, opalane kozim łajnem, paliły się stale. Pośrodku pokoju, na słomianym legowisku, leżały trzy jaja o rozmiarach mniej więcej piłki futbolowej. Były osobliwie zielone, miejscami podbarwione na różowo.

Indy'emu zaparło dech.

– Nie wierzę w to. - Nie mógł się nadziwić. - Czy ja śnię?

– Nie śni pan - powiedział Starbuck. - Chociaż moja pierwsza reakcja też była taka. Zajęło trochę czasu, by przekonać się, że to autentyczne jaja

dinozaura - ale to niezaprzeczalna, nawet jeśli trochę fantastyczna, prawda.

Indy zbliżył się z szacunkiem do jaj.

– Czy mogę ich dotknąć? - spytał.

– Oczywiście - wyraził zgodę Starbuck. - Ale proszę być bardzo ostrożnym.

Ze ściśniętym gardłem Indy podszedł bliżej i delikatnie położył dłoń na jednym z jaj. Skorupa była twarda jak podeszwa i ciepła. Indy miał dziwne uczucie, że przekroczył jakąś granicę i naprawdę dotyka przeszłości.

Aranżer i Joan podeszli za nim i patrzyli w zdumieniu na jaja.

– Nigdy sobie nie wyobrażałam, że będą tak piękne - stwierdziła Joan. Wewnątrz jaja coś się poruszyło i Indy gwałtownie cofnął rękę.

– Te jaja są żywe! - wykrzyknął.

– Mamy taką nadzieję - oświadczył Starbuck. - To jaja tryceratopsa. Nie jestem całkiem pewien, ile wynosi okres ciąży, ale wydaje mi się, że osiemnaście miesięcy. Znaczyłoby to, że jesteśmy bardzo blisko wylęgu, biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od śmierci matki.

– Róg - przypomniał sobie Indy. - To był róg tej samicy.

– Tak - przyznał Starbuck. - Wysłałem go Joan do gazety zanim całkowicie zdałem sobie sprawę, gdzie ta przygoda mnie zaprowadzi. Oczywiście wiedziałem, że to róg tryceratopsa i że pochodzi z żywego zwierzęcia. Niewątpliwie domyślał się pan tego samego, doktorze Jones, bo inaczej by tu pana nie było.

– Dlaczego go pan wysłał?

– Byłem tak podniecony, że chciałem, aby Joan miała swój udział w znalezisku, chociaż nie odważyłem się dołączyć pisemnego wyjaśnienia jego znaczenia. Poza tym wiedziałem, że będzie w stanie sama to wydedukować. Dopiero później zrozumiałem, że błędem było wysłać coś

tak osobliwego w świat, więc dwóch braci przywiozło go z powrotem. Przykro mi, że zrobiliśmy to zbyt późno, żeby zapobiec waszej wyprawie.

– Uważa pan, że traciliśmy czas? - spytał Granger. - Mamy żywe jaja dinozaura. Nie powiedziałbym, że zmarnowaliśmy chociażby minutę, przybywając tutaj.

Po raz pierwszy Indy wyczuł w głosie Grangera nutę zdziwienia.

– Zostaną tutaj - powiedział Starbuck. - Rozpaczliwie staramy się utrzymać je przy życiu. Ale nie wiemy, jaka jest właściwa temperatura ani jak często je przewracać, ani właściwie niczego poza tym, że trzymamy je w wilgoci. Przynieśliśmy jaja tutaj, żebyśmy mogli opiekować się nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę i żeby były zabezpieczone przed drapieżcami. Bo musicie wiedzieć, że nie ma więcej jaj tego gatunku. Nie znamy innego żywego zwierzęcia oprócz matki.

– Nie wiem, czy pozostawienie ich tutaj to dobry pomysł - zaprotestował Granger. - Muszą być przebadane. Ich miejsce jest w muzeum i powinniśmy bezzwłocznie zabrać je do Nowego Jorku. Indy'ego przeraziło oświadczenie Grangera.

Starbuck miał już zacząć się kłócić z Walterem, gdy Indy, zaniepokojony odgłosami z zewnątrz, podszedł do wąskiego okna wieży.

– Obawiam się, że jest jeszcze jeden drapieżca, którego się nie da uniknąć, i chyba przyprowadziliśmy go prosto pod pańskie drzwi - powiedział Indy. - Generał Tzi. Jest teraz tam, na płaskowyżu, i ma zamiar przystąpić do oblężenia klasztoru.

Starbuck dołączył do Indy'ego w oknie.

– Będziemy musieli zabrać stąd jaja - stwierdził Starbuck.

– Dobry Boże - zauważył Granger. - Oni tam podłączają haubicę. Tzi traktuje to poważnie.

– Ostrzegę braci - powiedział Starbuck.

– Profesorze - zatrzymał go Indy. - Jeszcze tylko jedno pytanie. Chyba usłyszałem, że wysłał pan róg do gazety Joan, ale to przecież nie może być prawda. Nie chciał pan powiedzieć, że wysłał pan róg do jej zakonu?

– Jej zakonu? Jakiego zakonu? - zapytał Starbuck, otwierając klapę w podłodze i zaczynając schodzić.

– Joan jest dziennikarką „Kansas City Star”.

– Przepraszam - bąknęła Joan. - Chciałam to powiedzieć, ale po prostu nie wiedziałam jak.

– Chyba zobaczę, czy profesor Starbuck i bracia nie potrzebują jakiejś pomocy - zaimprovizował Granger. - Wygląda na to, że macie sobie kilka rzeczy do wyjaśnienia.

I też wyszedł z wieży.

– Po co ta maskarada? - zachnął się Indy.

– Cóż, czy gdybym powiedziała panu wcześniej, że jestem dziennikarką, czy potraktowałby mnie pan poważnie? - spytała Joan. - Chciałam znaleźć swojego ojca i wiedziałam, że jest pan właściwym człowiekiem, by mi w tym pomóc, ale nie miałam środków potrzebnych do zorganizowania ekspedycji. Zorientowałam się, że muszę zdobyć na ten cel środki muzeum, więc udawałam głupią i zrobiłam tak, żeby wyglądało to na pomysł pana i Brody'ego.

Twarz Indy'ego zaczerwieniła się ze wściekłości.

– Fakt, iż wiedziała pani, że jest pani na tropie sensacji wieku - nie, tysiąclecia - też pewnie nie szkodził - warknął. - Jak mogłem być tak głupi? Ciągłe pytania o to i owo, żądania, żeby mogła pani towarzyszyć cały czas... teraz to wszystko nabiera sensu.

– To jednak mój ojciec - powiedziała Joan. - Rozpaczliwie chciałam go odnaleźć. I nie kłamałam, kiedy mówiłam, że moja rodzina wierzy, iż ludzie są z natury dobrzy. Ale moi wydawcy ze „Stara” naśmiewali się, kiedy

zapropnowałam, żeby wysłali mnie do Mongolii, więc musiałam coś wymyślić, żeby tu dotrzeć. Habit był kostiumem na Halloween, w którym poszłam na przyjęcie parę dni wcześniej, więc zdecydowałam, że go wykorzystam. Teraz widzę, że to była zła decyzja, ale wtedy miało to sens.

– To się nazywa mistyfikacja - stwierdził Indy.

– Wiem, że to, co zrobiłam, było złe - przyznała.

– I wydawało się, że sprawia to pani przyjemność - powiedział Indy. - Całkowicie wczuła się pani w rolę flądrowatej zakonnicy. Sprawiało pani przyjemność tak bardzo, że założyłam się, iż z trudem porzuciła pani ten kostium.

– Byłam samotna i przeważnie przerażona - powiedziała Joan. - Wie pan, jestem tylko człowiekiem.

– Och, jest pani czymś więcej niż człowiekiem. Czy miała pani zamiar mi powiedzieć, że nie jest zakonnica, przed czy po zaciągnięciu mnie do wyra?

Spojrzała na niego i zaśmiała się mimowolnie.

– Proszę posłuchać, doktorze Jones. Obydwoje wiemy, że pojechałby pan na tę ekspedycję niezależnie od tego, czy byłabym zakonnica, dziennikarką, czy też miała dwie głowy i fioletowe włosy. Więc co panu szkodzi?

Zdjęła mu kapelusz, oplótła rękami jego szyję i pocałowała go. Mocno.

Indy wyrwał się.

– Przepraszam - powiedział. - Nie oddaję serca tym, którzy kłamią. Poza tym kocham kogoś innego.

– Masz na myśli tę wiedźmę, która cię rzuciła?

– Powiedziałaś wiedźmę czy...

– Słyszałeś - odparła Joan. - Nie mogę uwierzyć, że brniesz w tę nieodwzajemnioną miłość po tym wszystkim, przez co musiałeś dzięki niej

przejsć, a oczywiście nie znam z tego nawet połowy. Ale z rozmów, które odbyłam z Brodym i Grangerem, mogę wnosić wystarczająco dużo, by stwierdzić, że jesteś dla tej kobiety o wiele za dobry.

– Nie rozumiesz - zaprotestował Indy.

– A co powinnam rozumieć, jeśli chodzi o Indianę Jonesa? - spytała.

– Że jestem beznadziejnym, szalonym romantykiem - powiedział. - Że dotrzymuję słowa przyjaciołom. Że nie sypiam z innymi, kiedy kogoś kochani. Że nie rezygnuję ze swoich wartości tylko dlatego, że jestem kilka tysięcy mil od domu. Że są rzeczy na tym świecie, których nauka wyjaśnić nie potrafi, a zrozumie tylko ludzkie serce. I że nigdy, przenigdy nie umówiłbym się na randkę z dziewczyną ubierającą się jak zakonnica.

Pierwszy pocisk z haubicy wybił w murze klasztoru dziurę wielkości naprawdę dużej piłki.

– Czas opuścić statek - stwierdził Indy. - Nie możemy powstrzymać armii Tzi jednym karabinem i pięcioma nabojami.

– Gdybyśmy tylko mieli więcej broni - westchnął Granger.

– Nie mamy, więc musi nam wystarczyć to, co jest - skwitował Indy.

– Nawet gdybyśmy mieli broń - powiedział Starbuck - nie uciekałbym się do zabijania. Bylibyśmy wtedy niewiele lepsi od tych zwierząt za bramami.

– Czasami lepiej być żywym zwierzęciem - zauważył Granger - niż martwym filozofem. Jeśli znajdzie pan jakąś broń, proszę mi dać znać.

– Profesorze - ostrzegł Indy. - Przykro mi, ale myślę, że Tzi rozniesie klasztor w puch. Musi pan powiedzieć braciom, żeby poszli z nami.

– Nic im nie będzie - upierał się Starbuck, podnosząc jajo dinozaura ze słomianego legowiska i wkładając je Indy'emu do torby. - Przywykli bawić się w kotka i myszkę z Tzi i jego ludźmi i rozproszą się, kiedy wyjdziemy. Ufam, że da nam to trochę czasu.

– Którędy idziemy? - spytała Joan.

– Przez wąskie przejście w urwiskach - odparł Starbuck. - Za nimi jest dolina, której nie ruszył ząb czasu. Musimy być ostrożni, bo ścieżka jest niebezpieczna. Trzeba się też upewnić, że ludzie Tzi nie pójda za nami. Bardzo żałuję, że nie ma innego miejsca, gdzie moglibyśmy się schronić, ale obawiam się, że to nasza ostatnia nadzieja - i ostatnia szansa tych trzech maluchów.

Starbuck umieścił kolejne jajo w wyłożonym słomą skórzanym tobołku i wręczył Joan, która przewiesiła go przez ramię jak damską torebkę.

– Proszę mi pozwolić - zaofiarował się Granger, gdy Starbuck włożył ostatnie jajo do torby. - Nie mam co zrobić z rękami, a pan będzie zajęty prowadzeniem. Obiecuję, że się nim dobrze zaopiekuję.

– Hej - powiedział Indy i gwizdnął na widok Grangera. - Ładna torebka.

– Lepiej się nie odzywaj - odciął się Granger. - Sam nosiłeś tę swoją torebkę po całym świecie.

– To - powiedział Indy - jest torba. A ty masz torebkę.

– No, dobrze - skwitował Starbuck, podnosząc swą łaskę. Zastukał o tylną ścianę wieży, odrywając gips, którymi zalepiono drzwi do ukrytego korytarza. Mnisi mieli załatać to przejście przed opuszczeniem klasztoru.

Starbuck niósł kilka pochodni. Zapalił jedną o najbliższy piecyk koksowy i zwrócił twarz ku grupie.

– Do ziemi obiecanej - powiedział i wszedł do korytarza.

– Wiara naprawdę jest w tej rodzinie dziedziczna - warknęła Joan, wyprzedzając Indy'ego, żeby dogonić ojca.

– Szaleństwo najwidoczniej też - mruknął Indy.

Gdy Granger wchodził jako ostatni, pocisk z haubicy uderzył w wieżę, zmiatając ją i wywracając koksiaki. Spowodował też, że odłamek sufitu

wpadł do skórzanej torby, którą niósł Granger, i strużka płynu owodniowego zaczęła znaczyć ich ślady.

8.

Szczęśliwa dolina

– Ten korytarz został zbudowany w czasach starożytnych i jest pełen pułapek! - krzyknął do tyłu Starbuck. - Jestem pewien, że nigdy niczego podobnego nie doświadczyliście.

Indy się uśmiechnął.

Droga prowadziła w głąb góry i pierwszą przeszkodą, na jaką natrafili, była wąska kamienna kładka, przerzucona nad głęboką przepaścią.

– Bądźcie ostrożni - ostrzegł Starbuck, delikatnie stawiając stopę za stopą, jak linoskoczek. - Ta otchłań nie ma dna.

– O przepaści, która jest na tyle głęboka, że nie można dostrzec dna - zauważył Granger - mówi się, że jest bezdenne. - Podniósł kamień i, kiedy był pośrodku kładki, upuścił go z wyciągniętej dłoni. Czekał. Trzydzieści sekund później nadal nie usłyszeli żadnego odgłosu.

– Zaraz - zastanowił się Indy. - Biorąc pod uwagę prawo ciężenia i przyspieszenie, ten kamień musiał upaść... - zaczął mozolnie obliczać - na głębokość prawie czterech i pół tysiąca metrów. Ja bym to nazwał bezdennością, a wy?

– Po prostu nic nie słyszeliśmy - powiedział Granger i poszedł dalej.

Mostek kończył się przy widowiskowych schodach wyciosanych w skałach, prowadzących w górę przez paręset metrów, a następnie kluczących wzdłuż brzegu wąwozu, wypełnionego płynną lawą.

– Nie sądziłem, że jesteśmy tu w pobliżu jakichś aktywnych wulkanów - odezwała się Joan.

Pot przylepił jej włosy do twarzy, a od ciężaru jaja zaczynało ją boleć ramię.

– To część skomplikowanego ekosystemu doliny, do której zdążamy - wyjaśnił Starbuck. - Ziemia i woda są tam ciepłe, opierają się nawet najbardziej surowym zimom na Gobi.

– Zupełnie jak w raju - powiedziała Joan.

– Bo to jest raj - zgodził się Starbuck. - Mam nadzieję, że tak zostanie.

Schody kończyły się nad przepaścią. Ciężka lina była przywiązana do podstawy stalagmitu, jej drugi koniec zaś ginął w ciemnościach za krawędzią. Rzeka ciekłej lawy płynęła daleko w dole.

– Teraz przed nami trudny odcinek - oznajmił Starbuck.

– Do tej pory było łatwo? - spytała Joan.

– Musimy przejść po tej linie.

Starbuck podał pochodnię Grangerowi. Potem, żeby im pokazać, jak to się robi, usiadł na skraju przepaści, chwycił linę obiema rękami i zawisł na niej. Pokołysał się przez chwilę i zaczął machać nogami, aż w końcu złapał linę stopami.

– To najlepszy sposób na przejście - powiedział. - Szybko się przeciągnąć.

– Co mam zrobić z pochodnią? - spytał Granger.

– Daj mnie. Będę ją niósł w zębach - zaofiarował się Indy.

Przyszła kolej na Joan. Powiesiła sobie torbę z jajem na szyi, po czym pewnie chwyciła linę. Złapała ją nogami i zaczęła się przesuwać.

– Race mnie bolą - jęknęła w połowie drogi.

– Dalej, siostrze - dopingował Indy.

– Krwawią.

Krew na jej dłoniach uczyniła linę niebezpiecznie śliską i tempo Joan z każdym ruchem słabło. Ale kiedy spróbowała przyspieszyć, żeby ta

przeprawa i ból już się skończyły, całkiem wypuściła linę z rąk.

Zawisała do góry nogami na kostkach, a skórzana torba kołysała się obok jej brody.

– Jajo! - krzyknął Indy. Jego słowa stłumiła trzymana w zębach pochodnia.

– Co mam robić? - wymamrotała Joan.

– Nic nie mów - nakazał Indy. Owinął rękę wokół liny i wyjął pochodnię z ust. - Wszyscy stać. Nie huścić liny. Joan, możesz dosięgnąć do jaja?

– Nie - wymamrotał. - Pasek jest zbyt długi.

– Dobra, słuchaj uważnie - powiedział Indy. - Chcę, żebyś bardzo delikatnie sięgnęła w dół i chwyciła pasek. Mocno. Masz go?

– Tak - powiedziała Joan. - Ale krew uderza mi do głowy i zaczynam mieć zawroty głowy.

– Powoli podnieś torbę.

– W porządku - powiedziała.

– Wolno!

– No przecież się staram!

– Zatrzymaj się - nakazał Indy. - Spróbuj palcami wepchnąć jajo z powrotem do torby. Jest na krawędzi, więc nie potrac go.

– Dobrze.

Opuszkami palców dotknęła twardej powierzchni jaja. Właśnie gdy jajo było już niemal bezpiecznie wepchnięte w głąb torby, lina się zatrzęsła, gdyż kilka jej włókien pękło.

Jajo wypadło. Leciąło przez kilka sekund, po czym z sykiem wpadło do rzeki lawy.

– O mój Boże! - jęknęła Joan. - Przykro mi, starałam się...

– To nie była twoja wina - powiedział Indy. - Jest nas na tej linie za dużo. Musimy dostać się na drugą stronę tak szybko jak to możliwe.

– Ależ Indy - zaprotestowała Joan. - Nie mogę dosięgnąć liny rękami. Nie mam siły. I naprawdę mam zawroty głowy i jestem okropnie zmęczona.

– Trzymaj się - dodawał jej otuchy.

Szybko przeszedł do miejsca, w którym wisiała. Znowu łapiąc pochodnię i owijając lewą rękę wokół liny, wyciągnął prawą rękę w kierunku Joan.

Pokonując własny ciężar sięgnęła w górę. Ich palce się musnęły, po czym Indy złapał jej dłoń i wciągnął ją.

Znowu kilka włókien pękło i lina powtórnie się zatrzęsła.

Joan zaczęła płakać.

– Chodźmy - powiedział Indy. - Nie martw się. To absolutnie nie była twoja wina. Mamy jeszcze całe dwa jaja.

– Mała poprawka - wtrącił Granger, zanurzając rękę w płynie, kapiącym z jego torby. - Twoje jajo jest całe, ale obawiam się, że moje zostało w jakiś sposób uszkodzone. Cholernie śmierdzi.

– Gorzej niż podczas rzucania jajami na jarmarku - powiedział Indy. - Posłuchaj, Granger. Jeśli nie wyjdę z tego cało, zrób mi przysługę i nie wygłaszaj mowy pogrzebowej. Nie chcę, żebyś brał mnie na kiel.

– Nawet o tym nie myśl.

Kiedy wszyscy dotarli na drugą stronę, Indy wyjął swój scyzoryk i odciął resztę liny. Popatrzył, jak postrzępiony koniec upada w ciemność.

– To trochę utrudni zadanie Tzi - oznajmił.

– Jeśli przyjdzie - zauważył Starbuck.

– Nie, jeśli - wtrącił Granger. - Tylko kiedy przyjdzie.

– A co zrobimy, jeżeli będziemy chcieli wrócić? - spytała Joan.

– Zmajstrujemy sobie katapultę - powiedział Indy.

– Chodźcie - ponaglił Starbuck. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Po kolejnych trzystu metrach przejście kończyło się wielką jaskinią. Ześlizgnęli się po glinianym zboczu w dół, po czym wyszli na zalaną słońcem dolinę.

Indy zmrużył oczy. Dolina pełna była sosen, szerokolistnych paproci i wielu kwitnących roślin, których nie potrafił rozpoznać. Osiemnasta czy dwudziestoletnia dziewczyna, w spódnicy ze skóry antylopy i naga od pasa w górę podeszła do Indy'ego i założyła mu na szyję wieniec niezwykłych kwiatów. Zaśmiała się i uciekła.

– Witajcie - powiedział Starbuck - w epoce kamiennej.

– To są Mieszkańcy Wydm - wyjaśnił Starbuck, kładąc pozostałe jajo dinozaura na paprociach w małej drewnianej świątyni, którą szybko dla niego przygotowano. - Albo przynajmniej są to kuzyni Mieszkańców Wydm, których biżuterię znaleźliście za Płomiennymi Urwiskami. Czczą *allergorhai-horhai*, tryceratopsa, tak jak Indianie oddawali cześć bizonowi. Był to kult, wokół którego skupiało się ich życie przez niezliczone pokolenia. Tyle tylko, że dinozaurów już nie ma, z wyjątkiem naszego jaja.

– Jak ta dolina przetrwała nietknięta przez tak długi czas? - zastanowił się Indy.

– Cóż, widziałeś, jak tu się trzeba dostać - powiedział Starbuck. - Chronią ją oczywiście Płomienne Urwiska. I ten teren jest tak odległy. Ci ludzie są odcięci od reszty świata od kilku tysiącleci. Oczywiście od czasu do czasu trafił tu zabłąkany turysta, sądząc po tym mongolskim folklorze z *horhai*, ale oczywiście można to odrzucać jako mit. Właściwie, sporadyczne pojawienie się obcego pomogło tym ludziom przeżyć dzięki uzupełnieniu kodu genetycznego.

– Ilu ich jest? - spytał Granger.

– Czterdzieści sześć osób - powiedział Starbuck. - W tym dwadzieścioro pięcioro dorosłych. Jest kilkanaścioro dzieci, a reszta to starsi ludzie.

Zarówno dziećmi, jak i ludźmi starszymi opiekuje się cała społeczność.

– Szkoda, że nie mam aparatu - powiedziała Joan. - To miejsce jest nieprawdopodobne. Czy wyobrażacie sobie, jaką sensację zrobiłoby opowiadanie z tymi zdjęciami?

– Dlatego właśnie cieszę się, że nie masz aparatu - stwierdził Starbuck. - Nic nie zniszczyłoby tych ludzi bardziej niż ich odkrycie. W ciągu kilku tygodni zaczęłyby się tu masowe lądowania i co by nam wtedy zostało?

– Ale czy nie byłiby szczęśliwsi? - spytał Granger. - Zapewne choroby zbierają tu obfite żniwo. Czy współczesny świat nie byłby dla nich wybawieniem?

– Nie - powiedział stanowczo Starbuck. - Byłby przekleństwem. Są odizolowani od tak dawna, że wolni są od chorób, na które cierpi większość współczesnych cywilizacji. Na przykład ospa. Wszyscy byliście zaszczepieni? To dobrze. Szerzyła się wśród plemion indiańskich lotem błyskawicy po inwazji.

– Inwazji? - zdziwił się Granger.

– Jestem głęboko przekonany, panie Granger, że amerykańscy Indianie byłiby w znacznie lepszym położeniu, gdyby ich kontynent nie został odkryty przez Europejczyków. Tutejsi Mieszkańcy Wydm są tacy sami. Proszę na nich spojrzeć! Śmieją się i bawią jak dzieci. Są dobrze odżywieni i wolni od większości chorób, siejących spustoszenie wśród ludzkości i mieszkają w dolinie, której klimat jest umiarkowany. Klasztor łamów strzegł tej doliny przez stulecia. Tam też nastawią złamaną kość, jeśli trzeba, czy pomogą przy trudnym porodzie, ale poza tym kontakt jest surowo zakazany.

– Niewiarygodne - rzekł Granger. - Nie wiem, czy współczuć tym ludziom, czy im zazdrościć.

– Skąd te rozterki? - zapytał Starbuck. - Ci ludzie nie muszą pracować, by przeżyć. Wszystko, czego potrzebują, jest tutaj i nigdy nie słyszeli o grzechu.

– To raj - skostatowała Joan.

– Proszę wybaczyć, profesorze - powiedział Granger. - Doceniam pańskie poglądy, ale co z odpowiedzialnością przed nauką? Czy nie jest pan samolubny, zachowując to wszystko dla siebie jako swój własny raj?

– Wierzę, że mogę najlepiej spełniać swój obowiązek, pozostając tutaj - odparł Starbuck. - Sporządziłem obszerne notatki, odkąd przybyłem tu po raz pierwszy sześć miesięcy temu, i mam zamiar tę pracę kontynuować. Ale jeśli chodzi o ich język czy sposób życia ruszyłem tylko wierzchołek góry lodowej. Nie wiem nawet, jak ich nazywać. Oni sami nazywają siebie *canobi*, co znaczy po prostu „ludzie”. Nie mają słowa czy pojęcia, które by oznaczało obcego. Nie czynią różnicy pomiędzy sobą i innymi. Dla nich wszyscy jesteśmy częścią jednego plemienia, tyle tylko że byliśmy oddaleni tak długo, iż nas nie pamiętają. Dlatego się nie boją.

– Oryginalna niewinność - stwierdziła Joan.

– Mamy do czynienia ze źródłem wszelkich kultur - wszyscy jesteśmy potomkami ludzi takich jak Mieszkańcy Wydm, jeśli nie ich samych. Rozpatrując to z punktu widzenia geologii, człowiek współczesny dopiero niedawno wyszedł z tej szczęśliwej doliny. Wyobraźcie sobie, jakim dobrodziejstwem byłoby dla nas, gdybyśmy mogli zerknąć do tych neolitycznych głów i dowiedzieć się, co nimi powoduje. Jest dużo do zrobienia, doktorze Jones, a tak mało czasu.

– Co pan ma na myśli? - zapytał Indy.

– Czas tej szczęśliwej doliny dobiega końca - odpowiedział mu Starbuck. - Reszta świata nieuchronnie ją odkryje. Gdy to się stanie, skończy się okazja, by badać jej mieszkańców w ich naturalnym

środowisku. Wtedy nie będzie to już epoka kamienna - tylko po prostu kolejny cichy zakątek - skaza na twarzy dwudziestego wieku.

– Profesorze - wtrącił Granger, badając zawartość swojej torby. - Co zrobimy z tym uszkodzonym jajem? Czy jest jakiś sposób, byśmy mogli je przechować?

– Obawiam się, że nie. - Psują się dość szybko.

– Co za strata - Granger pokręcił głową.

– Może nie - powiedział Starbuck. - Tutejsi *canobi* uważają jaja za wielki przysmak i musiałem w swoim czasie piekielnie się starać, żeby nie zrobili neolitycznych omletów z tych trzech. Myślą też, że w zjedaniu jaj dinozaura jest coś mistycznego, co daje im żywotność i zapewnia przeżycie gatunku. Skoro nie możemy nic zrobić, aby uratować to jajo, ugotujmy je i poddamy próbie ich zabobon.

– Brawo - przyklasnął Granger.

Starbuck poklepał jajo, nakrył je wielkim liściem i podniósł.

– Żywią nadzieję, że zdołam przedłużyć tym ludziom ich czas. Za kilka lat - lub dziesięcioleci, jeśli będziemy mieć szczęście - wszystko tu się skończy. Ale zanim to się stanie, pozostanę tutaj, żyjąc wśród nich i badając ich życie, a także obserwując tego malutkiego tryceratopsa, który już wkrótce się narodzi. Potem, kiedy wedrze się tu świat, wrzaskliwie domagając się historii - opowieść będzie gotowa.

– Co z Joan? - spytał Indy.

Opuściła ona rozmawiających, aby pospacerować wśród ludzi. Szczupły młody mężczyzna z czupryną czarnych włosów szedł za nią z bukietem jakiegoś zielska w dłoni.

– Będzie musiała sama się zdecydować - powiedział Starbuck. - Jedno tylko zdjęcie, jedna depesza zgubiłaby Szczęśliwą Dolinę. Ale nie jestem jej panem i władcą. Tylko ojcem.

– Jest coś, co mnie ciekawi - wtrącił Indy. - Ta dziewczyna, która nas przywitała, wydawała się niezwykle przyjaźnie nastawiona. Proszę wybaczyć, że pytam, ale jak bliskie są pana stosunki z tymi ludźmi?

– Nazywają mnie dziadkiem.

Starbuck się roześmiał. - A i ja czuję się jak ich dziadek, chociaż jestem zbyt stary, by przyswoić sobie tutejsze zwyczaje. I nikt nie mógłby zająć miejsca matki Joan, która zmarła przy porodzie.

– Posuń się, staruszk - powiedział Granger.

Było już po wieczornej uczcie z omletu jaja dinozaura i Granger rozparł się zadowolony na skale, paląc fajkę. Indy siedział obok niego. Zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć.

– To jajo było pyszne - zagaił Granger.

– Nie zjadłem nawet kawałka - oświadczył Indy. - Przypominało mi o dniu, kiedy jako dziecko dostałem na śniadanie jajko, w którym był zarodek.

Chorowałem wiele dni - wystarczyło mi tylko o tym pomyśleć. Bardzo żałuję, że nie było sposobu, w jaki moglibyśmy je zakonserwować - wiele bym dał za odrobinę formaldehydu.

– Wiesz, moglibyśmy zbić fortunę, gdybyśmy zdobyli trochę więcej tych jaj i podawali na przyjęciach tysiąc dolarów za talerz. Słynny dinozaur a la kurczak Grangera. Nieźle brzmi, co?

– Mógłbyś być choć przez chwilę poważny?

– Tylko częściowo żartowałem. - Wiesz, miejsce tego jaja naprawdę jest tam, w świecie na zewnątrz. Ma zdecydowanie zbyt wielką wartość, aby zostawić je w tej zagubionej dolinie, gdzie grozi mu zjedzenie przez mieszkańców... O co chodzi, Jones? Wyglądasz, jakbyś dostał rozkaz do wymarszu.

– W pewnym sensie - powiedział Indy. - Wróciłem do jaskini kilka minut temu i słyszałem, że psy Tzi zwęszyły nasz ślad po drugiej stronie przepaści. Starbuck myli się co do czasu, który pozostał tym ludziom. To nie jest kwestia dziesięcioleci czy lat... To kwestia godzin. A kiedy Tzi znajdzie tę dolinę, zniszczy wszystko, co się w niej znajduje.

– Więc co mamy robić? - spytał Granger.

– Ja odchodzę - oznajmił Indy. - Spróbują zwieść Tzi z tropu, wyprowadzić go daleko stąd na stepy. Zrobić wszystko, aby trzymać go z dala od tej doliny.

– Zawsze byłeś idealistą - stwierdził Granger. - Tak naprawdę miałem nadzieję zostać w tym miejscu przez pewien czas. Jesteśmy tu dopiero od paru godzin.

To miła dolina i nie miałem nawet okazji spotkać się z tymi ludźmi, nauczyć się ich imion i tak dalej. Niektórzy z nich wydają się dość inteligentni. Nie mówiąc już o tym, że są piękni.

– Nie możemy poznać tych ludzi - powiedział Indy. - Oni są cudownymi dziećmi, a my jesteśmy dużymi niezdarnymi dorosłymi. Poza tym, co dobrego zrobilibyśmy, zostając tutaj? Jak mamy walczyć, gdy Tzi w końcu przejdzie przez jaskinię ze swoimi psami i żołnierzami?

– Będziemy walczyć jak zawsze - odparł Granger. - Zdołaliśmy wyjść cało dzięki temu, że byliśmy wytrwali i mieliśmy mnóstwo szczęścia. Nigdy przecież nie wiadomo, jak to wszystko się skończy. Nie wolno się poddawać. Lepiej umrzeć stojąc niż klęcząc.

– W porządku - rozmyślał głośno Indy. - Powiedzmy, że stanie się cud i wygramy. Nauczymy tych ludzi używać włóczni i kijów i siłą wygnamy Tzi z tej doliny. I tak byśmy przegrali, bo umieliby już zabijać.

– Wkrótce i tak się tego nauczą.

– Chcę zostać - powiedział Indy. - Miałem zamiar zostać, odkąd tu przybyłem i ta dziewczyna o cudownych oczach dała mi kwiaty. Kiedy zapytałem Starbucka, czy jest z tymi ludźmi w bliskim kontakcie, nie było to spowodowane tylko ciekawością. Chciałem zaplanować tu swoje życie. Koniec z walką, z klątwami, a zwłaszcza z faszystami. Ale bym nie potrafił. Uważam, że tak nie można.

– Jones, przygotowiesz mnie o ból głowy.

– Uproszczę to dla ciebie - Indy wstał i wziął thompsona i jego magazynek z pięcioma nabojami na ramię. - Zrobię, co będę mógł. Możesz ze mną iść albo nie.

– Jasne - zgodził się Granger. - Ale są dwie sprawy. Nasza dyskusja na temat ostatniego jaja tryceratopsa jest daleka od zakończenia. Nadal myślę, że jego miejsce jest w muzeum, a jeśli się wykluje, w czymś w rodzaju zoo.

– Dobra - powiedział Indy. - Omówimy to, kiedy nadejdzie pora. A druga sprawa?

– Idę po broń - oświadczył Granger.

9.

Dziecko burzy

Indy wyjrzał zza skraju wąwozu na step, patrząc spod spuchniętych powiek. Przypatrywał się każdej nierówności, każdej skale i skarłowaciałemu drzewu, z niepokojem szukając wzrokiem jakiegoś śladu Tzi.

Przez ostatni tydzień on i Granger desperacko bawili się w chowanego z Tzi i jego żołnierzami, odciągając ich od doliny coraz dalej w stepy. W zdolnych rękach Grangera pięć pocisków w thompsonie oznaczało pięciu martwych, żołnierzy, którzy odeszli zbyt daleko od reszty armii Tzi i zapłacili za swój błąd własnym życiem. Dzięki tym nierozważnym wojakom zyskali trochę jedzenia, wody, mauzer oraz webleya, odebranego Indy'emu w czasie, który teraz zdawał się minioną epoką geologiczną.

Indy'emu zostało tylko kilka naboji do webleya - garść w kieszeni marynarki i sześć w bębenku. Mongolscy jeźdźcy należeli do najlepszych na ziemi i stanowili trudny cel dla broni ręcznej.

Sytuacja Grangera przedstawiała się jeszcze gorzej. W magazynku w mauzerze było dziesięć naboji, a jego taśma nabojowa była pusta.

– Skończyła nam się woda - oznajmił Granger. - A wczoraj zjedliśmy resztkę tego żalostnego szczurzego mięsa. Zdjął swój kapelusz safari i otarł rękawem pot z brwi.

Indy spoglądał na cienie wydłużające się pod skalistą skarpią, gdy słońce się obniżało.

– Przypuszczam, że pytanie, czy masz jakieś dobre wiadomości, byłoby przesadą.

– Co? - spytał Granger.

– Dobre wiadomości - powtórzył Indy. - Masz jakieś?

– Nasze koniki są zmęczone - powiedział Granger, z powrotem nakładając kapelusz. - Jeździliśmy na nich zbyt ostro. Staralem się ciebie ostrzec, Jones. Jak zwykle, nie chciałeś mnie słuchać.

W zapadających ciemnościach coś się ruszyło. Mogła to być antylopa... albo jeden z żołnierzy Tzi. Indy przeszukał wzrokiem to miejsce. Ponownie zauważył dziwny ruch. Teraz był już pewien, że ktoś wolno się do nich podkradał.

– Są tam i czołgają się tutaj. Niestety na razie poza zasięgiem pistoletu.

Aranżer obserwował miejsce, gdzie patrzył Indy.

– Teraz już widzę. Jeśli to jeden ze zwiadowców Tzi, najpierw wyślą po nas swoje dzikie psy. - Podniósł mauzera, trzymając pistolet za uchwyt spoconymi palcami.

– To złe miejsce, żeby po raz ostatni stawić opór.

– Masz ostatnio dość denerwujący zwyczaj mówienia o rzeczach oczywistych, Jones. Nie potrzebują pomocy profesora, by obliczyć, że dwadzieścia naboju nie wystarczy do zabicia stu dzikich psów i pięćdziesięciu mongolskich ludożerców.

Gniady kuc Indy'ego nastawił uszu i odwrócił łeb. Coś go zaniepokoiło.

– Teraz na nas idą. Indy sięgnął po webleya, zatkniętego za pasek, czując, jak podnoszą mu się włosy na karku.

– Myślisz, że najpierw wyśle na nas psy? - spytał. Mam nadzieję, że nie poszczują psów. Chciałbym strzelić do Tzi.

– Stawiaj na psy - powiedział Granger.

– Jesteś prawdziwą pociechą - stwierdził Indy.

Gniadosz parsknął jeszcze raz, schylając szyję i walcząc z postronkiem, którym był przywiązany do pnia karłowatego drzewka. W oczach obu koników czaiła się wściekłość. Poczwały nadciągające stado psów.

– Co z kucami? - spytał Indy.

– Jak to co? - odparł Granger. - Psy również je zjedzą. Najpierw rozprują im brzuchy i wywalą wnętrzności na ziemię. Potem zajmie im trochę czasu ich wykończenie.

– Puśćmy je - zaproponował Indy. Aranżer się zgodził.

Oczywiście. Chyba ich już nie potrzebujemy. A możemy zyskać trochę czasu, jeśli psy rzucą się w pogoń za kucami i zostawią nas w spokoju.

Granger opuścił mauzera i podszedł do miejsca, w którym były przywiązane konie. Odwiązał gniadosza, oplótł wodze wokół łęku, żeby się nie plątały pod kopytami, po czym uwolnił zwierzę. Kuc stanął dęba i skoczył w step, wierzgając kopytami.

Potem Walter odwiązał drugiego.

Indy rozejrzał się wokół. Równina była pusta na kilkaset metrów po obu stronach wąwozu. Znowu zwrócił uwagę na skarpe, gdzie widział ruszający się cień.

– Jak myślisz, lepiej jest tutaj - spytał Indy - czy tam na dole?

– Wolałbym zostać tutaj - odparł Granger i podniósł mauzera. Następnie schylił się po garść piasku i przesiał go przez palce. - Czy warto umierać za to, że ostatnimi siłami pomagamy się wykluć jednemu żyjącemu na świecie tryceratopsowi?

– Są gorsze rzeczy, za które się umiera - odrzekł Indy. - Poza tym, nie tylko to. Mowa też o Joan i Starbucku, i o Mieszkańcach Wydm - czy jak tam się oni sami nazywają. Czy myślisz, że Tzi ocaliłby niektórych z nich?

– Gdybyśmy zabrali to jajo ze sobą do Nowego Jorku, przypadłoby nam w udziale największe odkrycie naukowe wszechczasów - powiedział

Granger. - Wyobraź sobie, jaka by to była sensacja, gdyby się naprawdę wyklął. Zamiast tego skończę w mongolskim gulaszu.

– Wyluzuj się - doradził Indy. - Zjedzą tylko twoje serce, a ono jest tak czarne, że prawdopodobnie Tzi będzie miał przez ciebie niestrawność. Czeka, coś widzę...

Jakieś zwierzę ukryło się u podnóża tych samych skał.

– Pies - wyszeptał z rosnącą obawą. - Czy to nie ironia losu, że zwierzę, które lubię najbardziej na świecie, będzie sprawą mojej śmierci?

– Zawsze wiedziałem, że w końcu dopadnie mnie jakieś zwierzę. Mówiąc to, Granger pocierał swoje okaleczone ucho. - Pantera, słoń. Może lew. Czy nie byłby to wspaniały sposób na odejście z tego świata? Ale pies? Wśród trofeów myśliwskich, które ludzie wieszają na ścianach, nigdy nie ma psa. Z psa nie robi się nawet skromnej tasiemki przy kapeluszu.

Kolejny dziki pies podczołgał się pod skałę.

– Byłoby niezwykłym zrzędzeniem losu, gdyby ten bandyta chan teraz się pokazał. Granger zamilkł, nasłuchując. - Uwaga, nadchodzą.

– To dobrze - powiedział Indy. - Zmęczyło mnie czekanie.

Na linii horyzontu rozciągali się Mongołowie na koniach galopujący w ich kierunku, otoczeni przez stado biegnących psów. Indy nie zwracał sobie głowy liczeniem psów czy jeźdźców, ani kilkunastoma kulami, jakie mu zostały.

– Jones - odezwał się Granger.

– No?

– Nikt się nigdy nie spodziewa znaleźć w takiej sytuacji, ale cieszę się, że... Mam na myśli, że nie ma nikogo, kto... Cholera, Jones, wiesz, co chcę powiedzieć.

– Też to czuję.

Siedząc na kasztanowym ogierze generał Tzi i jego zastępca, Chang, jechali po dnie wąwozu, otoczeni z obu stron dziesiątkami mongolskich współplemieńców, niosących różnorodną broń. Większość stanowiły jednostrzałowe muszkiety, ale było kilku mężczyzn, którzy pod pachą taszczyli karabiny. Wokół nich biegły psy, skowyczące i warczące na siebie w oczekiwaniu na rozkaz rozpoczęcia posiłku.

– Koniec z nami - szepnął cicho Granger. - Jest ich zbyt wiele. Zostaliśmy otoczeni.

– Pewnie mogło być gorzej - zauważył oschle Indy.

– Jak to? - spytał Granger, badawczo wpatrując się w twarz Indy'ego.

– Mogli przynieść kosze z węzami.

Indy przyjrzał się opasłej twarzy Tzi, po czym spojrzał na wyzierające spod kaptura oczy Changa i jego zagięty orli nos, na wąsy Fu Manchu, zdobiące brodą bandyty.

– Ci dwaj są naprawdę ohydni - dodał, podnosząc lufę webleya i owijając palec wokół spustu.

– Ohydne będzie dopiero to, co mają zamiar z nami zrobić - odparł Granger. - Jeśli nadarzy mi się okazja, strzelę do wodza Tzi. Uwzględniając siłą wiatru, mógłbym pewnie go trafić. To powinno ich zatrzymać.

– Nie podjedźcie tak blisko - zapewnił Indy. - Ten grubas jest na to zbyt sprytny. Pozwoli wykonać brudną robotę swoim psom.

– Zbyt wiele psów - zauważył Granger, jak wytrawny znawca dzikich zwierząt atakujących stadami. Napadną nas ze wszystkich stron. - Indy przełknął ślinę. - Nasza broń ich nie odstraszy.

– W każdym razie nie sposób, w jaki strzelasz - zgodził się Granger.

– Przestałbyś wreszcie krytykować moje strzelanie - warknął Indy. - Może nie jest eleganckie, ale skuteczne.

– Indy, nasza sytuacja to czarna rozpacz.

– Nigdy nie będę w takiej rozpaczy. - Jeśli chcą mnie zabić, będą musieli się bardzo postarać. Przygotował pistolet.

– Padnij, Jones! - krzyknął Granger. Ale uwagę Indy'ego przykuwało samotne zwierzę daleko za jeźdźcami i ich bestiami. Trzymało nos przy ziemi. Był to pies niezwyklej wielkości, o niebieskich oczach, zachowujący się tak, jakby raczej śledził Tzi i jego ludzi, niż stanowił część stada. Z tej odległości trudno było dojrzeć, ale zdawało się, że ma tylko jedno ucho.

– Gdybym całkiem zgłupiał, przysięgłbym, że to Loki - wymamrotał Indy.

Ale nie było mu dane przyjrzeć się psu dokładniej. Mongolski wojownik zawrócił swojego kuca i pognął go bokiem wąwozu. Indy odciągnął spust webleya. Wojownik wcisnął piętę w żebra konia i zaszarżował, schylając się nisko nad szyją czarnego wierzchowca z karabinkiem w dłoniach.

– Ten głupek popełnia samobójstwo - powiedział Granger, unosząc lufę mauzera.

Nagle jeździec zniknął. Ułamek sekundy później wisiał za zadem konia zaledwie kilka centymetrów nad ziemią, z jedną stopą zaczepioną w strzemieniu, spoglądając spomiędzy pędzących kopyt; wyglądał, jakby się do nich uśmiechał.

– Co jest, do diabła? - dziwił się Granger, patrząc spode łba. Indy trochę się rozluźnił. To było widowisko, nie atak.

– Nazywa się to tańcem kozackim. Widziałem coś takiego kiedyś w południowej Rosji. Generał Tzi każe popisywać się swoim ludziom, bo chce, żebyśmy się ich bali. Domyślam się, że nie zabije nas obydwu dopóki mu nie powiemy, gdzie szukać tego jaja, więc stara się nas przestraszyć i wprowadzić w nastrój do rozmowy.

– Nie dam rady go zastrzelić, nie zabijając jego konia - powiedział Granger, zniżając lufę, gdy jeździec znowu znalazł się pod kucem. -

Dziewięćmilimetrowy pocisk nie przebije się przez tyle mięsa i kości. Straciłbym kulę.

Mongoł przegalopował obok nich i popędził na swym kucu z powrotem. Indy ponownie spojrzął w głąb wąwozu, zauważając, że psa, którego widział przed chwilą, już nie ma. Następnie zwrócił uwagę na Tzi i Changa.

– Wygląda na to, że generał Tzi jeszcze przybrał na wadze - skomentował Indy. - Nie ma to jak dieta oparta na ludzkich sercach, aby przybyło trochę tłuszczu na brzuchu głodnego namiestnika.

– Rany boskie, Jones. To fatalna pora na kiepskie dowcipy.

Wojownik dołączył do stada. Podjechał do Tzi i powiedział coś, pokazując dłońmi. Tzi skinął głową, po czym zwrócił wzrok na Indy'ego i Grangera. Przez moment siedział nieruchomo na koniu, jak odlany z brązu.

– Tym razem naprawdę ruszą - powiedział Granger. - Koniec przedstawienia.

– Zaczynają mnie drażnić te twoje jęki, Granger. Jeszcze nie jesteśmy martwi. - Indy ponownie przyjrzał się stadu psów. - Mógłbym przysiąc, iż minutę temu widziałem Lokiego, tylko że wiem, że to nie mógł być ten sam pies. Gdyby mógł, już dawno znalazłby do nas drogę.

Gdy Indy spojrzął przez ramię, zobaczył, że jeźdźcy zaczynają tworzyć wokół nich luźny okrąg. Musiał przyznać, że widok wojowników i psów, które biegły przy końskich kopytach, był straszny. Lufy broni i miecze połyskiwały w popołudniowym słońcu. Granger obficie się pocił, kiedy zobaczył, że koło się zacieśnia. Wyglądało na to, że nie ma ucieczki.

– Oto jaki pożytek ze słuchania ciebie, Jones - warknął ze złością Granger. - Gdyby za mnie nie zdecydowano, byłbym teraz w drodze do Nowego Jorku. Przyjaźń z tobą będzie mnie kosztować życie, a wszystko to przez twoje sentymenty do gadziego jaja.

Indy'ego zaszokował nagły wybuch Grangera.

Zanim zdołał odpowiedzieć, Tzi na czele swojej armii przejechał w tumanach kurzu nad brzegiem wąwozu. Sfora dzikich psów rozbiegła się, z oczami utkwionymi w dwóch mężczyznach pośrodku zawężającego się koła.

Indy i Granger oparli się o siebie plecami.

– Może te sentymenty były głupie, ale to, co Starbuck chce dać światu, zmieniłoby całą naszą wiedzę o przeszłości - powiedział Indy przez ramię. - Zignoruję jednak twój zły humor przez wzgląd na łączące nas lata przyjaźni, i przerwę tę sprzeczkę. Postaraj się zabić tyle psów, ile zdołasz. Może kilka wystrzałów sprowadzi kogoś na ratunek, zanim będzie za późno.

– To ma być plan? - burknął Granger przez ramię. - Nic wiem, czy zauważyłeś, jest na to zbyt późno. Przede wszystkim nigdy nie powinienem być cię słuchać, Jones.

Generał Tzi podniósł rękę, zamierzając dać sygnał do ataki Grangera i Indy'ego. Cisza zapadła wśród rozległego koła wojowników. Wyciągnęli krzywe miecze, odbijające promienie słońca. Większość psów przestała szczekać, jakby wiedziały, co się zaraz stanie.

– Doktorze Jones! - zawołał Tzi. - Jak się czuje człowiek, gdy wie, że zaraz zginie z rąk wielkiego wodza Tzi? - Jego głos z trudem przebijał się przez wiatr.

– Nie najgorzej! - odkrzyknął Indy. - Właśnie mówiliśmy że równie dobrze i dzisiaj można zjeść obiad ze świeżego psiego mięsa! A ostatnią kulkę zachowani dla ciebie, ty stary gruby...

– Teraz - krzyknął Tzi, uśmiechając się do Changa.

Z wąwozu wyłonił się pies; podbiegł do Tzi w dziwny sposób, utykając nieco, jak gdyby jakaś stara rana spowodowała chromanie. Indy zobaczył

psa, gdy ten zerwał się do biegu. Wokół nich było tyle tych zwierząt, że z początku żaden z żołnierzy Tzi go nie zauważył.

Generał Tzi odwrócił swoją ciężką głowę i jego świńskie oczka otworzyły się szerzej. Wskazał w kierunku biegnącego psa i krzyknął jakiś rozkaz. Chang wyciągnął miecz, ale się spóźnił. Pies szybował już w powietrzu z obnażonymi zębami.

– To Loki - szepnął Indy z niedowierzaniem, mrugając oczami, aby się upewnić, czy dobrze widzi. - To niemożliwe...

Tzi starał się uniknąć szczęk psa, podnosząc obie ręce i kręcąc głową, ale Loki wylądował na siodle obok niego. Ostre jak brzytwa kły zatopiły się w prawym policzku Tzi; nagły skok zwierzęcia zrzucił przekarmionego wodza z grzbietu kasztana. Upadł ciężko na ziemię z głuchym odgłosem i jękiem, gdy krew trysnęła z jego twarzy. Loki cofnął się warcząc, z kawałkiem ciała wiszącym z pyska.

Chang krzyknął do innych wojowników, zbliżając się do Lokiego z lśniącym mieczem i wymachując ostrzem w kierunku wilczura. Ale zapach krwi sprawił, że dzikie psy Tzi oszalały. Najpierw dwa, a potem jeszcze kilka skoczyło na niego, szarpiąc krwawiącą ranę. Wódz zaczął kopać i wrzeszczeć. Coraz więcej dzikich psów wskakiwało na gruby brzuch Tzi, aby gryźć go, a krew rozlewała się dookoła.

– Dobry Boże - wymamrotał Granger.

Wodza atakowała teraz cała sfora, chwytając zębami i skowycząc w szale jedzenia. Psy odgryzały i żuły ciało Tzi, rozrywając jego ubranie i skórę. Tzi miotał się w tę i z powrotem po ziemi, wrzeszcząc z bólu, wymachując rękami i nogami jak wiatrak. Indy zobaczył, że Loki odbiegł na pewną odległość, po czym usiadł na zadzie i patrzył, jak wodza Tzi rozrywają na kawałki jego własne psy.

Żaden z Mongołów nie przyszedł watażce na ratunek.

Chang cofnął swojego kuca, wpatrując się w ucztującą sforę psów i chowając miecz do pochwy. Dziki pies oderwał lewą stopę Tzi i odczołgał się, aby przeżuć kęs mięsa i kości. Kiedy Chang to zobaczył, krzyknął coś do swoich współplemieńców, ale z powodu zgiełku, czynionego przez tyle warczących zwierząt, Indy nie zrozumiał treści.

– Dobry Boże - przemówił znowu Granger bez tchu. Atak nastąpił tak szybko, że nie miał czasu nic powiedzieć. - To Loki zrzucił wodza Tzi z konia, prawda?

– Tak, to on - westchnął Indy, obserwując z daleka swojego ukochanego psa. - Komu potrzebne kule, skoro można polegać na wierności psa? Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek tak mnie ucieszyło pojawienie się przyjaciela.

Dziki psy nadal pożerały Tzi. Martwe ciało poruszały już tylko mimowolne szarpnięcia czy skręty, gdy pies odgryzał kawałek mięsa. Ustały też jego niesamowite, mrozące krew w żyłach wrzaski. Krew znajdowała się wszędzie: jej ciemnopurpurowe kałuże były szybko wychłęptywane przez mniejsze psy. Upstrzona cętkami suka rozpruła brzuch Tzi, szukając jego wnętrzności, zanurzając głowę pomiędzy żebra.

Coraz więcej mongolskich wojowników podjeżdżało wolno do Changa, chowając miecze do pochew, opuszczając karabiny, nie zwracając już uwagi na Grangera i Indy'ego.

– Odbywają jakąś naradę - zauważył Granger. - Musi to mieć coś wspólnego z tym, co planują z nami zrobić. - Włożył pistolet za pasek i obserwował, co się dzieje. - Sądysz, że puszczą nas wolno?

Loki przestał obserwować ucztujące psy i podbiegł w kierunku Indy'ego.

– Kurczę, jaki piękny widok - powiedział Indy półszeptem, ignorując pytanie Grangera. Miał nadzieję, że Loki zdoła do niego dotrzeć zanim Chang czy któryś inny zemści się na nim za to, co zrobił wodzowi Tzi. Indy

zauważył, że Loki utyka, dostrzegł też wszystkie stare szramy, pokrywające ciało psa i kilka nowych i oczywiście brak ucha.

Loki podszedł, merdając ogonem. Ślad krwi pozostał na górnej wardze, dopóki długi różowy język go nie zlizał.

– Myślałem, że nie żyjesz - wyznał Indy, obejmując psa za szyję i wpatrując się w tajemnicze, niemal ludzkie niebieskie oczy wilczura. Loki dał gardłowy głos, głos szczęścia.

– Jak dobrze cię widzieć - mówił dalej Indy, a Loki zaczął dyszeć. - Wyglądasz jakbyś był niemal zagłodzony... Czy nie mogłeś się zmusić do jedzenia tego, czym karmili pozostałych?

Poruszenie na końcu wąwozu przerwało powitanie Indy'ego z psem. Chang, z powodów, których Indy nie potrafił zrozumieć, zaczął odciągać swoich wojowników. Koczownicy, zaledwie kilka minut temu tworzący śmiertelne koło wokół nich, teraz trzymali kuce za lejce, wyruszając z powrotem w kierunku, z którego przybyli, zabierając ze sobą sfory psów. Odjechali w chmurze bladego kurzu z piaskowca, pozostawiając Indy'ego i Grangera samym sobie.

– No proszę, jednak nas nie zabiją wykrzyknął Granger. Niektóre z dzikich psów Tzi żuły jeszcze przez chwilę strzępy ciała, aż w końcu Mongołowie na nie gwizdnęli, kończąc ucztę. Jeden brązowy kundel niósł oderwaną zakrwawioną głowę Tzi w stronę wąwozu, dopóki cętkowana bestia nie zaatakowała wściekle jego boku, aby przechwycić zdobycz. Turlając się po zboczu wąwozu jak niekształtna piłka, pozbawiona ciała czaszka Tzi zdawała się teraz szeroko uśmiechać.

– Koczownicy nigdy nic do nas nie mieli - powiedział Indy. - To Tzi i Fałszywy Lama tak ich wrogo nastawili. Teraz, gdy obaj nie żyją, może o nas zapomną.

– Może - zgodził się Granger. - Ale myślę, że po prostu mieliśmy szczęście.

– Tak - przyznał Indy. - A nasze szczęście ma postać niebieskookiego psa.

– Przydałoby się nam trochę więcej fartu, aby odzyskać nasze konie - stwierdził Granger. - Puszczanie ich to był cholernie głupi pomysł. Musimy wrócić do doliny, Nasze jajo na nas czeka.

– To nie nasze jajo - ostrzegł Indy. - Jego miejsce jest tu, w dolinie. Jest zbyt ważne dla historii, aby dyskutować, do kogo należy.

– Zaraz, zaraz - oburzył się Granger. - Ty i ja uratowaliśmy jajo od pewnej zguby. Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. To nasze jajo i powinniśmy zabrać je do Nowego Jorku.

– Zostanie w dolinie Mieszkańców Wydm, gdzie obserwuje je ktoś, kto ma do niego więcej prawa niż my. Skończ do cholery z tym prawem własności, Granger. Nie zmienię zdania i ty to wiesz.

– Jak śmiesz!

– Miejsce jaja i tego, co znajduje się w środku, jest w tej dolinie. Kropka.

– Przypadł mi zaszczyt jego znalezienia, Jones.

– Poniekąd wszyscy je znaleźliśmy - Indy poklepał Lokiego po głowie, nie chcąc dłużej kłócić się bez sensu. Wstając, po raz ostatni rzucił okiem za Mongołami. - Zabierajmy się stąd zanim zmienię zdanie i nakarmię nami psy.

– Nie załatwiliśmy tej sprawy - powiedział Granger. Indy srogo spojrzał na przyjaciela.

– Nie, chyba nie... - odparł. - Ale możemy to zrobić gdzieś indziej... i kiedy indziej.

– Nie przekonuj mnie, Jones. Mam wszelkie prawa do tego odkrycia i ty to wiesz. Przez cały czas, odkąd cię znam, Jones, pracowałem niedostrzegany, podczas gdy ty byłeś na pierwszych stronach gazet. Teraz moja kolej na odrobinę sławy i bogactwa.

– Zamknij się - powiedział Indy. - Musimy znaleźć kuce.

Żaden z nich nie odzywał się podczas długotrwałego poszukiwania kuców, a nawet później, w czasie nużącej jazdy z powrotem do zniszczonego klasztoru w Płomiennych Urwiskach. Nie mając gdzie zostawić kuców, kiedy weszli na górę, znowu puścili je wolno.

Wędrowali niebezpiecznym przejściem w ciemnościach z taką uwagą, na jaką mogli się zdobyć, bez jedzenia i wody przez blisko dwa upalne dni i tyle samo mroźnych nocy. Indy prowadził, idąc kilka metrów przed Grangerem po stromych, wąskich występach. Loki szedł z tyłu, a jego pazury uderzały o kamienne podłoże.

W końcu dotarli w jaskini, która stanowiła wejście do bujnej doliny. Poranne słońce rozświetlało niebo ponad górującymi nad okolicą szczytami z piaskowca.

Indy zatrzymał się na chwilę, aby wczuć się w tę niesamowitą pierwotną atmosferę, kontemplował znajdującą się przed nim cywilizację epoki kamiennej: pokryte strzechami chaty, a jeszcze niżej - małą świątynię, którą wzniesiono dla jaja.

Znowu zaczął się zastanawiać, czy mądrość świętego człowieka Urgi nie przewyższa całej współczesnej wiedzy, skoro wymusił obietnicę, żeby chronić zwierzę, zwane *allergorhai-horhai*. Tu, w samym sercu Mongolii, czekały żywe odpowiedzi na zagadki, mające wiele wspólnego z zaraniem ludzkości i końcem ery dinozaurów.

Indy stwierdził, że jego uraza do Grangera mija.

– To przywodzi na myśl dom, prawda? - zapytał.

- Tak - przyznał Granger. - Masz rację.
- Gdzie oni są? - spytał Indy. - Nie widzę żywej duszy.
- Pewnie poszli do świątyni - powiedział Granger. - Patrz! Chyba zgromadzili się tam wszyscy mieszkańcy. Coś mi się wydaje, że przybyliśmy w samą porę, Jones.

Starbuck przywitał ich ciepło na zewnątrz świątyni. Uścisnął Indy'ego, ale Grangera już nie zdążył, choć myśliwy wyciągnął rękę.

- Chodźcie zobaczyć, co się dzieje! - wykrzyknął, ciągnąc za sobą Waltera. - Jajo się rusza. Co jakiś czas słyhać od środka skorupy pukanie - sądzą, że jeden z jego rogów jest gotowy, by się przebić. Wszyscy tubylcy tłoczyli się wokół świątyni, pokazując sobie nawzajem jajo i rozmawiając w podnieceniu w języku, którego ani Indy, ani Granger nawet nie usiłowali zrozumieć.

Młoda dziewczyna przypadła do ziemi i objęła Lokiego, po czym uczyniło to samo kilkoro innych dzieci.

- Gdzie Joan? - spytał Indy.
- Jak zwykle, jest przy jajku, przyjacielu. Śpi z nim i nigdy nie opuszcza świątyni. W ostatnich dwóch dniach ruch się nasilił. Może się wykluć w każdej chwili.
- Chyba nigdy nie widzieli tu psa - powiedział Indy.
- Więc jest remis - stwierdził Granger. - Ja nigdy nie widziałem tryceratopsa.

- Gdzie się podziewaliście? - spytał Starbuck. - Wszędzie was szukaliśmy. Zupełnie jakbyście się pod ziemię zapadli.

- Musieliśmy się zająć pewną niedokończoną sprawą - oznajmił Indy, ale Starbuck był zbyt podniecony, aby zapytać o szczegóły. Staruszek wziął Indy'ego za rękę i poprowadził go przez tłum mieszkańców doliny do świątyni.

Loki zostawił dzieci i poszedł za panem, szukając węchem drogi wśród plątaniny nóg i bosych stóp. Joan siedziała obok jaja z notatnikiem na kolanach. Na otwartej stronie notatnika widniał szkic jaja i świątyni.

– Stęskniłaś się za mną? - spytał Indy.

– Nawet nie wiesz jak bardzo - powiedziała i odwróciła wzrok. - Nie spodziewałam się już was zobaczyć, żywych ani martwych. Mój ojciec nie wiedział, dokąd poszliście, ale ja tak.

– Dlatego właśnie odeszliśmy bez uprzedzenia - wyjaśnił Indy.

– Myślałam, że usłyszę przynajmniej do widzenia.

– Bałem się, że mi to wyperswadujesz.

– Gdzie Tzi? - zapytała.

– Nie żyje - odparł Indy.

– Zjadły go własne dzikie psy. Gdyby nie Loki, nie uszlibyśmy z życiem. Jest mądry niemal jak człowiek. Inny pies na pewno nie wiedziałby, co zrobić, by nam pomóc.

– Niektóre zwierzęta odznaczają się dość niezwykłym rozumem. - Starbuck schylił się, by podrapać Lokiego za uchem. Cofnął rękę, kiedy Loki warknął. - Ale z drugiej strony są takie, które nie potrafią ocenić charakteru.

Indy się zaśmiał.

Joan wyciągnęła dłoń. Loki ją powąchał i pozwolił się trochę pogłaskać.

– Biedaku! Wyglądasz na głodnego i wszędzie masz świeże rany. Ale zaraz cię doprowadzimy do... Przerwało jej pukanie.

– Uwaga! - zawołał Starbuck z wielkim entuzjazmem, pokazując na jajo trzęsącym się palcem. - Słyszycie? Tryceratops jest prawie gotów, by się wykluć. Może się wydostać w każdej chwili.

Granger przepchnął się obok Indy'ego, by zbliżyć się do jaja. Delikatne, nieregularne pukanie nie ustawało.

– Żyje - oznajmił ściszym głosem. - Ten skurczybyk naprawdę żyje. Kiedy świat to zobaczy, będziemy najślawniejszymi badaczami na powierzchni ziemi.

Indy założył kapelusz.

– Nie liczymy naszych dinozaurów, zanim się wyklują - powiedział wesoło.

– Musimy ustalić pewne rzeczy - oświadczył Granger.

– Chyba nie chcesz naprawdę go stąd zabrać? - powiedział Starbuck. - Myślałem, że się ze mną zgadzasz, iż ryzyko jest zbyt duże, przecież nie można z nim jechać przez wiele setek kilometrów po pustyni, a potem do Ameryki. Mogłyby się pojawić setki przeszkód.

– On ma rację - przyznał Indy. - Poza tym, jak masz zamiar przewieźć jajo przez Urgę? Zgodziliśmy się przecież, że władze będą mogły skontrolować wszystko, co zabierzemy z pustyni. Chcesz im oddać największe odkrycie tego stulecia?

– Możemy je przemycić - powiedział Granger.

– Proszę - błagał Starbuck. - Nie można go stąd zabrać. Jest znikoma szansa, że gdzieś w tej dolinie jest jeszcze jedno żywe jajo - a może nawet jeszcze jeden żywy tryceratops. Jeśli zabierze pan jajo, ten gatunek zostanie skazany na wymarcie. A gdyby pan spróbował przemycić tryceratopsa z Mongolii, mogłoby się to skończyć jego zabiciem. Czym go pan będzie karmił? Wie pan, że tryceratops je te cudowne kwiaty z okresu późnej kredy, które tubylcy wieszali panu na szyi po przybyciu? Gdzie je pan tam znajdzie?

– Nawet gdybyśmy mieli martwy okaz, byłaby to najbardziej zadziwiająca rzecz, jaką widział świat - powiedział Granger. - Odmawiam powrotu z tej ekspedycji z pustymi rękami. Poza tym, Joan prowadziła tu pewne badania i wie, jak się nim opiekować w drodze powrotnej.

- Ja nie wracam - oznajmiła Joan.
- Co? - zdziwił się Granger.
- Zostaję tutaj - potwierdziła. - Tu jest moje miejsce.
- A co z reportażem dla gazety? - Granger nie dowierzał własnym uszom. - Nie będziesz tego nigdy chciała ujrzeć w druku?
- W końcu zostanie opublikowany. - Uśmiechnęła się. - I jestem pewna, że to będzie duży reportaż. Ale teraz nie pora na to. A świat na zewnątrz nie jest dla mnie.
- Kompletna bzdura - przekonywał Granger. - Po prostu zakochałaś się w tych przystojnych chłopakach z gołymi tyłkami z epoki kamiennej. Kiedy ci się znudzą, będziesz chciała wrócić.
- Joan potrząsnęła głową.
- Czy wy wszyscy powariowaliście? - krzyknął Granger, - Nie macie prawa podejmować we trójkę takiej decyzji, trzymając w tajemnicy przed światem wstrząsające znalezisko zoologiczne tylko dlatego, że wygodniej będzie wam je badać w ukryciu. To oburzające. Ekspedycja została zorganizowana przez muzeum. Marcus Brody ma w tym swój udział - sfinansował całość, tak jak to robił w przeszłości, więc to, co znaleźliśmy, należy do muzeum. Trzeba się porozumieć z Brodym i założę się, że wiem co będzie o tym sądził.
- Brody się zgodzi - powiedział Indy - gdy tylko wyjaśnię mu wszystko na osobności. A to pozostanie tajemnicą, Granger, dopóki profesor Starbuck nie zdecyduje, że nadeszła pora.
- Żrenice Grangera zwęziły się jak u węża.
- Starasz się pozbawić mnie uznania, na które w pełni zasługuję za doprowadzenie cię tutaj, Jones - zalił się. - Nie podoba mi się to.
- Ruszył w kierunku Indy'ego zaciskając pięści.
- Co mu się stało? - spytała Joan.

– Nie wiem - odparł Indy. - Może to skutek tego napoju grzybowego.
– Myślisz więc, że jestem obłąkany, co?
– Uspokój się, Granger - łagodził Indy. - Będziemy się starali, żeby twoje wysiłki przy prowadzeniu ekspedycji zostały docenione. Wszyscy chcemy po prostu jak najlepiej dla tego, co jest w tym jaju. Tu jest bezpieczniejsze i dobrze o tym wiesz.

Granger stał teraz bardzo blisko Indy'ego. Jego oczy świeciły gniewem.

– Nie pozwolę ci wykorzystywać naszej przyjaźni, Jones.
– Ja nie...
– Jestem odpowiedzialny za tę ekspedycję, jeśli pamiętasz, więc odsuń się i daj mi wykonać zadanie. Zniszczyłeś wszystko, czego się dotknąłeś podczas tej wyprawy. Dinozaur jedzie do Nowego Jorku i nie pozwolą ci powstrzymać mnie przed jego zabraniem.

– Nie rób tego. Nie myślisz logicznie.
– Z moim myśleniem wszystko jest w porządku. - Granger roześmiał się.
- Ale twoje jest nie do przyjęcia. Cokolwiek znajduje się wewnątrz tego jaja, wraca ze mną i koniec.

– Nie pozostawiasz mi wyboru - westchnął Indy.
– Oho! - wtrąciła Joan, starając się zmienić temat. Złapała Indy'ego w pasie, żeby nie mógł pchnąć Grangera. - Czy mi się zdaje, czy tu robi się gorąco?

– To nie żarliwość - powiedział Indy. - To głupota.
Granger skierował mięsistą pięść w stronę szczęki Indy'ego tak szybko, że Joan nie miała czasu, by się usunąć.

Indy odepchnął Joan na bok, podnosząc w górę przedramię, aby zatrzymać mocny cios Waltera. Joan upadła właśnie w chwili, gdy pięść Grangera wylądowała na mięśniu poniżej jego łokcia. Indy poczuł ostry ból, i skrzywił się robiąc krok do tyłu.

– Nie powinienes...

– Do diabła z tobą, Jones! - krzyknął Granger. Jego lewa pięść ze świstem przecięła powietrze.

Indy odskoczył w bok z szybkością kota, unikając uderzenia, a sam walnął pięścią Grangera w brzuch, w delikatne miejsce. Granger zacharzał. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę.

Indy lewym sierpowym uderzył w kość skroniową Grangera z siłą, której wystarczyłoby, żeby połamać kość. Głowa Waltera gwałtownie odskoczyła w bok, a on sam zatoczył się, mrugając wściekle, aby rozjaśnić swój przyćmiony umysł.

– Jajo! - krzyknął Starbuck, pędząc w kierunku Grangera, żeby zagrozić mu drogę.

Granger potrząsnął głową, kucnął i od razu wróciły mu zmysły. Przeskoczył przez Indy'ego, niebezpiecznie uderzając prawym sierpowym w policzek przeciwnika.

– Cholera, Aranżer! - wrzasnął Indy. - Zmuszasz mnie, żebym wbił ci do twojego pustego łba trochę rozsądku.

Pięść Grangera przeleciała o włos obok twarzy Indy'ego. Walter zachwiał się, co dało Indy'emu szansę, na jaką wcześniej nie liczył. Znowu uderzył Grangera pięścią w brzuch, nie chcąc jednak zrobić krzywdy przyjacielowi, który chwilowo stracił nad sobą panowanie.

Granger jęknął i cofnął się. Potknął się na nogach jak z wary i zatoczył się na oślep, łapiąc powietrze.

– Jajo! - krzyknął ponownie Starbuck.

Granger poślizgnął się, wpadając na znacznie mniejszego i lżejszego Starbucka. Obydwaj mężczyźni upadli na kołyskę, w której znajdowało się jajo, a potem osunęli się na podłogę.

Joan krzyknęła. W tej samej chwili Indy skoczył z wyciągniętymi rękami. Cenne jajo zakręciło się i stoczyło. Niczym na zwolnionych obrotach wpadło Indy'emu w ręce, ale jego ciężar przygwoździł mu dłonie do podłogi. Rozległ się dźwięk podobny do grzmotu podczas burzy. Indy i Starbuck jęknęli.

– Pękło! - zawył Starbuck.

Joan zatkała, jakby coś ją zabolało.

W przyćmionym świetle lampy Indy zobaczył, jak skorupa pęka w dwóch miejscach. Na jego dłonie wyciekł jakiś płyn. Kawałki skorupy spadły na podłogę. Indy trzymał teraz lepka, wijącą się kulkę szorstkiej skóry i pancerzykowatych płytek, tak ciężką, że jęknął z wysiłku.

Z kulki, którą starał się mocno trzymać w dłoniach, wyłoniło się koszarne oblicze. Patrzyły na niego ciemne, gadzie oczy. Nad nimi wystawały dwa guzy, dwa małe rogi na swoim najwcześniejszym etapie rozwoju. Pojedynczy wyrostek koloru kości słoniowej ozdabiał nos małego stworzenia.

Indy'ego natychmiast uderzyło jego podobieństwo do miniaturowego nosorożca.

Joan oddychała ciężko.

– Tryceratops i to żywy.

Stworzenie nie wydawało żadnego odgłosu. Przestało się więc w dłoniach Indy'ego, wyciągając swoją szkaradną głowę w kierunku światła karbidówki. Indy postawił je delikatnie na ziemi w grocie. Starbuck ukląkł obok.

– Żywa skamieniałość - powiedział z czcią. - To już nie marzenie.

Zwierzę poruszyło się na krótkich nóżkach, poddając je próbie.

W ciszy ponownie rozległ się jęk Grangera, który trzymał się oburącz za brzuch.

Sekundę później tryceratops wyprostował swoje tylne nogi i podniósł się niepewnie. Następnie przyszła pora na przednie kończyny. Zakołysał się lekko, dopóki nie złapał równowagi.

I nadal nie wydawał żadnych odgłosów.

– Niech będę przeklęty - szepnął Indy. - Oto ostami dinozaur na ziemi i patrzy na nas, jakbyśmy to my tutaj nie pasowali. - Wytarł o słomę lepki płyn, przylegający do jego dłoni i palców.

Granger usiadł. Indy był gotów do dalszej walki.

– Popatrz na to, Granger - powiedział, klękając. - Jak można coś takiego zabić i wypchać? To stworzenie świadczy o istnieniu czegoś znacznie większego niż ktokolwiek z nas może pojąć. Nie możemy ryzykować zrobienia czegokolwiek, co by zakłóciło osobliwą równowagę przyrody w tym miejscu. Dzięki jakiemuś niezwykłemu zrządzeniu losu ten tryceratops uniknął wymarcia właśnie tutaj. Po prostu nie można go stąd zabrać. Szansę jego przeżycia byłyby zbyt małe.

Granger z trudem stanął na nogach.

– Czy nie sądzisz, że przyroda - lub Bóg, jeśli wolisz - ma jakiś plan odnośnie tego żywego, oddychającego reliktu? Nie możemy go zabić tak, jak zabiliśmy inne stworzenia na naszej planecie. Jestem pewien, chłopie, że byłaby z niego cholernie fajna wstążka do kapelusza, ale wydaje mi się, że ma tu o wiele ważniejszą rolę.

Indy wstał ostrożnie, nie spuszczając oka z rąk Grangera.

Przez kilka sekund Granger w zamyśleniu obserwował małego dinozaura. Zwierzę po prostu stało i patrzyło, jak gapi się na niego czworo ludzi.

– Przepraszam - powiedział Granger, biorąc głęboki oddech. Otarł usta wierzchem dłoni. - Nie wiem, co mnie opętało. Byłem w stanie myśleć tylko o życiu w biedzie bez żadnej nagrody.

– Bez nagrody? - spytał Indy. - Granger, świrujesz?

– Zazwyczaj nie.

– Pomyśl o naszych wspólnych przygodach - zaapelował Indy. - Ilu innych ludzi może powiedzieć, że naprawdę zrobili coś, aby zmienić ten świat, zamiast po prostu być częścią tłumu?

– Nie da się tego ulokować w banku - żalił się Granger.

– Przyjaźń też się nie nadaje do wpłaty na rachunek oszczędnościowy - stwierdził Indy - ale nie wymieniałbym twojej przyjaźni na żadne pieniądze świata. Wiem, że nienawidzisz tych zabawnych facetów w pomarańczowych togach, ale to, co mówią o pieniądzach, ma sens.

– Przepraszam, że straciłem głowę - powtórzył Granger. Starbuck odwrócił uwagę wszystkich, dotykając dinozaura opuszką palca.

– Zgłodnieje - powiedział Granger. Następnie porozmawiał z jednym z dzieci na zewnątrz świątyni. Wkrótce przyniesiono wiklinowy kosz pełen wielobarwnych kwiatów.

Starbuck ofiarował maluchowi jeden z kwiatów.

Ten go obwąchał i wziął do paszczy, przypominającej dziób papugi, chrupiąc ze smakiem.

– Je - stwierdził podniecony Starbuck.

Odgłosy wydawane przez zwierzę zaskoczyły Indy'ego i resztą. Brzmiało to jak chrząkanie świnki. Malutki tryceratops sapał przez podłużne nozdrza przy końcu nieco pękatego nocha. Jego spiczasta warga zwróciła się w stronę palca Starbucka.

– Przywitał się z nami - zażartował Starbuck.

Joan uklękła obok ojca, wpatrując się w malucha z wyrazem całkowitego zachwyty w oczach. - Witamy w dwudziestym wieku - powiedziała cicho. - Nie wyobrażasz sobie, jak jesteśmy twoim widokiem zaskoczeni.

Indy odwrócił się do Grangera. Walter uściśnął mu dłoń.

– Naprawdę przepraszam za moje zachowanie, Indy. Jones potarł bolące kłykcie, po czym się uśmiechnął.

– Nie musisz nic mówić. Chcę tylko, żebyś mi dał słowo... że nigdy nie ujawnimy nikomu położenia tej doliny, do czasu gdy profesor Starbuck i Joan zgodzą się, że nadszedł czas, by pokazać światu nasz sekret.

– Zgoda - obiecał Granger. Uściśnęli sobie dłonie.

Później, gdy Joan trzymała na rękach śpiącego malca, Indy usiadł obok niej.

– Trudno to sobie wyobrazić - powiedziała. - Ta kulka rogów i skóry osiągnie w końcu długość dziewięciu metrów i wagę ośmiu ton. Prawdziwy potwór.

– Proszę, proszę - uśmiechnął się szeroko Indy. - Wydaje się siostra prawie szczęśliwa.

– Jestem - przyznała. - Po raz pierwszy w życiu myślę o kimś oprócz siebie. Potrzebuje mnie mój ojciec, a także ten mały jaszczur. Dwa na trzy to nieźle.

– Co to znaczy?

– Miałam nadzieję, że dołączysz do tej szczęśliwej trójcy.

Indy milczał.

Położyła mu rękę na ramieniu, po czym ostrożnie, by nie obudzić śpiącego dinozaura, wychyliła się i pocałowała go tak namiętnie, jak tylko mogła w tej niewygodnej pozycji. Indy zamknął oczy, czując, że świat się oddala.

– Zostań ze mną - zaczęła go namawiać.

– To kusząca propozycja - powiedział Indy.

– Więc dlaczego nie? - spytała. - Nigdy nie znajdziesz rajy takiego jak ten. Gdzie nie ma wojen, przestępstw, gdzie nie trzeba się martwić o

pieniądze. Wszystko, na co mógłbyś mieć nadzieję, a nawet więcej - jest tutaj.

– Tak - zgodził się Indy. - To jest raj. I myślę, że z czasem mógłbym wybaczyć ci to, że okłamałaś mnie, Brody'ego i Grangera jak ostatnia szmata.

– Zostań - nalegała.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– To zbyt łatwe - oświadczył Indy. - Chcę zapomnieć o całej nienawiści i frustracji tego świata. Ale to by było aż za cholernie wygodne. To nie jest najlepsze wyjście.

– Co jest złego w dobrym samopoczuciu? - spytała Joan.

– Nic, jeśli tam właśnie prowadzi cię przeznaczenie - powiedział. - Ale to nie dla mnie. Coś we mnie mówi mi, że mam tam na zewnątrz jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

– I nadal kochasz...

– Ale cię - dopowiedział Indy. Joan odwróciła wzrok.

– Ale wrócę do świata wiedząc, że jesteś dobrą osobą, za jaką cię miałem, gdy spotkałem cię po raz pierwszy - dodał. - Na przekór wszystkiemu, co się zdarzyło w ciągu tej wyprawy, na przekór kanibalom i łupieżcom, przywróciłaś mi wiarę w człowieczeństwo. To właśnie ze sobą zabieram. I świadomość, że ty i twój ojciec jesteście tutaj, opiekując się przeszłością dla przyszłości.

– Będę za tobą tęsknić - szepnęła.

– Ja też będę za tobą tęsknić - powiedział. - Ale nadal prowadź notatki. Napisz tę książkę. Jesteś to winna światu. To twoje przeznaczenie.

10.

Nóż Dżyngis-chana

Gorący i suchy pustynny wiatr owiewał spaloną słońcem skórę Indy'ego. Jego filcowy kapelusz był mokry od potu, a do wilgotnej szyi i ramion przylepiły mu się ziarenka piasku. Loki szedł z tyłu, pozostając w cieniu pana, by choć trochę uniknąć piekącego słońca.

Granger maszerował obok nich z mauzerem przerzuconym przez plecy.

Daleko na południu czerwieniło się pasmo wysokich gór. Nad stepami unosiła się lekka mgła, którą przesuwwały wiatry wiejące poprzez otwarte równiny. Tu i ówdzie wyrastało na horyzoncie kilka karłowatych drzew, ofiarujących zmęczonym podróżnym skąpy cień. Indy zdawał sobie sprawę, że zarówno on, jak i Granger, a zapewne również pies, byli zbyt zmęczeni, aby iść dalej. Wprawdzie zanim wyruszyli z ukrytej wśród urwisk doliny, wzięli ze sobą toboły wypełnione jedzeniem i wodą, ale, pomimo ich ogromnych starań, aby każdemu wydzielać ściśle racje, zapasy były na wyczerpaniu.

– Zatrzymaj się - powiedział Granger.

– Co jest? - spytał zmęczonym głosem Indy.

– Tam w oddali, popatrz - wskazał Granger. - Na tym szczycie na południu. To około czterystu metrów stąd, ale chyba widziałem antylopę.

Indy skinął głową.

– Postaram się ją upolować - oznajmił Granger. - Warto zaryzykować. Potrzebujemy mięsa, a i krew moglibyśmy wypić. Indy się skrzywił.

– Zostań tutaj - powiedział Granger. - Z tobą i z psem na karku nie podejść na odległość strzału. Może odpoczniesz sobie w cieniu tamtej skałki? I nie ruszaj się stamtąd, bo będę musiał cię znaleźć, kiedy wrócę.

– Nie ma sprawy - zgodził się Indy. - Odpocznę.

Indy z trudem podszedł do kamienia i usiadł, opierając plecy o zacienioną stronę. Loki poszedł w jego ślady. Położył głowę na udzie Indy'ego i zaczął się łąsić.

– Co jest, staruszkule? - spytał Indy psa. - Jesteś spragniony? Ja też.

Pies dyszał radośnie.

Czekali w cieniu skały już przez ponad godzinę, kiedy nagle Loki warknął.

– O co chodzi?

Pies spojrzał na Indy'ego zaniepokojonymi oczami, jak gdyby rozumiał. Warknął ponownie, a sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

Indy był pewien, że znowu byli na obszarze, będącym pod kontrolą Tzen—chana, więc dlaczego Loki się niepokoił? Czy też może pamięć Grangera zawiodła i wyprowadził ich jednak na tereny rządzone przez jakiegoś innego wodza?

Loki nadal warczał.

Nastawił ucha i zastrzygł w kierunku wydmy, znajdującej się kilkaset metrów dalej. Indy zaufał czułym zmysłom psa.

– Coś jest za tą wydumą - powiedział do siebie. Wstał, wyjął rewolwer i zaczął ostrożnie posuwać się naprzód.

Kiedy zbliżyli się na odległość piętnastu metrów od grzbietu wydmy, Loki przystanął. Zaskomlał cicho i spojrzał na Indy'ego oczami, które wydawały się błagać, żeby wrócili.

– Dalej, Loki. Cokolwiek jest po drugiej stronie, nie może być aż tak straszne. Tzi nie żyje, więc może to być tylko...

Loki zaczął wściekle ujadać, kiedy odległa sylwetka przybrała postać człowieka, wjeżdżającego na niespokojnym cisawym koniu na wydnię. Barczysty Mongoł zatrzymał na piaszczystym wzgórzu.

– To ogier generała Tzi - szepnął Indy. - Tyle tylko, że Tzi nie żyje. Ten tutaj wygląda jak jego zastępca. W każdym razie jest tak szkaradny, że mógłby nim być.

Indy wiedział, że Chang nie podążał za nimi z powodów towarzyskich.

Wyzwanie, walka - oto czego mógł chcieć. Indy zastanawiał się, po co Chang miałby czekać na kolejną okazję, skoro on i jego żołnierze mogli ich zabić w wąwozie.

Mam nadzieję, że przyjechał sam, pomyślał Indy.

Zrobił kilka energicznych kroków do przodu, gdyż doszedł do wniosku, że jakakolwiek oznaka tchórzostwa przyniosłaby śmierć. Loki, nie chcąc opuszczać pana, szedł obok, powarkując i strzygąc uszami. Im bliżej Indy podchodził do jeźdźca, tym był pewniejszy, że to Chang.

Mongoł miał karabinek, który oparł sobie o jedno kolano. Mocno trzymając wodze patrzył, jak Indy się zbliża. Nie drgnął mu ani jeden mięsień.

Indy był już w zasięgu strzału, ale Chang nadal siedział na koniu jak zakłęty.

– O co mu u diabła chodzi? - spytał Indy Lokiego.

Gdy się zbliżyli, Loki zaczął warczeć głośniejszy, tak jak to robią psy, gdy zbliża się niebezpieczeństwo. Indy szedł na zmianę po piaskowcu, gdzie podłoże było twarde, i po sypkim piasku.

Zatrzymał się na grzbiecie wydmy, uważnie obserwując Changa, gotowy na każdy nagły ruch tamtego, aby chwycić karabin. Chang pozostawał nieruchomy, podczas gdy porywy wiatru wywiewały piasek spod

niespokojnych kopyt jego konia. Indy rzucił wokół pospieszne spojrzenie, upewniając się, czy byli sami.

– Jones! - krzyknął Chang. - Gdzie ty schować duże jaja? Loki warknął na dźwięk głosu Changa.

– Nie mamy ich.

– Ty mi powiedz, gdzie być jaja albo ty umrzeć - zagroził Chang z nieprzeniknioną maską zamiast twarzy. - Jeden mnich powiedz generał o jaja zanim on umrzeć. Jaja *allergorhai-horhai*.

– Byliśmy głodni - powiedział Indy - więc je zjedliśmy.

Czy żołnierze chowali się za wydumą? Kiedy Tzi rozstał się życiem, Chang zapewne został przywódcą armii. A może jednak prowadził ten prehistoryczny jajeczny interes sam, żeby nie trzeba było dzielić zysków pomiędzy krewnych?

– Nie zabawne - stwierdził Chang.

– Nie żartuję - odrzekł Indy.

Powoli nasilający się wiatr z zachodu zaczął przemieszczać przez równinę większe chmury piasku. Gruba warstwa piachu znajdująca się pomiędzy nimi mogłaby utrudnić Changowi celowanie akurat na tyle, że mógłby spudłować.

– Ja zabić, jeśli ty nie mówić!

– Mówię. Jaja się stłukły. To był wypadek, więc zjedliśmy to, co było w środku. Smakowało okropnie. Ciągnęło się jak guma. Jak zepsuty kurczak.

Spokój Changa nagle zniknął. Podjechał stępą na koniu, zbliżając się nieco do Indy "ego.

– Ty mi powiedz, Jones, albo ja wyciąć twoje serce!

Wiatr dmuchnął nad wydumą, podrywając wirujące chmury piasku w powietrze i nieomal zwiewając kapelusz Indy'ego, dopóki ten nie nachylił głowy pod wiatr.

– Niektórzy ludzie mówią, że nie mam serca - powiedział. - W Anglii jest kobieta, która twierdzi, że moje serce jest z kamienia.

Chang pognął kasztana po piaszczystym zboczu, ale szybko otoczyły go piaszczyste, białawe chmury. Wiatr ryczał, przetaczając się jak szalony po wierzchołkach pobliskich wydm, gwizdząc przez szczeliny w skałach i wzbijając drobinki ziemi i ziarnka piasku.

Teraz! - pomyślał Indy, gdy kasztan zbliżył się nieco, walcząc z burzą piaskową. Indy rzucił się do przodu, chwycił lufę karabinka Changa i ściągnął go z siodła. Stopa Changa zaczepiła o strzemię.

Koń ruszył po wydmię, wlokąc ich obu. Indy nie chciał puścić karabinu, bojąc się, iż Chang spełniłby swoją obietnicę, że go zabije.

Kasztan pogalopował niezgrabnie przez ruchome, piaszczyste zwały. Ławice nawiewanego przez wiatr piasku uderzały Indy'ego w twarz i szczypały w oczy, podczas gdy on zmagał się z karabinkiem. Chang pociągnął za spust i broń wystrzeliła kilkakrotnie. Chociaż lufa zrobiła się gorąca, Indy jej nie puszczał.

Nagle but Changa uwolnił się ze strzemienia i obydwaj potoczyli się po zboczu wydmy. Indy puścił karabin, pozwalając Changowi turlać się dalej, podczas gdy sam chwycił rewolwer i postanowił szybko strzelić. Teraz albo nigdy.

Chang przestał się staczać i rzucił się na Indy'ego.

Wystrzał z webleya zagrział ponad gwizdami wiatru i Indy'emu wydało się, że słyszy, jak pocisk leci. Chang upadł do tyłu; karabinek wypadł mu z rąk.

Kasztan biegł dalej.

Napastnik wylądował na plecach i zsunął się po ruchomym kobiercu piasku do samego podnóża wydmy.

Loki zaszczekał z zadowoleniem.

Piach obsypywał Indy'emu twarz, dopóki wiatr nie uspokoił się na tyle, że Indy był w stanie wyraźnie dostrzec ciało Changa.

– Trafiłem w dziesiątkę - powiedział do siebie.

Ciemna, czerwona plama powiększała się na piersi Mongoła.

Indy ostrożnie schodził z wydmy, upewniając się, czy Chang się nie rusza. Gdy odszedł trzy metry, wyciągnął przed siebie wycelowany pistolet.

Chang leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Krew ciekła mu po brzuchu. Indy stanął nad nim, rzucając cień na miejsce, w którym Mongoł upadł. Krew ściekała z ciała Changa i znikła w piasku. Jego karabinek leżał parę metrów dalej, poza jego zasięgiem. Był to zardzewiały polski karabin wojskowy, poobijany na skutek długiego używania i zaniedbania.

Gdy Indy stwierdził, że Chang jest nieprzytomny, kucnął, aby sprawdzić, czy bije mu puls. Wyciągnął rękę, aby dotknąć tętnicy szyjnej.

Nagle Chang otworzył oczy, złapał Indy'ego za koszulę i zacisnął kawałek tkaniny w pięści, podczas gdy drugą dłoń wygiął tak, aby móc zadrapać jego twarz.

Przejechał paznokciami po policzkach Indy'ego.

Indy odskoczył do tyłu, wymachując rewolwerem niczym kijem i starając się uderzyć nim Changa w szczękę. Lufa webleya głucho uderzyła w skórę i w kości, jednak Mongoł zasłonił Indy'emu oczy dłonią. Teraz Indy mógł oceniać siłę uderzenia tylko po dźwięku i dotyku. Upadając na wznak, usłyszał chrząknięcie. Jednocześnie palce Changa zwolniły żelazny uścisk policzków i czoła Indy'ego. Mongoł przewrócił się na bok, wierzgając nogami i wydając jęk podobny do głosu zranionego zwierzęcia. Przy prawym uchu, gdzie kawałek skóry zwisał z czaszki, krew trysnęła niczym malutka fontanna. Celownik na trzydziestce ósemce Indy'ego był zakrwawiony i - dopóki Indy go nie wytarł o nogawkę - zwisał z niego kawałek ciała.

Indy z trudem, ciężko dysząc stanął na nogach. Serce biło mu jak młotem.

– O mały włos - wysapał, oceniwszy swój stan. Kiedy dotknął twarzy, poplamił palce krwią.

Chang przyłożył opaloną dłoń do dziury nad uchem. Upadł bezgłośnie i przewrócił się na plecy.

Rzucił Indy'emu spojrzenie pełne nienawiści.

– Uratować ciebie ciepły oddech Buddy, Jones - łapał powietrze z wielkim wysiłkiem. Przestrzelone przez Indy'ego płuco dało o sobie znać w postaci różowej piany, która pojawiła mu się na ustach. - Najwyższy ocalić twoje życie wiejąc wiatr... - Kaszlnął krwią.

– Mogłeś się do tego nie mieszać, Chang.

– Ty mieć jajo *horhai*. Ono należeć do nas. Indy walnął pięścią w piach.

– Dlaczego wszyscy twardziele upierają się przy prawie własności? - zapytał. Chang umierał i z jakiegoś dziwnego powodu chciał mu to powiedzieć. - Jajo się wykluło. *Horhai* żyje.

Chang zamrugął.

– *Horhai* żyje? - spytał, plując krwią, która przy mówieniu ściekała mu po brodzie. Indy skinął głową.

– Żyje - powiedział. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, i nikt nie będzie przeszkadzał, to *horhai* może wróci jako gatunek. Moi przyjaciele są naukowcami i wiedzą, co robią.

W oczach Changa pojawiła się śmierć.

– Widocznie chce tego Najświatlejszy - powiedział. Następnie podniósł rękę i przyjrzał się krwi na palcach i na dłoni. - I tego też.

– Następny raz - powiedział - ja nie iść za Fałszywy Lama.

Jego zamknięte powieki poruszały się nerwowo. Zakaszłał po raz ostatni i przestał oddychać. Po chwili wydał ostatnie tchnienie - jego płuca były już

puste.

– Mam taką nadzieję - szepnął Indy. Wstał i strzepał piasek z dłoni.

Zawahał się. Spojrzał na ciało, następnie na Lokiego, który obwąchiwał nogawkę Changa.

– Chodź, chłopie - powiedział do psa. - Nie jesteśmy aż tak głodni.

Loki zawahał się przez chwilę, podniósł nos, po czym zszedł za Indym z wydmy. Jeszcze zanim wrócili pod skałę, wiatr zaczął zacierać ich ślady i ślady desperackiej walki.

Loki podniósł nos w górę i zaczął szczekać.

Za wydmami telepał się najdziwaczniejszy wynalazek, jaki kiedykolwiek widział Indy. Była to trzecia ciężarówka ekspedycji, ta, którą zostawiono w Kalganie, tyle tylko że ciągnął ją zaprzęg koni.

Przednia szyba została wybita, a Wu Han siedział na miejscu kierowcy. Zamiast jednak kręcić kierownicą, trzymał w dłoniach lejce. Ciężarówka była załadowana różnymi towarami.

Aranżer siedział na miejscu pasażera, śmiejąc się. Na masce leżała antylopa.

– Doktorze Jones! - zawołał Wu Han przez ramą przedniej szyby. - Nareszcie pana znalazłem, po tym jak przeszukałem Gobi wzdłuż i wszerz. Mówiłem, żeby pan na mnie liczył!

– Wu Han - westchnął Indy. - Coś ty zrobił z naszą ciężarówką?

– Przepraszam, ale właśnie to miał na myśli kowal, kiedy powiedział, że może ją naprawić - odparł Wu Han. - Mam nadzieję, że nie jest pan zły. Pojazd jest powolny, ale można na nim polegać.

– Nie jestem zły, Wu Han - powiedział Indy. - Cieszę się po prostu, że cię widzę. I masz rację - naprawdę przybyłeś, kiedy cię potrzebowaliśmy. Teraz możemy wrócić wygodnie, nawet jeśli ciężarówka ma moc dwóch koni zamiast stu.

Aranżer podał Indy'emu bukłak.

Indy wlał trochę wody w zagłębienie dłoni i dał Lokiemu ją wychłęptać. Potem sam się dużo napił.

– Gdzie jest siostra Joan? - spytał Wu Han.

– W raju - odrzekł Indy.

– Przykro mi - zaśmiał się Wu Han, schylając głowę.

– Nie musi ci być przykro - wyjaśnił Indy. - Jest z ojcem, a tego właśnie cały czas chciała.

– Tak - powiedział Wu Han. - Rozumiem.

Indy wyjął flagę ekspedycji z kieszeni. Wu Han znalazł długi kij i wspólnymi siłami zamontowali flagę nad kabiną ciężarówki.

Flaga rozwinęła się i załopotała na wietrze.

– Proszę - powiedział Indy. - Co o tym myślicie?

– No, cóż - zauważył Granger, opierając się o ciężarówkę. - Nie to miałem na myśli, ale wystarczy. Odpowiedni koniec najbardziej przesuniętej w czasie ekspedycji, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył. Zamiast wywieźć coś z Gobi, zobaczyliśmy, ile możemy tutaj zostawić.

Oaza jak gdyby zapraszała na dno płytkiej doliny, której szmaragdowozielone odcienie kontrastowały z brązowym piaskowcem na spalonej słońcem równinie. Mongolski wojownik na upstrzonym plamkami szarym kucu zbliżył się do Indy'ego, zjeżdżając ze skał górujących nad wioską chana.

Dzięki temu punktowi mieszkańców jurt można było uprzedzić o ewentualnym ataku.

Indy zatrzymał zaprzęg, czekając na pozwolenie zjechania w dół i porozmawiania z chanem. Wartownik ruszył galopem i zatrzymał się po junacku w chmurze pyłu. Był niski, muskularny, miał długą szramę na

policzku i dzioby po ospie, której epidemią udało mu się przeżyć. Indy'emu zdawało się, że pamięta, jak widział tego mężczyznę z chanem.

– Jest pan doktorem Jonesem - powiedział Mongoł łamaną angielszczyzną.

Miał ze sobą bardzo stary rosyjski karabin mosin. Gdy zobaczył Lokiego, tak się zdziwił, że opuścił lufę. Pies chodził koło ciężarówki.

– Przybyliśmy tu, aby złożyć swój hołd Wielkiemu Chanowi - oznajmił Indy. - Mam wieści o śmierci wodza Tzi i zgładzeniu Fałszywego Lamy.

– Słyszeliśmy - powiedział wartownik. - Czcigodny Tzen-chan jest na pustyni i prosi Buddę o nirwanę, gdzie nie ma bólu, smutku, pożądania. Szuka wizji. Nadal obchodzi żałobę po rodzinie.

Wzrok wartownika znowu padł na Lokiego.

– To wasz pies?

– Tak, oczywiście. - To on uratował nas przed wodzem Tzi i jego bandą psów i ludożerców. - Cudownie!

– Cieszę się, że jest pan zadowolony - powiedział Indy, trochę zmieszany.

Mongoł wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chan będzie bardzo wdzięczny za te wspaniałe nowiny. A ponad wszystko za bezpieczny i nieoczekiwany powrót swojego przyjaciela.

– Wspaniale, że tu jestem - oświadczył Indy. - Proszę mi powiedzieć, gdzie go mogę znaleźć.

– Na pustyni, na północ stąd. Jest tam święta góra, gdzie chan jeździ, by się modlić. Widać ją w oddali, jeśli tylko się chce spojrzeć uważnie.

Pokazał kierunek.

Pomimo wiejących tumanów piasku, które towarzyszyły im bez przerwy, Indy ujrzał na horyzoncie niewyraźny zarys nagiej góry.

– Chodźcie za mną - powiedział wartownik, zawracając konia. - Nazywam się Turi i, jeśli chcecie, zaprowadzę was do naszego obozu i dam wam konia, żebyście mogli odwiedzić chana w świętym miejscu.

Indy ściągnął lejce i zaprzęgnięta w konie ciężarówka ruszyła za Turim. Loki biegł z tyłu.

– Czy wy, Mongołowie, wszędzie pędzicie pełnym galopem? - zawołał Indy, trzymając kapelusz.

– Życie jest krótkie! - krzyknął Turi. - Pustynia to rozległy obszar. Jedzie się wolno, widzi się mało. Jedzie się szybko, widzi się dużo!

– Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mówić po angielsku?

– Amerykańscy misjonarze przybyli do Urgi, kiedy byłem chłopcem, zanim wygnali ich komuniści - odparł Turi. - Ojciec Tzen-chana wysłał tam nas obu na naukę.

Zjechali w dół, do źródła, otoczonego przez skały i kilka karłowatych drzew. Wokół źródła stały dziesiątki jurt. Zaciekawieni wieśniacy wyszliby zobaczyć, kto przyjechał. Niektórzy pokazywali na Lokiego i rozmawiali ze sobą, najwyraźniej podekscytowani.

Turi krzyknął coś do jednego z mieszkańców. Kilka chwil później grupa kobiet wyszła w pośpiechu z jednego z namiotów, niosąc gliniane naczynia z wodą i miski z wędzonym kozim mięsem. Indy'emu zaproponowano ciemne czerwone wino, ale grzecznie odmówił. Tymczasem mongolski chłopiec podszedł do źródła, prowadząc okiełznanego gniadosza z typowym, drewnianym mongolskim siodłem.

Indy zjadł kozie mięso. Loki też najadł się do syta.

– Zajmij się zaprzęgiem - powiedział do Wu Hana. - Granger, jedziesz ze mną?

– Nie, Jones, chyba nie - odrzekł Aranzer. - Wydaje mi się, że ciebie i chana łączy jakaś więź duchowa, której nawet nie usiłuję zrozumieć.

Zostaną tutaj i będą się tuczył kozim mlekiem.

– Dogadaj sobie - roześmiał się Indy, biorąc lejce pożyczonego gniadosza. - Możemy jechać, Turi? Chciałbym tam dotrzeć przed zachodem.

– Rozumiem, doktorze Jones - powiedział Turi. - Chce pan uszczęśliwić chana, żeby mogły się skończyć jego długie poszukiwania wewnętrznego spokoju.

Turi obrócił się na swoim cętkowanym kucu i krzyknął coś w miejscowym dialekcie do wieśniaków, stojących w pobliżu źródła.

W całej wiosce podniosły się krzyki radości.

– Co im powiedziałaś? - spytał Indy.

– Że ty i Loki odpowiadacie za śmierć Tzi i Fałszywego Lamy. Może teraz będzie między nami mniej walk.

Indy wskoczył na siodło i spojrzał na Lokiego.

– Idziesz? - spytał. - Wiem, że boją cię łapy i że to by było dobre miejsce na odpoczynek. Możesz zostać, jeśli chcesz.

– Jones, zwariowałaś! - krzyknął Granger. - Myślisz, że ten pies cię rozumie? Loki szczechnął. Indy nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

– Ten - tak - odparł.

Z pustyni zaczęła wyłaniać się góra. Ogromna masa wielkich płyt piaskowca wypchnięta na powierzchnię przez siły wulkaniczne pochylała się tak osobliwie, jak gdyby z ziemią pod spodem było coś nie w porządku. Indy obejrzał się przez ramię, patrząc jak pył spod kopyt konia Turi, który wracał już do wioski, wzbija się w bezchmurne, wieczorne niebo.

Przed zachodem słońca dzikie pustynne wiatry zamarły, obdarowując zupełną ciszą pusty ląd wokół góry. Indy podjechał powoli do podnóża stromego zbocza, gdzie zszedł, pozostawiając kuca na popas na krótkiej, wypalanej słońcem trawie między stosami kamieni.

Wtedy właśnie zauważył dziwne zachowanie Lokiego. Wilczur spojrział na górę i zaczął skamleć. Dźwięk ten przypominał ludzki płacz i nie był podobny do żadnego z odgłosów, jakie wcześniej wydawał ten pies.

– Wiesz, kto jest tam na górze? - spytał.

Loki zwrócił swoje jasnoniebieskie oczy na Indy'ego. Gdy tylko Indy je zobaczył, instynktownie zrozumiał, że nie były to oczy zwierzęcia.

– Pytanie tylko, kim ty jesteś? - szepnął.

Loki przyjrzał mu się jeszcze przez chwilę, po czym sam ruszył w górę. Indy stał, dopóki nie zdał sobie sprawy, że zostawiono go w tyle; zaczął wdrapywać się na skały.

Dotarcie do szczytu zajęło im pół godziny. Loki w pobliżu szczytu mocno utykał, węsząc tropy między otoczkami i pojawiając się znowu na nagich kamieniach. Indy szedł tuż za nim. Na szczycie góry panowała cisza. W ostatnie kilka metrów Indy, niemal pozbawiony tchu, włożył wszystkie siły, jakie posiadał. Wyszedł na płaskowyż, z którego w każdym kierunku widać było kilometry pustyni.

Po drugiej stronie wzniesienia, z twarzą zwróconą ku niebu i z wyciągniętymi dłońmi stał chan w fałdzistych szatach. Nawet gdy błagał Wszechmogącego o litość, było coś dumnego w jego sylwetce. Indy pospieszył ku niemu, ale to Loki znalazł nowe siły, puszczając się biegiem poprzez płaskowyż, dopóki nie dotarł do chana.

Chan odwrócił się nagle, zaskoczony. Zobaczył Indy'ego, po czym spojrział na zwierzę, które podbiegło do jego stóp. Wolno opuścił ręce wzdłuż boków.

Indy podszedł do chana, obserwując wyraz jego twarzy. Zatrzymał się nagle.

– Pewnie nie spodziewałeś się nas znowu zobaczyć - powiedział cicho, zdyszany po trudnej wspinaczce. Chan klęknął, kręcąc głową.

– Nie - powiedział nieobecny głosem, dotykając nosa Lokiego.

Loki polizał delikatnie dłoń chana, ale nie wydał żadnego odgłosu.

– Pierwszą wielką prawdą Buddy jest to, że życie jest cierpieniem - rzekł chan. - Wszedłem na górę, szukając zrozumienia dla tej prawdy, aby pogodzić się z moim wielkim smutkiem. A teraz stwierdzam, że wszechświat się śmieje z radości.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Indy.

– Wróciłeś mi najlepszego przyjaciela.

– Co?

– Psa - odparł chan. - Zawsze był moim najlepszym przyjacielem, podczas kilku wcieleń. Budda reinkarnował go w tej postaci.

– Ale...

Tzi odciął mu ucho i przysłał mi je - powiedział chan. - Bałem się, że nie żyje. Ale teraz rozumiem, że Tzi starał się uczynić go częścią sfory, zmusić go, by jadł ludzkie ścierwo albo głodował.

– Nie poskutkowało - stwierdził Indy.

– Oczywiście, że nie. - Ducha tak wielkiego jak duch Zola nie można przełamać torturami.

– Trudno w to uwierzyć. - Miałem pewną nadzieję, że zatrzymam psa dla siebie. Chan się zaśmiał.

– Równie dobrze mógłbyś zatrzymać dla siebie wiatr.

– A więc ten pies to ponowne wcielenie twojego starego kumpla - jak ma na imię, Zolo? - który był przy twym boku przez kilka tysięcy lat; to właśnie starasz się mi powiedzieć?

– Tylko tyle mogę, krzyżówko Marco Polo z Indianą Jonesem. Są na tym świecie rzeczy, które nie zawsze rozumiemy. My, ludzie, wiemy tylko to, co może wiedzieć śmiertelnik.

Chan utkwiał wzrok w Indym.

– To nie jest pies, nie mogę też wyjaśnić, czym on jest. Napisano, że tylko lama może doznać prawdziwego oświecenia. Budda objawia całą wiedzę o rym, co jest po drugiej stronie, tylko tym, którzy składają mu śluby. To wcielenie sprzymierzeńca i przyjaciel, martwego od dawna, jeszcze nieodrodzonego, naczynie, w którym zamieszkuje ludzka dusza.

Indy zawahał się przez chwilę.

– Wierzę - powiedział ze smutkiem w głosie - że w tym psie jest coś szczególnego. Jeśli mówisz, że to twój przyjaciel, to jestem rad, że znowu możecie być razem.

Chan się uśmiechnął.

– Jesteś bardzo mądry, jak na kogoś, kto nie zna drogi do oświecenia.

Dotknął czule głowy Lokiego i powiedział coś w języku, którego Indy nie rozumiał. Loki odpoczywał, siedząc i uważnie obserwując twarz chana.

– Uratował mi życie - oznajmił Indy. - Zabił Tzi.

Chan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Pomścił też śmierć mojej rodziny - powiedział. - Oczywiście, Fałszywy Lama nie żyje, tak?

– Tak - potwierdził Indy.

– Świetnie. Mam nadzieję, że cierpiał.

– Chanie, jestem trochę przywiązany do tego psa. Będę za nim tęsknił, ale tu jest jego miejsce i coś mi się zdaje, że cały czas zdawałem sobie z tego sprawę.

Chan wstał i objął Indy'ego.

– Jesteś naprawdę dobrym przyjacielem. Uratowałeś wielu moich ludzi od ospy, a teraz wracasz z moim najbliższym towarzyszem. Muszę znaleźć sposób, by wynagrodzić ci twoją dobroć.

– Nic mi nie jesteś winien - powiedział Indy.

– Nonsens - zaprzeczył chan.

– To, co znaleźliśmy na pustyni, było wystarczającą zapłatą.

– Znaleźliście to, czego szukaliście?

– Nawet więcej.

Indy odwrócił się ku zachodowi słońca.

– Powinienem już iść - powiedział. - Mój przyjaciel w Nowym Jorku z niecierpliwością wyczekuje wieści. Niestety nie mamy tu telegrafu.

Schylił się i podrapał Lokiego za uchem.

– Cześć, partnerze. Trochę razem przeżyliśmy. Dzięki za ostrzeżenie przed Changiem i za to, co zrobiłeś, gdy znalazł nas Tzi. Wilczur zasapał w odpowiedzi.

– Zaczekaj - powiedział chan.

Wyciągnął zza pazuchy sztylet z dziwnie rzeźbionym ostrzem. Uchwyt skrzył się od lśniących klejnotów: rubinów, szmaragdów i szafirów.

– To nóż Dżyngis-chana - oznajmił. - Jest przekazywany w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Niech to będzie symbol naszej przyjaźni tak długo, jak długo będziemy obaj żyli po śmierci!

Chan wyciągnął nóż w obu dłoniach.

– Nie mogę go przyjąć - zaprotestował Indy. - Musi być wart fortuną.

– Też coś! - oburzył się chan. - Prawdziwą wartość mierzy się w sercach przyjaciół. Weź go!

Indy pozwolił chanowi położyć rączkę noża w zagłębieniu swej dłoni. Wtedy ujrzał rytowanie na ostrzu, będące mapą, i inskrypcję, którą trudno było odczytać w zachodzącym słońcu.

– Co to za znaki? - spytał Indy.

– Sekret - odrzekł chan - którego nawet ja nie potrafię odczytać. Ten nóż uchodził za stary jeszcze w czasach Wielkiego Chana.

Jego twarz zrobiła się poważna.

– Czy potrafisz to odcyfrować? - spytał.

– Może z trudem - powiedział Indy. - Zdaje się, że te znaki to imię Qin-shi-Huang, pierwszego cesarza Chin. Wiem bardzo mało - nikt dużo nie wie, poza tym, że jego grobowiec uważany jest za zmniejszony model wszechświata, przy czym klejnoty obrazują gwiazdozbiory, a stale płynące strumienie rtęci wyobrażają rzeki.

– Teraz zabawiasz się moim kosztem - uśmiechnął się chan.

– Cóż, tak brzmi historia - rzekł Indy. - Nie mówiłem, że jest prawdziwa. Dziękuję za tak piękny podarunek. Zostanie jedną z najbardziej wartościowych rzeczy, jakie posiadam.

Wsadził nóż za pas.

– Żegnaj - powiedział chan. - Niech twa podróż będzie bezpieczna... ale nie za bardzo. To byłoby nudne! Indy uśmiechnął się.

– Mógłbym znieść trochę nudy.

– Życzę ci więc, abyś znalazł spokój. Chan przyjrzał się pustyni, gdy purpurowo-fioletowe cienie zapadły przy skałach i wydmach.

– Wewnętrzny spokój pochodzi z umysłu - powiedział rozumnie. - Nie ma dla siebie szczególnego miejsca czy czasu. Budda obdarzył wszystkich szansą znalezienia spokoju. Ale niewiele wie, gdzie szukać nirwany. A ona żyje w ludzkich umysłach.

Indy wyciągnął dłoń.

– Do zobaczenia następnym razem.

– Do widzenia. I bądź ostrożny. Bo możesz znaleźć to, czego szukasz.

Uścisnęli sobie ręce i Indy po raz ostatni poklepał Lokiego po głowie. Po czym odszedł, nie oglądając się.

Trzy tygodnie później zaprzężona w konie ciężarówka wjechała do Kalganu. Sprzedali wehikuł kowalowi i za zarobione pieniądze opłacili przejazd do Szanghaju. Gdy czekali na pociąg, Indy przygotował depezę do Brody'ego, w której napisał:

MARCUS BRODY
AMERYKAŃSKIE MUZEUM HISTORII NATURALNEJ NOWY JORK
STARBUCK ODNALEZIONY STOP ZAGINIONY RAJ STOP PRZEŚLIJ PIENIĄDZE TELEGRAFICZNIE DO
HOTELU CATHAY W SZANGHAJU STOP JONES

Wsiadli do pociągu w Kalganie, zostawiając za sobą szczyty Shen Shei. Buchająca z lokomotywy para wyraźnie uspokajała Indy'ego. Znowu znalazł się w dwudziestym wieku.

– No, jak, Jones - zapytał Granger. - Sądysz, że świat się kiedyś dowie? Czy też Starbuck i jego córka po prostu zaginą w otchłani czasu?

– Nie powiem, żebym ich za to winił - odparł Indy, spoglądając przez okno na ciężarówkę konwojującą chińskie wojsko z najeżonymi bagnetami, czekającą, aż pociąg przejedzie. - I zastanawiam się, czy to nie my zagubiliśmy się w czasie, pędząc naprzód z rykiem i furią bombowca.

Epilog.

Grób U-357

Wybrzeże Danii, 31 grudnia 1933

Próbując pokonać wąski fiord, skąd nie oznakowana ciężarówka miała zabrać Kryształową Czaszkę do Berlina, U-357 rozpruła swoje zbiorniki balastowe na prawej burcie.

Obawiając się, że również kadłub łodzi zostanie rozdarty o poszarpane skały, kapitan U-357 wyprowadził ją z powrotem na morze, ale zbyt późno stwierdził, jakie są rzeczywiste rozmiary uszkodzeń zbiorników balastowych. Powietrze, które dostało się do prawego zbiornika, pozwoliło łodzi utrzymać się na powierzchni w płytkim fiordzie, ale ponieważ na otwartym morzu przybyło wody i ciśnienie wzrosło, krytyczna równowaga pomiędzy tym, co pływa, a tym, co tonie, została zachwiana w ułamku sekundy. Mimo że silniki elektryczne robiły co w ich mocy, by wyprowadzić łódź na powierzchnię, U-357 poddała się nieuchronnemu uściskowi wodnej otchłani.

Dziobem skierowanym w dół zanurzała się coraz bardziej. Była już na głębokości czterdziestu metrów. Bez użycia prawego zbiornika nie mogła odzyskać pławności. Brakowało czasu, aby ciągnąć za sobą długi przewód, podwodną antenę, niezbędną do komunikacji w zanurzeniu, tak więc ostateczne miejsce jej spoczynku pozostało dla Berlina tajemnicą. Nawet mężczyźni w butach rybackich, którzy czekali w ciężarówce, nie byli pewni

jej położenia, ponieważ wpłynęła do fiordu zanurzona, zachowując ciszę radiową. Czas i współrzędne przekazu zostały ustalone kilka dni wcześniej.

Załoga nie miała innego wyboru, jak przygotować się na nerwową podróż bez powrotu, gdyż łódź pogrążała się coraz głębiej w mroźnych wodach. Gdy w końcu jej dziób uderzył o dno, miażdżąc przedział torpedowy na przedzie, nie naruszając jednak reszty kadłuba, załoga wydała spontaniczny okrzyk radości. Nie był on spowodowany nadzieją na ratunek - każdy z nich wiedział, że nie ma dla nich żadnej nadziei - lecz poczuciem ulgi. Uduszą się, zadławieni trucizną wytwarzaną przez ich własne płuca, ale nie utoną. Czekali, spędzając ten czas na graniu w karty, czytaniu albo pisaniu ostatniego, nigdy niewysłanego listu do rodziny.

Indiana Jones znalazł łódź podwodną w miejscu, którego współrzędne podał mu Belloq, chociaż nie spodziewał się, że osiadzie ona na szelfie, ominąwszy stu pięćdziesięciometrowy spadek. Belloq nie powiedział Indy'emu, skąd wiedział, gdzie znajduje się zaginiona łódź, skoro nawet Berlin nie miał o tym pojęcia, ani dlaczego zdecydował podzielić się tą informacją. To ostatnie, jak podejrzewał Indy, miało związek z traktowaniem Belloqa - Bellosha! - jak pracownika. Ale Indy'ego nie obchodziły jego motywy. Najważniejsze było to, że Kryształowa Czaszka znalazła się znowu kusząco blisko, może nawet w zasięgu ręki.

Już niedługo, powiedział do siebie Indy, gdy mosiężny hełm nurka został przytwierdzony do nylonowego skafandra. Już wkrótce. Następnie w ołowianych butach zaczął schodzić do wody. Wylądował niemal na pokładzie U-357, dzięki dobrym sondowaniom, wykonanym przez załogę francuskiego statku ratunkowego „Jules Verne”. Chociaż wcześniej już nurkował na dużych głębokościach, nigdy dotąd nie zdarzyło mu się znaleźć w tak głębokich i zimnych wodach. Oddychał ciężko, ale zdołał się opanować, zanim ruszył dalej.

Idąc po dnie oceanu, stawiając komiczne, przeogromne kroki, Indy dotarł do dziobu łodzi podwodnej i wszedł do pomieszczenia dla torped poprzez dziurę w kadłubie. Szedł ostrożnie, aby poszarpane krawędzie nie przerwały przewodów dostarczających mu powietrze. Chcąc swobodnie poruszać się w środku, pociągnął za sobą długi ich odcinek.

Włączył lampą do nurkowania, którą miał przy pasku.

Zdjął z paska klucz maszynowy i mozolnie przekręcił mechanizm pośrodku drzwi komory ciśnieniowej pomiędzy przedziałem torpedowym a resztą łodzi. Bąbelki powietrza - ostatniego powietrza, którym oddychała załoga - popłynęły szczelinami. Ciśnienie wody się wyrównało, a waga statku zwiększyła i Indy poczuł, jak łódź, wydając jęk, zatrzęsała się od dziobu aż do rufy.

Drzwi lekko otworzyły się na zawiasach.

Indy niezdarnie przecisnął się przez grodz i poszedł dalej korytarzem. W czystej, zimnej wodzie pływało mnóstwo papierów i śmieci, nie było jednak widać żółtego pojemnika. Indy udał się kilka metrów dalej, w stronę kwater oficerskich, i otworzył drzwi do kabiny.

Kroeger wypłynął stamtąd niczym duch, z rękami wyciągniętymi w kierunku Indy'ego. Woda przesuwiała jego blond włosy po gładkim czole.

Indy podskoczył, uderzając tyłem głowy o wnętrze hełmu nurka. Instynktownie przyłożył rękę w rękawicy do kasku, chcąc pomasować bolące miejsce, ale zrobić tego, oczywiście, nie mógł. Wyciągnął ciało Kroegera na zewnątrz, zdjął lampę z paska i oświetlił nią wnętrze kabiny. Jego czas się kończył. Od załogi statku „Jules Verne” dowiedział się, że przy tej głębokości ma tylko piętnaście minut na przeszukanie wraku. Gdyby zignorował to ograniczenie, ryzykowałby chorobę dekompresyjną. Miał już wychodzić z kwater oficerskich, gdy naszła go pewna myśl.

Skierował światło ku górze.

Żółty kanister pływał pod sufitem.

Indy pociągnął go w dół i umieścił pod pachą, a potem zaczął brnąć z powrotem przez korytarz, którym przyszedł, mimo że marzły mu ręce i nogi, w ciężkim hełmie nurka pot spływał po czole i zalewał oczy.

Był już niemal przy grodzi przedziału torpedowego, gdy poczuł, jak pokład przesuwają się pod jego nogami. Nagle korytarz przechylił się na bok, gdyż U-357 odgięła się na lewą burtę i przesunęła się nieco dalej nad występ.

Trudno było iść przez zwichrowane wnętrza kadłuba. Indy potykał się o rury i pozostałe wyposażenie przymocowane do ściany. Spróbował więc popłynąć, lecz uniemożliwiały mu to ołowiane buty. Mógł ruszać nogami, ale tkwił w miejscu. W końcu złapał przewód z powietrzem i prawą ręką zaczął wciągać się w kierunku dziobu. Lewą starał się opanować żółty pojemnik.

Gdy precyzyjnie się przez drzwi grodzi, łódź zadrżała i zaczęła zsuwać się z szelfu. Pojemnik wypadł Indy'emu spod pachy i zaplątał się w masę rur i przewodów w przedziale torpedowym.

Zdesperowany posuwał się dalej przez przedział torpedowy ku rozdarciu kadłuba. Dziób U-357 przesuwał się szybko po dnie w kierunku otchłani, grożąc porwaniem Indy'ego ze sobą. Indy w desperacji szarpnął linę sygnałową, aby dać członkom załogi statku „Jules Verne” znak, żeby go wyciągnęli.

Na pokładzie od razu zdjęto mu hełm. Pompa, dostarczająca powietrze, popracowała jeszcze przez chwilę i stanęła.

– Co się stało? - zapytał kapitan, trzymając papierosa w ustach.

– Miałem go - odparł Indy. - Miałem pojemnik pod pachą, a potem łódź się pochyliła i zaczęła się zsuwać z krawędzi. Musiałem go puścić i uciekać.

– Tak to jest z wrakami - powiedział kapitan. - Otwierające i zamykające się luki, przesuwanie się środka ciężkości - nigdy nie wiadomo, co się stanie. Ale przynajmniej uszedł pan z życiem, monsieur. Indy podniósł głowę. Pozostali członkowie załogi pobiegli na bok, pokazując coś palcami. Kiedy U-357 przestała wreszcie spadać z szelfu na dno, jej kadłub wygiął się i przełamał na dwie części, uwalniając wszelkiego rodzaju zdolne do pływania przedmioty: kapelusze, ubrania, nieużywane kamizelki ratunkowe, puszki zjedzeniem.

– Patrzcie! - krzyknął Indy.

Żółty pojemnik wyskoczył na powierzchnię i, jakby zadowolony, bujał się wśród fal.

– Podpłynęmy tam - powiedział Indy. - Wciągnijmy go.

Jednakże gdy „Jules Verne” podpłynął nieco bliżej, dwieście metrów dalej pojawił się kolejny żółty pojemnik. Nagle wyskoczył trzeci i czwarty, aż w końcu masa żółtych baniek pokryła kilka akrów wody.

Załoga wciągała je kolejno na pokład tylko po to, aby odkryć, że były to kanistry na olej, chociaż przypominały wyglądem pojemnik, do którego Belloq włożył czaszkę.

– Przykro mi - oświadczył kapitan. - Nie możemy wyciągnąć ich wszystkich. Wiatr, pływ, prądy...